

RYWAL CZY SOJUSZNIK? W CO GRA ZEŁENSKI



RAPORT O NASZEJ MŁODZIEŻY: POKOLENIE STRESU



MUNDIAL: PIŁKA TRZĘSIE ŚWIATEM

JAK MILIONY POLAKÓW 100 LAT TEMU PODZIĘKOWAŁY AMERYCE

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

27 (709) 2026
29 czerwca – 5 lipca 2026

CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)

AFERA SZPITALNA

TO JEST ICH KONIEC

UKŁADY, PRZYWILEJE DLA WYBRANYCH, NISZCZENIE SYGNALISTÓW. TO NIE TYLKO JEDNA PLACÓWKA SŁUŻBY ZDROWIA. TO POLSKA POD RZĄDAMI TUSKA. ALE TEN SYSTEM NIE POCIĄGNIE JUŻ DŁUGO

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

9 772544 269601 27

Numer w sprzedaży do 6 VII 2026 r.

SPAKUJ SUBSKRYPCJĘ

SIECI i wPolityce.pl

na wakacje!



ZAMÓW 50% TANIEJ

BAGAŻ PEŁEN FAKTÓW:
E-wydania „Sieci” już w niedzielę o 18:00. Rzetelne informacje zabierasz ze sobą bez dodatkowego ciężaru.

ZERO OGRANICZEŃ, PEŁEN DOSTĘP:
Wszystkie teksty wPolityce.pl Premium+. Nasza publicystyka zawsze pod ręką – na plaży, w górach czy nad jeziorem.

LEKTURA NA DŁUGIE WIECZORY:
Dostęp do archiwum tygodnika i biblioteki e-booków „Sieci Extra”. Pogłębiaj wiedzę, kiedy tylko masz na to ochotę.

MOCNY FUNDAMENT WOLNOŚCI:
Nawet kiedy odpoczywasz, my patrzymy władzy na ręce. Twoja subskrypcja buduje niezależne, patriotyczne media przez cały rok.

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

SPRAWDŹ NA

siec.wpolityce.pl/oferta

eprasa.pl 0476ddfa96

Gwóźdź dla Tuska

Premier czeka. Patrzy. Obserwuje. Gryzie paznokcie i knuje: jak z tego wyjść? Jak to rozbabrać, kogo rzucić do robienia sztucznej mgły? Giertych? Zawsze jest dobry, bo nie cofnie się przed najpodlejszymi numerami. Arłukowicz? Wciąż ma u nas dług wdzięczności, a do tego jest lekarzem – nadaje się idealnie. Może wyśmieje tomografię zwłok jakimś Tutanchamonem? Ale szef rządu wie, że sam także musi dorzucić do pieca. I robi to.

Wiarygodny był dla niego patus Murański, ale doświadczony, odważny chirurg wiarygodny nie jest. Tusk odbiera mu ten przymiot, jeszcze zanim skończy się przesłuchanie dr. Emila Jędrzejewskiego. To standard rodem z krainy Putina, a nie z rzekomo liberalnej demokracji. Ustawia w ten sposób prokuraturę, dając jasny sygnał: tego sygnalistę trzeba zniszczyć, przycisnąć do gleby, upodlić. Śledczy przesłuchują więc lekarza wiele godzin. Nie godzą się na przełożenie zeznań na inny termin, by mógł stawić się w prokuraturze z pełnomocnikiem. Tylko po to, by po zakończeniu czynności rzecznik prokuratury mógł zasugerować, że lekarz ma coś do ukrycia. Akcja jest prowadzona wielotorowo, bo do gry wchodzą medialne cyngle z jednym zadaniem: skompromitować sygnalistę.

Oni wszyscy nie rozumieją, że ta sprawa ma dużo szerszy wymiar. Skupiają się w niej największe patologie władzy. Wśród nich upartyjnienie wszystkiego, co się da (zwłaszcza rad nadzorczych spółek publicznych), skłonność pazernych działaczy do ssania pieniędzy na lewo i prawo (w przypadku dziarskiego młodzika Kacprzyka – w dużej mierze na lewo), pogarda wobec zwykłego zjadacza chleba (omijanie kolejek, w których może sobie czekać plebs, i urządzanie saloników dla partyjniaków), kaskada kłamstw, na których są łapani, gdy próbują zaciemniać obraz afery oraz ostentacyjne przymykanie na wszystko oka przez politycznych bonzów.

Wszystko to dzieje się w obszarze, który dotyczy absolutnie każdego Polaka. Nie ma ludzi niezależnych od państwowej ochrony zdrowia, bo nawet bogacze w przypadku poważnych komplikacji zdrowotnych i tak trafiają do publicznego szpitala. Jeżdżą tam ze swoimi dziećmi, rodzicami. Widzą, że system się wali, a ekipę rządzącą interesuje tylko, jak zapewnić sobie i swoim najbliższym przeżycie – wszak dotykamy tu spraw życia i śmierci. Te ostatnie zresztą też już się pojawiły w tej historii. Wiemy o toczącym się od tygodni śledztwie w sprawie fałszowania dokumentacji w prosektorium Szpitala Południowego. Dr Jędrzejewski opowiada o dwóch zgonach, które miały nastąpić w wyniku błędów medycznych. Naczelna Izba Lekarska przyznaje, że jego doniesienia znajdują potwierdzenie w relacjach innych medyków. Ta historia nikogo nie zostawia obojętnym. Dominuje głębokie oburzenie, również w elektoracie KO.

Już podczas poprzedniej kampanii parlamentarnej z badań fokusowych zamawianych przez partie polityczne wynikało, że ochrona zdrowia stale jest jednym z najważniejszych tematów dla Polaków. Dlatego ekipa Tuska składała te wszystkie puste obietnice o zniesieniu limitów na badania i zabiegi medyczne czy skróceniu kolejek. Kolejki się wydłużyły, a kasę na diagnostykę i leczenie obcięto. Porodówki są zamykane w bezprecedensowym tempie, NFZ płaci szpitalom premie za likwidację oddziałów, a nie otwieranie nowych, nie zwiększono puli miejsc na specjalizacjach lekarskich, za to zarobki medyków znacząco wzrosły.

Dlatego Tusk nie ma dobrego ruchu. Stanie się ofiarą własnych plugawych metod: naobiecywał eldorado, a potem pozwolił kraść (pieniądze i miejsca w kolejkach) – takie wrażenie pozostanie w głowach wyborców. Zapewne dokona jakiejś widowiskowej czystki. Może poświęci tylko ministra zdrowia, może szefa MSWiA, może prezydenta Warszawy. Robił tak podczas wielu kryzysów – przy aferze hazardowej, podsłuchowej, wokół zabójstwa Krzysztofa Olewnika i innych. Umie zrzucać z sań. Każdego. Tym razem to nie wystarczy, bo do kampanii wyborczej sytuacji w ochronie zdrowia nie poprawi. Mediów, które będą o niej alarmować, nie zamknie. Swoich podwładnych kraść nie oduczy. A ludzkich odruchów ich nie nauczy. Zapłaci wysoką cenę. Może nawet będzie to gwóźdź do jego politycznej trumny. Obyśmy tylko dożyli.

Marek Pyza



Autopromocja

eprasa.pl 0476ddfa96

SIECI

spis treści



25 Wojna Kierwińskiego z Trzaskowskim
Stanisław Janecki



38 Polska nie może być bezbożna
Z ks. Jarosławem Wąsowiczem rozmawia Marzena Nykiel



59 Podwójne zaproszenie
Jolanta Gajda-Zadworna

NA POCZĄTEK

5 **JAK DŁUGO JESZCZE**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **CICHE ODEJŚCIE**
Dorota Łosiewicz

9 **RUDY I BRUDY**
MuMa

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **WSTECZNY HARACZ**
Daniel Obajtek

13 **KONSERWATYWNE DOMINO TRUMPA?**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA MAGDALENY WIERZCHOWSKIEJ**
Michał Korsun

16 **PRZERAŻAJĄCA WIĘKSZOŚĆ**
Jan Pietrzak

16 **NIEBEZPIECZNY WYJĄTEK**
Samuel Pereira

18 **POLSKA POMOC BEZ DYWIDENDY**
Arkadiusz Mularczyk

19 **KRWAWA ŁUNA NAD WOŁYNIEM**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

20 **REAKCJA WŁADZY: AROGANCJA I AGRESJA**
Piotr Gursztyn

25 **WOJNA KIERWIŃSKIEGO Z TRZASKOWSKIM**
Stanisław Janecki

KRAJ

28 **RYWAL CZY SOJUSZNIK?**
Konrad Kołodziejski

32 **CZAS POWŚCIĄGLIWOŚCI**
Marek Budzisz

35 **POKOLENIE STRESU**
Dorota Łosiewicz

38 **POLSKA NIE MOŻE BYĆ BEZBOŻNA**
Z ks. Jarosławem Wąsowiczem rozmawia Marzena Nykiel

ŚWIAT

42 **CZY BURNHAM OCALI WIELKĄ BRYTANIĘ?**
Jan Rokita

45 **KONIEC POLITYCZNEGO ROMANSU**
Aleksandra Rybińska

OPINIE

48 **O LOSIE POLSKI ZADECYDUJE DEMOGRAFIA**
Z dr. Bartłomiejem Wróblewskim rozmawia Jerzy Szmit

SPORT

52 **PIŁKA TRZĘSIE ŚWIATEM**
Dariusz Matuszak

HISTORIA

56 **100 LAT TEMU POLSKA PODZIĘKOWAŁA AMERYCE**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

59 **PODWÓJNE ZAPROSZENIE**
Jolanta Gajda-Zadworna

62 **NA ŻYWO I OFFLINE**
Maciej Walaszczyk

66 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

KUCHNIA

68 **MOJE SMAKI: MAGDALENA MAKAROWSKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 **MAGIA W YALE**
Robert Tekieli

72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

73 **FAIR PLAY PO NIEMIECKU I ZAWÓD – DYREKTOR**
Ryszard Czarnecki

74 **NOWI LUNATYCY**
Andrzej Zybertowicz

eprasa.pl 0476ddfa96

BRONISŁAW WILDSTEIN

Jak długo jeszcze

„Jak długo jeszcze, Tusku, nadużywał będziesz cierpliwości naszej?!” – grzmiał z trybuny senatu blisko 2100 lat temu Cyceron. Wprawdzie retor rzymski wymieniał nie Tuska, lecz Katylinę, ale przy kolejnej aferze obecnego rządu powinny przypomnieć się mowy Cycerona.

Tusk jest twarzą i liderem oligarchicznego układu, który co jakiś czas, jak w przypadku skandalu w Szpitalu Południowym, ujawnia ukryte na co dzień mechanizmy swojego funkcjonowania. Tusk nie stworzył go ani nie wymyślił, ale korzysta zeń i go reprezentuje. Ponad 20 lat potrafi utrzymać się na jego szczycie, co dowodzi zręczności, ale kiedy zużyje się – a wszystko wskazuje, że nastąpi to prędzej niż później – zastąpi go kto inny. Jeśli nie chcemy oszustów w kitlach lekarskich, którzy wyciągają miliony z dogorywającej służby zdrowia, pedofili, którzy wykorzystują polityczne pozycje, przekazywania pieniędzy przeznaczonych na rozkręcenie gospodarki kraju na jachty i sauny, musimy zmienić system, czyli obalić liberalną demokrację, która nie jest demokracją, a oligarchią, czyli władzą nielicznych w swoim interesie.

Kariera Dawida Kacprzyka to ilustracja systemu. Zawdzięcza ją agresywnej działalności w młodzieżówce PO. W nagrodę lekarz bez doświadczenia i specjalizacji zostaje szefem SOR i realnie rządzi wielkim szpitalem. Efekty jego działań są przerażające. To nie tylko przekształcenie szpitala w lecznicę KO, lecz także jego generalna dezorganizacja, co miało prowadzić także do przypadków śmierci. Wszystko działo się pod osłoną zarządu lecznicy i władz miejskich, które ją nadzorowały. Interwencje okazywały się niebezpieczne dla... sygnalistów.

W lipcu ub.r. ordynatorowi chirurgii udało się dotrzeć do Rafała Trzaskowskiego i powiadomić go o nieprawidłowościach w szpitalu. Został zwolniony z pracy. Prezydent Warszawy kłamie, że o niczym nie wiedział, chociaż udowodniono mu, że było inaczej.

Dyżury, za które Kacprzyk wyciągnął ponad 1,6 mln zł w ciągu roku, to nie misterna operacja finansowa, ale ordynarny przekręt, o którym musiała wiedzieć cała administracja szpitalna.

Skoro kolejne skandale partii Tuska przechodzą bez konsekwencji, jej aktywiści nie bawią się w subtelności. Kacprzyk demonstrował swoją pozycję luksusowym Porsche. Jeśli wielka afera KPO, czyli przeznaczenie pożyczek unijnych, które miały nakręcić pogrążoną w postpandemicznej stagnacji gospodarkę kraju, na luksusowe dobra zaprzyjaźnionych biznesmenów, nie naruszyła pozycji władzy, to dlaczego ma się ona bawić w pozory?

Pisząc felieton o KPO, wskazywałem, że to nie afera, czyli sytuacja niezwykła, ale metoda rządzenia. Żżymamy się na polityczny salonik VIP w Szpitalu Południowym. Przypomnijmy sobie zatem sprawę wybrańców rektora WUM, którzy w pierwszej turze zostali zaszczepieni na covid. Formalnie przywilej ten przysługiwał pracownikom służby medycznej, ale rektor rozszerzył ich skład o swoich faworytów. Na poruszenie wywołane sprawą prostodusznie odpowiedział prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak: „Uważam, że artyści są naszym dobrem narodowym. [...] Naród powinien dbać o swoje elity”.

Te artystyczne elity to Leszek Miller z żoną, założyciel TVN, a także jej dyrektor ze swoją partnerką, była gimnastyczka z mężem, prezes sieci kawiarni z synem czy Krystyna Janda, która rektorowi dostarczyła listę wybrańców.

Establishment, który zawiaduje liberalną demokracją, to zespół powiązanych ze sobą osób i środowisk osadzonych na kluczowych pozycjach w państwie, które zasila ich finansowo i prestiżowo. Stanowią układ, który kontroluje całość życia społecznego. Zorganizowana mniejszość zawsze potrafi zdominować niezorganizowaną większość. Powiązana ze sobą w sieć, świadoma swojego interesu buduje coraz bardziej szczelny i totalny system. Jego elementem są ośrodki opiniotwórcze, które pokazują panujący układ jako optymalny stan rzeczy, a kontestatorów jako populistów, którzy grożą porządkowi społecznemu. System propagandy grzechy establishmentu przerzuca na jego przeciwników. Nic dziwnego więc, że żyjemy w świecie odwróconym, w którym złodzieje o kradzież oskarżają tych, którzy złapali ich na gorącym uczynku, prostytutki piętnują brak cnoty, oszuści – szerzenie się kłamstwa, a Kacprzyk będzie manifestował przeciw korupcji PiS.

Charakterystyczna jest strategia propagandowego frontu władzy. Dominika Wielowieyska rozwodzi się, że lekarz sygnalista jest w sporze ze szpitalem. Mamy zajmować się tym, kim jest informator, a nie faktami, które ujawnia. Okładka „Newsweeka” jako czarny charakter przedstawia szefa Kanału Zero, który bada aferę. Tusk opisuje sprawę jako spór lekarzy. Odpowiednia siła przekazu potrafi przekierować informacje tak, aby ich odbiorcy przestali rozumieć o co chodzi. Znaczące, że w operację angażują się nie tylko cyngle „GW”, ale jej intelektualna liderka, którą jest Wielowieyska. Zagrożenie każe zwierać szeregi.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0476ddfa96



Sygnalista nadaje

Robert Lewandowski naraził się Koalicji Obywatelskiej i całej Polsce Uśmiechniętej! Bo to jakiś kryptopisior! „Zagrał w niebezpieczną grę. Albo jeszcze o tym nie wie, albo już powinien się domyślać, że chłopaki wciągnęli go w twardą rozgrywkę. Na końcu zostanie sam z pytaniami, na które będzie musiał sam odpowiedzieć" – to słowa, które wypowiedział wybitny autorytet moralny, arbiter grzeczności i kultury osobistej, Bartek „Ormo" Arłukowicz. To nie było o Lewandowskim, ale blisko – o jego kumplu, doktorku Emilu, który kiedyś był po właściwej stronie. Jeździł nawet z Czarkiem Kucharskim na wakacje do Dubaju. Przeszedł jednak na drugą stronę, więc on z pisiorami to może się wybrać najwyżej na pielgrzymkę do Częstochowy. I to pieszą. Lewandowski też winny. Okazało się, że zamiast strzelać gole dla Niemców, próbował z doktorkiem Emilem założyć prywatny szpital w Warszawie. Panie Robercik, pan to sobie może gałę pokopać, a prywatne szpitale zostawi pan tym, którzy mogą je zakładać.

Konszachty Roberta Lewandowskiego opisała zawsze czujna „Gazeta Wyborcza". I to piórem samego Wojtka Czuchnowskiego, który znowu dotarł do tematu. Albo temat dotarł do niego, co na jedno wychodzi. Ale widać, że to ważna sprawa dla Demokracji Walczącej i nie należy jej lekceważyć. Wszystko okazuje się bardzo proste. Lewandowski to piłka nożna. Piłka to Stanowski. A on to Zero. Czyli Ziobro. Wszystko jasne! I drugie równanie, jeśli nie wierzycie, że Lewandowski to pisior. Piłka to kibole. A oni to ustawki. Teraz już wiecie, kto za tym stoi? Ten spisek się skończy, gdy zostaną przeliczone głosy, a Rafał wreszcie będzie mógł się wprowadzić do pałacu i nie przejmować się jakimiś głupimi szpitalami.

PS Trzeba sprawdzić też Igę Świątek i Maję Chwalińską, czy również one nie maczały palców w wykreowanie pseudoafery ze Szpitalem Południowym. Murem za Dawidem Kacprzykiem!

Afera? Zresztą jaka afera? Skandalem jest atakowanie obecnej władzy za urządzenie saloniku VIP w Szpitalu Południowym. Którego przecież nie było, ale skoro już był, to dlatego, że jest bardzo potrzebny. Trafiały tam osoby na wysokich stanowiskach, które odpowiadają za pomyślność Ten Kraju i jego roszczeniowej ludności. One się leczą nie dla siebie, lecz dla naszego wspólnego dobra. Bo gdy będą chore, to mogą przegrać wybory, a wiecie, kto wtedy wróci do władzy?

Głos w tej sprawie zabrał kolejny autorytet moralny, prof. Wiesław Wu Jędrzejczak: „Dlaczego wszyscy mają stać w tej samej kolejce, skoro w bardzo różny sposób składają się na koszty jej obsługi?" – pyta profesor Wiesiek Wu. Słusznie, prawicowa niewykształcona biomasa z Polski wschodniej to nie to samo, co prawdziwie europejscy unijczycy polskiego pochodzenia, którzy wytwarzają produkt brutto. Profesor przestrzega przed strasznymi skutkami sprawiedliwości społecznej: „Dlaczego prezes dużej firmy, którego każda godzina pracy wiąże się z zarządzaniem milionami złotych, ma czekać w tej samej kolejce co osoba, która tego samego dnia nie ma nic innego do roboty? Bezproduktywne czekanie prezesa może firmę kosztować miliony strat".

eprasa.pl 0476ddfa96

Dawid Kacprzyk to bohater, na którego Ten Kraj nie zasłużył. Prawdziwy filantrop i dobroczyńca, szczery naśladowca św. Jurasa, patrona walki z sepsą. Dawid odesłał Szpitalowi Południowemu pół melona złotych. Chłopak uniósł się honorem po tym, gdy motłoch rzucił się, by czytać jego oświadczenie majątkowe. Tłuszcza, dla której 500 tys. zł to sprawa biologiczna – bo ona nie potrafi sobie nawet wyobrazić, ile to jest. A dla Dawida to sprawa metafizyczna, to dramatyczne doświadczenie. Bo teraz może mu nie wystarczyć na waciki. Szpital jednak nie przyjął połówki złotego melona, bo nie wie, jak zaksięgować skorygowane przez Dawida faktury za dyżury, na których nie był fizycznie, ale łączył się duchowo ze swoimi pacjentami. Zwłaszcza tymi, którzy zeszli z tego świata i dzięki temu nie są już obciążeniem dla budżetu NFZ.

Chora z nienawiści tłuszcza rzuciła się teraz na Pępek Gosię, demokratyczną i praworządną reprezentantkę ziemi żywieckiej (d. Saybuscher Land). Pępek Gosia chciała pokazać, że dzięki rządom Koalicji 15 X łamane na 13 XII skróciły się kolejki do specjalistów w szpitalach. I osobiście to udowodniła. Pokazała, że jeśli się chce, to można dostać się na badania, czekając tylko trzy tygodnie. A do tej pory były 23 miesiące. Zresztą dalej trzeba czekać, bo cały czas trwa usuwanie skutków rządów PiS i łączy się to z przejściowymi trudnościami. Ale jeśli komuś się spieszy z badaniami i chce je zrobić szybciej, to jest łatwa droga: wejdź na stronę www.koalicjaobywatelska.pl, wypełnij wniosek online. W ciągu siedmiu dni skontaktuje się z tobą pracownik biura regionalnego KO i razem wybierzecie koło. Następnie pobierz i wypełnij deklarację członkowską. Potem musisz osobiście pojawić się na zebraniu koła. Tam odbierzesz legitymację. Powodzenia na badaniach, życzymy ci zdrowia i dobrych wyników!

Pępek Gosia domaga się teraz przeprosin i podziękowania za to, że chciała się leczyć w jakimś zakichanym szpitalu w jakimś jeszcze bardziej zakichanym Żywcu. A miała przecież możliwości w Szpitalu Południowym. Czy doczeka się słów uznania? Domagajmy się tego razem z nią. Murem za Pępek!

Na temat pseudoafery w Szpitalu Południowym trwa ożywiona i owocna dyskusja między ludźmi Marcina Kierwińskiego i Rafała Trzaskowskiego. Kto ma większe sukcesy w zarządzaniu tą placówką? Czyim przyjacielem jest lekarz Dawidek? Obie strony są bardzo skromne i nie chcą się przyznać do tych sukcesów. Z grzeczności twierdzą, że to nie oni i że chętnie ustąpią pierwszeństwo przyjaciołom z drugiej grupy. Oto wspaniały przykład, jak pięknie można się różnić.









Zobaczymy, kto jest silniejszy – niejaki Elon Musk czy nasz ***Roman Giertych!*** Doszło do niesłychanego skandalu. Musk – który tak w ogóle jest osobą pochodzenia afrykańskiego – okradł Romana. Skasował na platformie X tysiące kont z grupy Sieć na Wybory, stworzonej właśnie przez Romana w celu uniemożliwienia fałszerstw wyborczych skierowanych przeciw Polsce Uśmiechniętej. Aby nie powtórzyła się sytuacja, gdy ten Nawrocki z Gdańska oszukał naszego Rafała. Oficjalny komunikat tego złodzieja z Ameryki był taki, że Sieć na Wybory to „spam polityczny". Bezczelność! Może to samo powie o Silnych Razem? Niech spróbuje, Roman go wtedy dojedzie. Razem z Waldkiem Żurkiem.

PS Ten złodziej okradł też pana premiera Tuska. Zajumał mu 120 tys. obserwujących. No, ale to jest mniej ważne niż sprawy Romka.

Olek Miszalski to jest gość. Zwycięzca moralny krakowskiego referendum pokazał, jak się bawi stolica. Ta stara, nie ta nowa, czyli Kraków. Zabawa była tak szampańska, że Olek aż musiał usiąść na chodniku – tak bardzo się zmęczył. Ale to był jego prywatny czas. Poza tym, dzięki jego troskliwym rządom chodniki w Krakowie są tak czyste, że można z nich nawet pić. Nawet w największych ilościach, byle z umiarem.

Wróćmy na moment do przyjaźni polsko-ukraińskiej, która, jak wiadomo, kwitnie w najlepsze. Kolejny autorytet moralny i postać znana – Piotrek Fogler – odesłał odznaczenie temu Nawrockiem z Gdańska. W proteście. To wstrząsający gest. Odesłany Krzyż Zasługi był cenną pamiątką. Piotrek dostał go od samego Olka Prezia-Kwaśniewskiego.

Na wypadek kolejnych zbrodni popełnionych przez tego Nawrockiego Piotrek ma w zanadrzu kolejne mocne ciosy. Gdy będzie trzeba, to zwróci swoje dwa następne odznaczenia. Medal Pro Masovia, który dostał od Adama Struzika. Cudo z patynowanego tombaku! Aż szkoda oddawać, ale jak trzeba, to trzeba! I jeszcze jakąś odznakę dla samorządowców. Też fajna, dał ją Andrzej Halicki. Ostatnim rzutem na taśmę – w październiku 2015 r. PS Pytacie, z czego Piotrek jest znany? Z tego, że jest mężem Marty Fogler. Tak, tej słynnej budowniczej warszawskich mostów.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk

eprasa.pl 0476ddfa96

WIEŻA BAB

Ciche odejście

W polityce najbardziej trwałe nie są partie. Nawet nie liderzy. Najbardziej trwała jest wiara, że następnym razem się uda

Są polityczne odejścia z hukiem, są odejścia z orkiestrą i są też takie, które przechodzą niemal niezauważone, jak wyprowadzka sąsiada z czwartego piętra, o której człowiek dowiaduje się dopiero wtedy, gdy przestaje słyszeć odkurzacz o siódmej rano.

Tak właśnie wygląda rezygnacja Szymona Hołowni z kierowania Polską 2050. Informacja ważna i ciut symboliczna, ale zaginęła gdzieś pomiędzy kolejnymi politycznymi turbulencjami, a przede wszystkim w cieniu afery wokół Warszawskiego Szpitala Południowego, która skutecznie zajmuje uwagę mediów i opinii publicznej. Trudno nawet mówić o emocjach, bardziej o odnotowaniu faktu. Jak zmiany rozkładu jazdy autobusu. A przecież miało być inaczej.

Polska 2050 miała nie być kolejną partią. Miała być ruchem. Miała nie być klasycznym ugrupowaniem, tylko nową jakością. Miała nie odtwarzać starych mechanizmów, nie kopiować partyjnych rytuałów, nie zużywać się jak wszystkie wcześniejsze projekty polityczne. Miała stanowić odpowiedź na zmęczenie wojną plemion. Miała być polityką odświeżoną, przewietrzoną, odkurzoną i ustawioną według instrukcji obsługi obywatela.

Szymon Hołownia wszedł do polityki z energią człowieka, który patrzy na ten świat z zewnątrz i nie rozumie, dlaczego wszyscy od 30 lat robią wszystko dokładnie tak samo. Mówił o kulturze debaty, o współpracy, o państwie bez politycznej histerii. Był świeży. A w polskiej polityce świeżość zawsze robi wrażenie – mniej więcej do pierwszego posiedzenia zarządu.

Potem przyszła codzienność. Wewnętrzne wybory, frakcje, rozłamy, przejścia, budowanie klubów, zakładanie nowych grup, komunikaty o jedności i przecieki o braku jedności. Czyli dokładnie to, przed czym miało nie być ucieczki.

Nową przewodniczącą została Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, a Hołownia oddał stery, później zrezygnował również z funkcji wiceprzewodniczącego. Wszystko – jak słyszymy – „za zgodą i wiedzą władz". To sformułowanie ma w sobie coś wyjątkowo polskiego. Brzmi trochę tak, jakby polityk chciał wyjść z własnego mieszkania, ale najpierw zapukał do środka i zapytał, czy można.

Najzabawniejsze jest jednak to, że Szymon Hołownia wcale nie jest pionierem oddawania własnej partii. Przed nim był przecież Ryszard Petru. Założył Nowoczesną, stał się jej twarzą, po czym dość szybko przekonał się, że w polskiej polityce partia po pewnym czasie przestaje należeć do założyciela, a zaczyna należeć do logiki wydarzeń. Dziś Petru znów rozgląda się za nowym otwarciem i zapowiada kolejne przedsięwzięcie polityczne. Trzeci projekt. Trzecia próba. Trzecia wersja instalacyjna. To zresztą piękna tradycja polskiego centrum: każda porażka jest jedynie etapem do następnej nadziei.

Może więc nie ma powodu do przesadnego dramatyzmu. Skoro Petru może zakładać kolejną partię, to i przed Hołownią otwierają się możliwości. Być może za rok albo dwa pojawi się nowy projekt. Już nie Polska 2050, ale Polska 2060. Albo Polska Plus. Albo Umiarkowani. Albo Po Prostu Normalni. Hasło też pewnie będzie podobne: „Teraz już naprawdę będzie inaczej". Bo w polityce najbardziej trwałe nie są partie. Nawet nie liderzy. Najbardziej trwała jest wiara, że następnym razem się uda.

Chociaż jest też druga możliwość – bardziej gorzka i przez to mniej medialna. Być może Szymon Hołownia naprawdę doszedł do wniosku, że odmiana polskiej polityki nie jest projektem na jedną kadencję, jedną partię ani jednego człowieka. Być może uznał, że system skuteczniej przetwarza reformatorów niż reformatorzy system. A jeśli tak, to jego wycofanie się nie byłoby kolejnym politycznym manewrem, tylko bardzo polskim momentem utraty nadziei.

Dorota Łosiewicz



Czas ucinania rąk



– Kierowniku kochany, najlepszy premierze, mężu stanu światowego formatu – minister spraw wewnętrznych Pogłosowski klęczał przed Ronaldem Kłem tak zdenerwowany i przerażony, że przestał się jąkać. – To prawda, że chłopak jest ode mnie, ale skąd miałem wiedzieć, że będzie taki pazerny?

– Przecież my jesteśmy partią ludzi pazernych, Pogłosie! – tłumaczenie zaufanego ministra nie trafiło do premiera. – Kiedyś byliśmy partią ludzi ideowych, ale od czasu, kiedy nie mamy żadnego programu politycznego, czyli prawie od początku, jesteśmy partią nakierowaną na osobisty zysk! Ludzie są z nami, bo chcą się dorobić.

– A co w tym złego? – zapytał poseł Bartosz Harłukowicz, który rzadko bywał w gabinecie Kła i czuł się w obowiązku, by się odezwać.

– Nic w tym złego, ale oficjalnie jesteśmy ugrupowaniem ludzi, którym leżą na sercu wartości – odpowiedział premier. – Więc nie ma nic złego w pazerności do momentu, kiedy cię nie złapią. Wtedy złapany musi ponieść konsekwencje. A jak się zrobi duża afera, to musi zapłacić też jego partyjny patron.

– Eeee, ta afera wcale nie jest duża – spróbował zbagatelizować sprawę Pogłosowski. – A ja tego młodego lekarza prawie wcale nie znam...

Kłem aż zatrzęsło.

– Jak to prawie nie znasz?! – krzyknął. – Przyszedłeś do mnie i mówiłeś, że to elegancki chłopak, że trzeba mu dać zarobić. Nie mam nic przeciwko temu. Ale ponad półtorej bańki?! Dla 28-letniego szczyla bez specjalizacji?

– Lekarze powinni dużo zarabiać – rzeczowo zauważył Harłukowicz, który sam był lekarzem, choć bez specjalnych sukcesów w medycynie.

– Ty, Harłukowicz, trzymaj mordę, bo też zapłacisz za to głową! – Kieł nie przebierał w słowach. – Jak mogliście doprowadzić do tego, że Tenkrajczycy dowiedzieli się o zarobkach naszego człowieka? Jak mogła wypłynąć informacja o saloniku VIP?! Pytam, gdzie teraz pójdzie jeden z drugim na potężnym kacu na błyskawiczne odtrucie? Zwłaszcza ty, Pogłosie...

– Na kaca najlepsza jest woda z ogórków – Harłukowicz wykazał się znajomością tematu.

– Czasem woda nie wystarczy – refleksyjnie stwierdził Pogłosowski. I dodał przymilnym tonem. – Faktycznie, Kierowniku, nie wyszło dobrze z tym młodym lekarzem. Ale wspierał nas w kampanii wyborczej, szczuł na Fionę, to trzeba było mu coś dać. A jak zrobił dla nas ten salonik, to trochę straciłem czujność...

– Nie myśl, Pogłosie, że ujdzie ci to na sucho – odparł Kieł. – Ale na razie muszę szybko znaleźć temat zastępczy, by to jakoś przykryć. Że też zawsze muszę po was sprzątać...

Przerwał, bo ktoś zapukał do drzwi i po sekundzie do gabinetu wsunęła się gwiazda niezależnego dziennikarstwa, Justyna Szop-Pracz z telewizji w likwidacji.

– Dzień dobry, Kierowniku, zjawiam się na wezwanie. Cześć, Pogłosie, cześć, Barcie – Szop-Pracz delikatnie zasepleniła i zatrzepotała sztucznymi rzęsami w kierunku mężczyzn. – Zrobiła się aferka z tym doktorkiem i salonikiem, co?

– No właśnie, pani Justyno, zrobiła się zupełnie niepotrzebnie – odparł Ronald Kieł, patrząc lubieżnie na swoją ulubioną pracownicę mediów publicznych, która miała w zwyczaju ubierać się jak pracownica zupełnie innej branży, też publicznej. – Temat trzeba jakoś rozmasować, a w tym jest pani, a w zasadzie jesteś, Justyno, najlepsza.

Szop-Pracz dumnie wysunęła pierś do przodu i ponownie zatrzepotała rzęsami.

– Po co rozmasowywać, skoro można upiec dwie pieczenie? – odparła z uśmiechem. – Przecież można rzucić na pożarcie Rafaela.

– Jak to rzucić na pożarcie Rafaela? – wzdrygnął się Harłukowicz. – To przecież jest nasz człowiek.

– Może twój – warknął Kieł. – Przegrał wybory, ciągle udaje mądrzejszego ode mnie i miał nadzieję, że mnie wygryzie. On wcale nie jest mój!

– Czyli zwalamy wszystko na Rafaela! – ucieszył się Pogłosowski, który toczył podjazdową wojnę o wpływy w stolicy z byłym kandydatem na prezydenta Tenkraju.

– Nie bądź taki wyrywny, Pogłosie, bo jeszcze ciebie dam mediom na pożarcie – postraszył go Kieł. – Wystawienie Rafaela na strzał to ostateczność. Na razie stosujemy naszą normalną taktykę. Taktykę ręki.

– Co to za taktyka? – zapytał Harłukowicz, który czasem wolno kojarzył.

– Jak cię złapią za rękę, w której trzymasz cudzy portfel, mówisz, że to nie twoja ręka – odparł Kieł i złowrogo zarechotał. – A jak to nie pomoże i trzeba będzie uciąć komuś rękę, to nie zawaham się ani chwili...

MuMa

Fot.Grafika wygenerowana przez AI/MuMIN

eprasa.pl 0476ddfa96



Biblioteka klasztorna w Admont, Austria

Operacja Puszkin

W Paryżu trwa proces przeciwko sześciu Gruzinom, członkom złodziejskiej siatki, która od kilku lat kradła z europejskich bibliotek (w tym polskich) historyczne wydania dzieł literatury rosyjskiej. Jak się szacuje, złodzieje ukradli i wywieźli do Rosji ponad 170 drogocennych książek o łącznej wartości prawie 3 mln dol.

Przestępcy krążyli po Europie, posługując się fałszywymi tożsamościami i sfałszowanymi kartami bibliotecznymi. Poszukiwali rzadkich wydań rosyjskich rękopisów, aby je studiować, fotografować i zastępować falsyfikatami. Jeden z oskarżonych, Micheil Zamtaradze, odwiedził francuską Bibliotekę Narodową ok. 40 razy, głównie w poszukiwaniu dzieł Puszkina. Twierdził, że bada demokrację w literaturze rosyjskiej XIX w. Po jego wizytach bibliotekarze odkryli, że 9 książek o wartości ok. 750 tys. dol. zostało zastąpionych kopiami.

Złodzieje często pracowali w parach – podczas gdy jeden rozpraszał bibliotekarzy, drugi zastępował oryginały falsyfikatami. Wcześniej dokładnie studiowali wytypowane do kradzieży książki, starannie je fotografując. Podejrzewa się, że ta dokumentacja służyła fałszerzom do przygotowania jak najlepszych kopii.

Łupem szajki padały najczęściej rękopisy oraz pierwsze wydania dzieł literatury rosyjskiej: Gogola, Lermontowa, a przede wszystkim Puszkina. Z tego powodu śledztwo prowadzone przez francuską policję otrzymało kryptonim „Operacja Puszkin". Oprócz francuskich bibliotek ofiarą kradzieży padły także księgozbiory w Czechach, Estonii, Finlandii, Niemczech, Łotwie, Litwie, Holandii i Szwajcarii. Złodzieje pojawili się również w Polsce – udało im się wynieść kilka drogocennych wydań dzieł Puszkina i Gogola z Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego.

Przestępcy rozpoczęli działalność tuż po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji na Ukrainę w lutym 2022 r. Istnieje teoria, że ten związek czasowy to nie przypadek. Szajka Gruzinów miała działać na zlecenie Moskwy, która w obawie przed wybuchem wojny w Europie prowadziła operację „repatriacji" rosyjskich dzieł do kraju. Część ukradzionych książek pojawiła się jakoby na rosyjskich aukcjach, gdzie kupowali je bogaci oligarchowie. Zdaniem szefa rosyjskiego domu aukcyjnego Litfond Siergieja Burmistrowa nie było jednak żadnej tajnej operacji służb. Jak twierdzi, złodzieje wykorzystali „popyt na rosyjską klasykę" i brak zabezpieczeń europejskich księgozbiorów.

Do tej pory śledczym nie udało się ustalić zleceniodawcy ani schwytać wszystkich członków szajki. Oni sami zaprzeczają, że działali na czyjeś polecenie. Grozi im kara do 10 lat pozbawienia wolności.

Konrad Kołodziejski


Fot. Artur Turko/Shutterstock.com



Trump w spódnicy

Australijska partia One Nation pod wodzą Pauline Hanson konsekwentnie przejmuje elektorat establishmentowej prawicy z Partii Narodowej i Partii Liberalnej, które w kolejnych wyborach uzupełniających utraciły niedawno jeden ze swoich historycznych okręgów.

Pauline Hanson działa w polityce niemal od 30 lat i jest typową reprezentantką klasy średniej. Niektórzy porównują ją do Nigela Farage'a albo Donalda Trumpa. Jako zdeklarowana przeciwniczka imigracji proponowała m.in. wprowadzenie zakazu zasłaniania twarzy przez muzułmanki. Gdy zjawiła się na posiedzeniu senatu ubrana jednocześnie w burkę, sukienkę i buty na wysokim obcasie, została wykluczona z posiedzeń izby oraz ogłoszona „rasistką".

Hanson sprzeciwia się również przywilejom, jakimi w ostatnich latach objęto rdzennych Aborygenów oraz „transpłciowej rebelii". Przede wszystkim One Nation domaga się jednak powrotu do wizji Australii jako społeczeństwa monokulturowego, wskazując na to, że ponad 20 proc. mieszkańców nie mówi już po angielsku i oskarżając lewicowy rząd o kryzys mieszkaniowy, wywołany niekontrolowanym napływem obcokrajowców.

Lokalne zwycięstwa jej partii są odczytywane jako zapowiedź zmian na znacznie szerszą skalę. Już rok temu One Nation uzyskała 6,4 proc. głosów w wyborach parlamentarnych przy historycznej klęsce liberalno-narodowej koalicji, która została zmuszona do oddania władzy. Popularność ugrupowania gwałtownie wzrosła po grudniowym ataku terrorystycznym podczas obchodów żydowskiego święta Chanuka na jednej z plaż w Sydney. Zamachowcy imigranckiego pochodzenia zastrzelili wtedy 15 osób, a atak został przypisany Państwu Islamskiemu.

Obawy o bezpieczeństwo i rosnące niezadowolenie społeczne sprawiły, że ugrupowanie Pauline Hanson zaczyna być postrzegane jako główna siła opozycyjna wobec rządu Anthony'ego Albanesego z Partii Pracy. Jej popularność to kolejny objaw załamania się neoliberalnego modelu polityczno-gospodarczego i możliwego powrotu do protekcjonizmu oraz państwa narodowego.

Maciej Walaszczyk

Fot. jfish92/Creative Commons CC0

eprasa.pl 0476ddfa96

Dania

Niewygodna prawda o „Niewygodnej prawdzie”

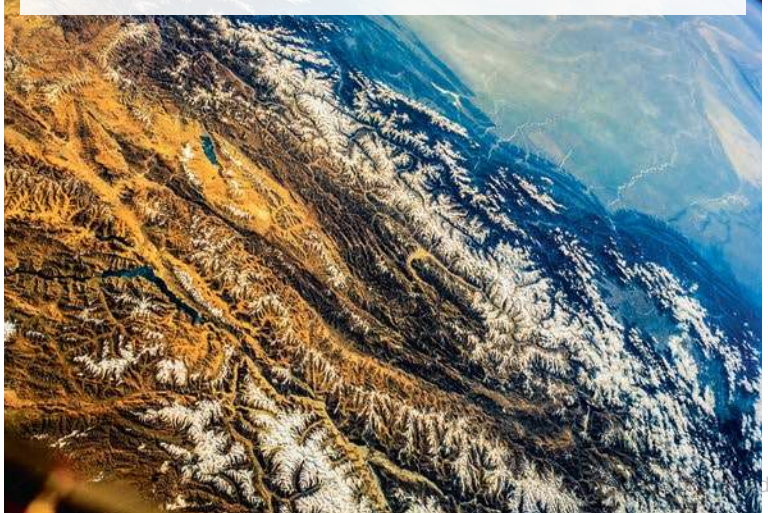
20 lat temu na ekrany kin trafił film dokumentalny „Niewygodna prawda” w reżyserii byłego wiceprezydenta USA Ala Gore’a. Przyniósł on autorowi statuetkę Oscara i Pokojową Nagrodę Nobla. Co ważniejsze, wspomniany obraz na dwie dekady ukształtował politykę klimatyczną państw Zachodu.

Z okazji tej rocznicy znany duński politolog Bjørn Lomborg postanowił przyjrzeć się tezom zawartym we wspomnianym filmie. Okazuje się, iż żadne z ponurych proroctw przedstawionych przez amerykańskiego polityka nie spełniło się, a w wielu przypadkach zaobserwowano wręcz trend odwrotny od przewidywanego. Al Gore zapowiadał np. gwałtowny wzrost liczby zgonów spowodowanych ekstremalnymi zjawiskami pogodowymi, tymczasem ich średnia w porównaniu z analogicznym okresem XIX w. nie zwiększyła się, lecz zmalała – i to aż o 97 proc. Wbrew alarmistycznym prognozom obszar terenów zniszczonych przez pożary zmniejszył się w ostatnim ćwierćwieczu o 25 proc., populacja niedźwiedzi polarnych natomiast nie zanikła, lecz wzrosła – i to ponaddwukrotnie w ciągu 60 lat.

Wszystkie te pozytywne wskaźniki nie wynikają jednak z zielonej transformacji energetycznej. Jak pokazuje Lomborg, w 2006 r. 82,6 proc. globalnej energii pochodziło z paliw kopalnych, a dziś odsetek ten wynosi 81,1 proc. Mimo to przez cały ten czas na wdrażanie rygorystycznej polityki klimatycznej wydano na świecie astronomiczną sumę aż 16 bln (!) dol.

Choć żadna prognoza zaprezentowana w filmie nie sprawdziła się, a gigantyczne wydatki na politykę klimatyczną nie przyniosły rezultatów, nowy zielony ład nadal jest forsowany przez UE. Dużą rolę odgrywają w tym interesy finansowe, ponieważ wspomniane 16 bln dol. musiało trafić do czyichś kieszeni. Kluczowy okazał się jednak czynnik polityczny, ponieważ cały aktywizm klimatyczny bazuje na zarządzaniu strachem i odbieraniu ludziom wolności na rzecz złudnego poczucia bezpieczeństwa. Chodzi więc o większy zakres władzy dla polityków przedstawiających się jako jedyni zbawcy świata przed grożącym nam kataklizmem.

Grzegorz Górny



Fot. Shutterstock

Kolumbia



El Tigre wygrywa

Abelardo de la Espriella „El Tigre”, polityk uchodzący za skrajnie prawicowego, wygrał wybory prezydenckie w Kolumbii, zdobywając w drugiej turze 49,6 proc. głosów (ponad 12 mln). Jego przeciwnicy, nie mogąc pogodzić się z porażką, domagają się ponownego przeliczenia głosów. „El Tigre” wygrał ze swoim rywalem, lewicowym senatorem Iványem Cepedą, różnicą jedynie 247 tys. głosów, co w przypadku ponad 50-milionowego kraju, jakim jest Kolumbia, nie daje mocnego mandatu i zapowiada okres ostrej walki politycznej.

Ten 47-letni prawnik, znany z ekstrawaganckiego stylu życia, w tym obnoszenia się ze swoim bogactwem, jest kolejnym przywódcą latynoskiej prawicy, który zwycięża w wyborach. Espriella to zdecydowany liberał, który nie kryje fascynacji polityką prezydenta Argentyny Javiera Mileia. Komentatorzy mówią nawet o „prawicowej fali”, która zmienia polityczne oblicze kontynentu. „El Tigre” zasłużył na swoją reputację zwolennika twardych rządów i populisty, odwołując się do zdecydowanej walki z przestępczością na wzór Salwadoru. Deklarował też rozprawienie się z kartelami narkotykowymi, których aktywność tolerował znany ze swojej antyamerykańskości poprzedni prezydent Kolumbii Gustavo Petro.

Sytuacja w kraju jest napięta, bo współpracownicy ustępującego prezydenta, który przez lata był jednym z liderów lewicowej partyzantki, zapowiedzieli, że nie uznają niekorzystnego dla siebie głosowania. „Niech liderzy biznesu zachowają ostrożność” – powiedział w ubiegłym tygodniu Gustavo Bolívar, prominentny współpracownik Petro. „Jeśli wygra skrajna prawica, ten kraj stanie w płomieniach” – ostrzegł.

Radości ze zwycięstwa Esprielli nie kryje za to Waszyngton, tym bardziej że polityk ma oprócz kolumbijskiego również amerykańskie obywatelstwo. Marco Rubio pogratulował mu wyborczego sukcesu – „El Tigre” osiągnął go tydzień po tym, jak kandydatka prawicy wygrała wybory prezydenckie w Peru.

W dużych państwach Ameryki Łacińskiej już tylko w Brazylii i Meksyku rządzi lewica, ale ambicją administracji Trumpa jest doprowadzenie do zwycięstwa wyborczego nowych, prawicowych ruchów politycznych także tam.

Marek Budzisz

Fot. Anamaria Mejia/Shutterstock.com

Wsteczny haracz

Gdy to czytacie – może na leżaku gdzieś nad wodą, bo zaczęły się wakacje – ustawa o podatku od nadzwyczajnych zysków z paliw, już po Senacie, wróciła w tym tygodniu do Sejmu na ostateczne głosowanie. Koalicja Tuska proceduje ją błyskawicznie – w ciągu kilku tygodni decyduje o miliardach złotych haraczu. 60 proc. od nadwyżki przychodów ze sprzedaży paliw ponad marżę z 2025 r. powiększoną o 20 proc. Danina ma objąć okres od marca do końca grudnia 2026 r., choć sama ustawa wejdzie w życie dopiero 1 sierpnia. Cel? Sfinansowanie pakietu „Ceny Paliw Niżej", który dogorywa z końcem czerwca

Wyobraźcie sobie prostą sytuację z życia. W marcu kupujecie wyjazd na wakacje – dla siebie nad morze albo kolonie dla dzieci – według cen, które wtedy były. Robicie to uczciwie, według obowiązujących wówczas zasad. A w lipcu państwo wam mówi: „Wiecie co? Te zakupy wakacji powyżej cen z zeszłego roku uznajemy za nadzwyczajne. Oddajcie w podatkach 60 proc. nadwyżki, bo budżet nam się nie spina". Tyle że w marcu nikt wam nie powiedział o takiej regule – po prostu jej nie było.

To jest właśnie wsteczny haracz. Państwo zmienia reguły gry po fakcie. W marcu, kwietniu i maju firma paliwowa sprzedawała paliwo po cenach, które wynikały z rynku. Nikt jej nie uprzedził, że za kilka miesięcy państwo zabierze 60 proc. części zarobku. Przedsiębiorca nie mógł zaplanować inwestycji, kontraktów ani zapasów. Po prostu działał w normalnych warunkach. A teraz słyszy: „Za to, co już zarobiliście, płacicie ekstra". To złamanie podstawowej reguły – człowiek musi wiedzieć, na jakich zasadach gra, zanim zacznie. Bez tego nie ma zaufania do państwa ani do prawa. Człowiek czuje się jak w pułapce.

Porównajmy to z 2022 r., gdy rosyjska agresja na Ukrainę naprawdę mieszała w cenach. Premier Morawiecki wprowadził tarczę antyinflacyjną – cięcia VAT i akcyzy. Dzięki wcześniejszej dywersyfikacji dostaw, terminalom LNG i zerwaniu z rosyjską ropą ORLEN utrzymywał ceny wśród najniższych w Europie. Nikt wtedy nie wymyślał kar za to, że firma przetrwała kryzys z klasą. Zyski przeznaczano na inwestycje i bezpieczeństwo energetyczne. Dziś mechanizm jest diaboliczny – najpierw dajemy ulgę kierowcom, grając dobrego wujka, a potem szukamy głupiego, który zapłaci za naszą dobroć. ORLEN ma pokryć sporą część z szacowanych 4 mld zł wpływów. Czysta redystrybucja pachnąca komunizmem. A na koniec i tak zapłacicie za to wy – wyższymi cenami na stacjach.



A Bruksela? W kwietniu pięć państw (Niemcy, Włochy, Hiszpania, Austria i Portugalia) apelowało o unijny mechanizm na nadzwyczajne zyski paliwowe. Minęły ponad dwa miesiące – Komisja Europejska „ocenia", organizuje spotkania i zleca analizy. W tym czasie polski Sejm działał w ekspresowym tempie, Senat „zastanawiał się", teraz ostatecznie głos zabierze Sejmu. To klasyczna unijna solidarność: przy nakładaniu na Polskę kosztów Zielonego Ładu i ETS tempo jest błyskawiczne, przy realnym szoku geopolitycznym – listy, panele i „radźcie sobie sami". Piękna lekcja europejskiego federalizmu.

Najzabawniejsze jest to, jak giętkie stało się pojęcie „nadzwyczajnych zysków". W 2022 r. przetrwanie kryzysu nie było karalne. W 2026 r. stanowi powód wprowadzenia specjalnej daniny. Podatek „tymczasowy" i „wyjątkowy" – dokładnie jak wszystkie poprzednie, które nigdy nie znikają. Rząd najpierw robi dziurę w budżecie, obniżając podatki, potem zatyka ją pieniędzmi firm, które mogłyby ją zapełnić inwestycjami.

Na szczęście polski sektor paliwowy ma twardą skórę. Własne rafinerie, dywersyfikacja dostaw i lata budowania odporności nie znikną od jednego wstecznego haraczu. Polacy mają dobrą pamięć – nie zapomnieli, kto w 2022 r. pilnował, by bak był pełny, a ceny nie szalały, kto zaś w 2026 r. najpierw obiecywał ulgę, a potem wystawił rachunek za minione miesiące.

W tym tygodniu Sejm pewnie postawi kropkę nad i. Ale jest jeszcze prezydent. Panie prezydencie, zawetuj pan tę ustawę. Nie pozwól, by państwo łamało podstawową zasadę uczciwej gry – że reguł nie zmienia się w trakcie meczu. Kryzysy przychodzą i odchodzą. Prawdziwa siła Polski tkwi nie w tym, ile da się wycisnąć z krajowych championów po fakcie, lecz w tym, ile odporności uda się zbudować na przyszłość. I ta odporność – mimo wszystko – wciąż jest naszą największą przewagą. Przetrwamy również tym razem, ale następnym warto dwukrotnie pomyśleć, zanim zmienimy reguły gry w trakcie meczu.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 0476ddfa96

Konserwatywne domino Trumpa?



Marta Kaczyńska-Zielińska

W Ameryce Południowej zachodzi obecnie jeden z najbardziej wyrazistych procesów politycznych ostatnich dekad – zjawisko, które można określić mianem „konserwatywnego domina". Po okresie dominacji rządów lewicowych kolejne państwa kontynentu wybierają prawicowych przywódców.

Proces ten rozpoczął się od spektakularnego zwycięstwa Javiera Mileia w Argentynie pod koniec 2023 r., a jego kolejną odsłoną stały się wygrane konserwatystów w Ekwadorze, Panamie, Boliwii, Chile, Hondurasie, Kostaryce, Peru aż po Kolumbię. Ta zmiana jest efektem zmęczenia społeczeństw korupcją, brakiem bezpieczeństwa oraz nieskutecznością dotychczasowych modeli gospodarczych. Nowi liderzy, często przedstawiający się jako polityczni outsiderzy, zdobywają poparcie dzięki obietnicom radykalnego zerwania z przeszłością, ograniczenia wpływów „elit" oraz prowadzenia zdecydowanych działań przeciwko przestępczości zorganizowanej.

Istotnym elementem tej transformacji jest również dyskusja o wpływie czynników zewnętrznych, szczególnie zmianą polityki finansowania przez amerykańską agencję United States Agency for International Development (USAID). W ostatnich latach za sprawą działań administracji Donalda Trumpa rozpoczęto rewizję wydatków agencji, która wcześniej wspierała liczne organizacje pozarządowe o profilu skrajnie lewicowym. Ograniczenie tego rodzaju finansowania wpłynęło zapewne na osłabienie zaplecza organizacyjnego i medialnego części ruchów progresywnych, tworząc przestrzeń dla konserwatywnej kontrofensywy.

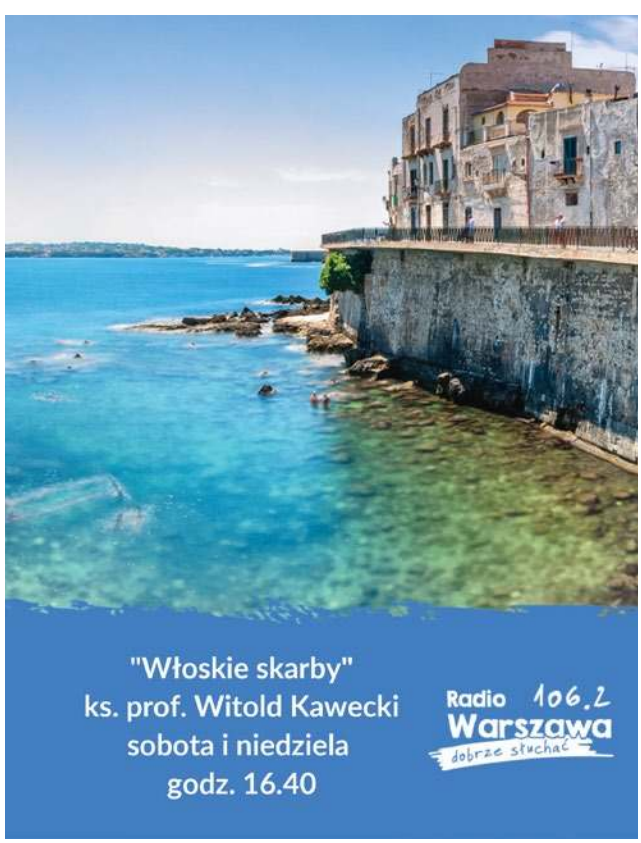
Obserwowane zjawisko odwracania się wyborców w Ameryce Łacińskiej od lewicy i kierowania poparcia ku konserwatystom oraz libertarianom nie ma precedensu pod względem szybkości i skali, choć wpisuje się w wieloletnią historię kontynentu, gdzie polityczne wahadło regularnie przechylało się między lewicą a prawicą.

Punktem zwrotnym był 2023 r. w Argentynie. Javier Milei, ekonomista, libertarianin i tzw. osobowość medialną, pokonał peronistycznego rywala Sergia Massę. Nie był jednak klasycznym politykiem centroprawicy. Reprezentował nurt radykalny, określając się jako anarchokapitalista i zapowiadając całkowitą przebudowę państwa. Jego zwycięstwo stało się impulsem dla prawicy w całym regionie. W podobnym czasie w Ekwadorze centroprawicowy przedsiębiorca Daniel Noboa pokonał kandydatkę lewicy Luisę González, a w Panamie José Raúl Mulino przejął władzę po obozie centrolewicowym. Kolejna fala przyszła w 2025 r. W Boliwii centroprawicowy Rodrigo Paz Pereira pokonał dominujący przez niemal dwie dekady ruch socjalistyczny związany z Evo Moralesem. W Chile prawicowy José Antonio Kast zwyciężył nad kandydatką lewicy, kończąc okres rządów Gabriela Borica. Następnie zmiany zaszły w Hondurasie, Kostaryce oraz Peru. Ostatnim ogniwem tej serii jest Kolumbia. W czerwcu br. prawicowy prawnik Abelardo de la Espriella zwyciężył w wyborach prezydenckich, pokonując kandydata lewicy wspieranego przez ustępującego prezydenta Gustava Petro. Było to wydarzenie szczególnie symboliczne, bowiem zaledwie cztery lata wcześniej Kolumbia po raz pierwszy w swojej historii wybrała prezydenta reprezentującego lewicę.

Obecna fala konserwatywna różni się od poprzedniej skalą i intensywnością. Nie obejmuje już wyłącznie państw tradycyjnie wahających się między prawicą a lewicą, lecz zmienia wyniki w krajach, które dopiero co odkryły lewicę.

Jedną z najczęściej dyskutowanych prób wyjaśnienia tempa obecnych zmian jest rola wspomnianej wcześniej amerykańskiej agencji rozwojowej USAID. Prezydent Donald Trump ograniczył o 84 proc. finansowanie sieci organizacji, które przez lata stanowiły zaplecze polityczne i społeczne lewicy. Rozczarowaniu rządami lewicowymi w zakresie sprawiedliwości społecznej, stabilności gospodarczej oraz bezpieczeństwa towarzyszą zmiany kulturowe objawiające się wzrostem znaczenia konserwatywnych ruchów religijnych. Konserwatywna fala jest więc nie tylko reakcją o podłożu ekonomicznym, lecz także odpowiedzią na szerszą zmianę społeczną, rozwijającą się zapewne również za sprawą zaprzestania nachalnej promocji lewactwa.

REKLAMA



24/0526/F

eprasa.pl 0476ddfa96



Walizka Magdaleny Wierzchowskiej

dziennikarki wPolsce24

Bardzo lubię podróżować. Uwielbiam latać samolotem do tego stopnia, że czerpię frajdę z samego pobytu na lotnisku. Nadal uważam to za przyjemny luksus. Byłam na pięciu kontynentach i nie ma miejsca, które w jakikolwiek sposób zniechęciło mnie do powrotu. Każda podróż jest przygodą i przyjemnością. Zazwyczaj wybieram intensywne zwiedzanie, chociaż zdarzają się również takie urlopy, gdy celowo do oglądania nie ma nic i jest sam wypoczynek. Intensywność pracy sprawia, że czasami mam ochotę po prostu patrzeć na słońce i wodę. Ale gdy dotrę tam, gdzie są muzea, to nie ma mowy, by ich nie odwiedzić. Czerpię ogromną przyjemność z oglądania na żywo tego, o czym kiedyś uczyłam się w szkole. W piątej klasie podstawówki dostałam książkę „100 cudów świata". Część już widziałam, ale zostało jeszcze trochę do odwiedzenia. Pracując w stacji informacyjnej, trudno „wylogować się" z newsów nawet na wakacjach. Ograniczam wtedy częstotliwość sprawdzania wydarzeń, ale nie rezygnuję z informacji, bo dziennikarstwo to po prostu część mnie, niezależnie od tego, gdzie jestem.







KUBEK TERMICZNY. Zawsze i wszędzie. Dla niewtajemniczonych: równie dobrze utrzymuje temperaturę zarówno ciepłych, jak i chłodnych napojów.



KSIĄŻKI Niezbędny dodatek. Uwielbiam kryminały i to, jak pochłaniają mnie od pierwszego zdania, m.in. napisane przez Tess Gerritsen. Chętnie sięgam też na inne półki. Moim ulubionym autorem jest John Irving. Moja miłość do niego zaczęła się od „Świata według Garpa".

eprasa.pl 0476ddfa96





FILIŻANKI

Kolekcjonuję je, więc przywożę jako pamiątki. Różową nabyłam w sklepie ze starociami w Bremie. Czarna jest z Karlskrony i według sprzedawczyni była produkowana w tamtejszej fabryce porcelany w latach 40. Z kolei filiżankę art-deco wypatrzyłam w Wiedniu, a niebieską kupiłam w Norwegii, gdy rekompensowałam sobie brak zorzy polarnej.

OBRAZY

Lubię przywozić je z wakacji. Plakat pochodzi z Muzeum Alfonsa Muchy w Pradze, z kolei grafikę z Wieżą Eiffla kupiłam u bukinisty nad Sekwaną – jest to strona z magazynu z 1928 r.





BUTY

Na urlopie szpilki zamieniam na koturny. Są dużo wygodniejsze, a w razie potrzebnej elegancji spełniają swoją funkcję. Najwięcej czasu spędzam jednak w sandałach lub na bosaka. Noszenie innego obuwia latem jest dla mnie udręką. Wyjątek stanowią buty trekkingowe, bo uwielbiam chodzić po górach.



SŁUCHAWKI

Powerbank, tablet – gdy nie czytam i nie śpię, nadrabiam zaległości filmowe.

URLOPOWE SUKIENKI

Lekkie, najlepiej niegniotące się, w nadruki, które wybaczają brak żelazka. Zazwyczaj zabieram ze sobą tzw. żelazko w płynie, ale gdy miejsce w walizce jest ograniczone, materiał musi to zrozumieć.





PODUSZKA

Kupiłam dosyć wysoką, która naprawdę podtrzymuje głowę podczas drzemki. Pokrowiec szyty u krawcowej, bo oryginalny został w samolocie na Skiatos. Podczas podróży nadrabiam też deficyty snu.



LEN!

Lniane koszule – sprawdzą się w niemal każdej wakacyjnej sytuacji, ale zabieram też lniany ręcznik. Tak – wożę ze sobą ręczniki, z których korzystam na plaży. Nigdy sztuczne szybkoschnące, tylko lniane lub muślinowe – schną równie szybko i przez cały wyjazd ładnie pachną.



JEDZENIE DLA ZWIERZĄT

Mam trudną do opanowania potrzebę głaskania wszystkiego, co ma sierść lub pióra. Oprócz kociego jedzenia zabieram ze sobą orzechy – dla wiewiórek i ptaków.



KOSMETYKI

Uwielbiam zapachy letnich kosmetyków. Zapisują się w pamięci tak jak widoki, które mnie zachwycają. Potem wystarczy otworzyć opakowanie balsamu z filtrem przeciwsłonecznym i znów jestem tysiące kilometrów od domu, mrużę oczy od słońca, słucham fal rozbijających się o brzeg i czuję słony zapach ciepłej morskiej wody. Wokół mnie bliscy i ta błogość bezczasu.

BIŻUTERIA

Po prostu lubię ją nosić. Na wyjazdy staram się zabierać mniej wartościową materialnie, chociaż nie jest to regułą.



Wysłuchał i zapisał
Michał Korsun

Fot. Michał Korsun, prywatne archiwum Magdaleny Wierzchowskiej, materiały prasowe: I-Blason, Lovely Linen

eprasa.pl 0476ddfa96

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Przerażająca większość



Jan Pietrzak

Partyjny przyjemniaczek z plajtującej Platformy, taki fajny, taki uśmiechnięty, a narobił swojej partii sporo kłopotów, zgarniając kasę jako samorodny znachor. Zgubiły go zachłanność i poczucie bezkarności. Nie będziemy się nadmiernie przejmować upadkiem przyjemniaczka i jego chorej partii, ale Polską przejmować się powinniśmy. Przez takich modeli, stanowiących „trzon" rządzącej ekipy, pędzimy rączo do upadku. Wszyscy. Niestety, niestety... Bo społeczeństwo jest systemem naczyń połączonych.

Słowo „trzon" to wrzutka z mojej pamięci. Tak sobie drwiłem w Kabarecie pod Egidą we wczesnych latach 70.: „Aby nikomu nie przesłonił naszych zdobyczy uśmiech krzywy, troszczy się zdrowe jądro trzonu aktywu kolektywu, za którym stoi w zwartym szyku przeważająca większość ofiarnych pracowników". Szydercza piosenka została odnotowana w raporcie SB, zwłaszcza że niby przez nieuwagę myliłem się w tekście, śpiewając „przerażająca większość" (tekst dostępny w książce „Jak obaliłem komunę", LTW 2010.)

Ponieważ Polską po licznych przemianach znowu rządzi przerażająca większość, pozwolę sobie przytoczyć deklarację programową mojego kabaretu, wygłaszaną w duecie z Jonaszem Koftą w tamtych właśnie latach":

„J.P.: O co walczymy? Jesteśmy zobowiązani wobec historii i frekwencji do samookreślenia się w tej fundamentalnej kwestii.

J.K.: Zaczniemy historycznie, by ukazać tło, uwypuklić i zarysować. O co już walczyliśmy? O wyzwolenie niewolników! I wyzwoliliśmy ich! O zniesienie pańszczyzny! I znieśliśmy pańszczyznę!

J.P.: Zniesiemy jeszcze więcej! Wolność, równość, frajerstwo wprowadziliśmy też nie bez walki i przepychanki!

J.K.: Nie wszyscy się chcieli spoufalać!

J.P.: Walczyliśmy o zniesienie wyzysku człowieka przez człowieka!

J.K.: I teraz jest odwrotnie!

J.P.: Walczyliśmy nie bez poświęceń o równe prawa dla ślubnych kobiet i naszych nieślubnych dzieci. Wydalimy walkę analfabetom i jeszcze raz siły postępu okazały się niezwyciężone!

J.K.: Z czym teraz mamy walczyć? Chyba z alkoholizmem!

J.P.: Nie patrz na mnie! Walczyć z wiatrakami nie zamierzamy. Walkę tę wygramy, likwidując wiatraki i wprowadzając młyny parowe w przemyśle gorzelniczym!

J.K.: Musimy zatem rozpocząć walkę z reliktami i bolączkami! Zacząć szukać przeciwników wśród nas! A kiedy ich znajdziemy i zwalczymy, będziemy szukać wrogów w nas samych!

J.P.: Nie będzie to łatwa walka, ale my sami z sobą damy sobie radę, bo nie jesteśmy w tej walce osamotnieni!

J.K.: Jest z nami cała postępowa ludzkość ze Związkiem Radzieckim na czele!".

Minęły lata, historia oraz satyra sprawiły, że Związku Radzieckiego już nie ma, ale innych przerażających większości w rodzaju eurokołchozu nie brakuje!

Niebezpieczny wyjątek



Samuel Pereira

Korupcja jest zła. To rak, który toczy państwo, ale nie ona jest największym zagrożeniem. Nie jest nim nawet nepotyzm czy nadużywanie stanowisk. Najgroźniejszy jest moment, w którym ludzie sprawujący władzę zaczynają wierzyć, że obowiązują ich inne zasady niż wszystkich pozostałych. Wtedy rodzi się przekonanie, że można wejść gdzieś poza kolejką, zadzwonić do odpowiedniej osoby, ominąć procedury, złamać przepisy, a jeśli sprawa wyjdzie na jaw – przeczekać burzę, wcześniej kłamiąc, manipulując i odwracając kota ogonem.

Dlatego afera wokół Warszawskiego Szpitala Południowego jest czymś więcej niż kolejnym politycznym skandalem. Dziś jedni wskazują na zarobki i na ścieżkę VIP, drudzy na relacje lekarzy i działania kierownictwa, a jeszcze inni na zastraszanie sygnalisty. To ostatnie jest rzeczywiście niepokojącym (kolejnym po sprawie sygnalistki odwołanej z Instytutu Pileckiego) sygnałem ostrzegawczym.

Dlaczego w Polsce niektórym tak łatwo przychodzi akceptowanie „wyjątków"? Przecież każdy system patologii zaczyna się właśnie od wyjątku. To tylko jeden telefon. To tylko jeden znajomy. To tylko jeden polityk. To tylko jeden lekarz. Z czasem wyjątek przestaje być wyjątkiem, a staje się zasadą, którą wszyscy znają, choć nikt nie chce jej głośno wypowiedzieć.

A może to mój nadmierny pesymizm i jednak afera SOR VIP obali tę władzę? W końcu rządy nie upadają jednego dnia. W tej sprawie codziennie pojawiają się nowe wątki, nowi bohaterowie – jak w serialu. Zapewne w ciągu kilku miesięcy poznamy więcej faktów. Być może inne tematy mocniej przyciągną naszą uwagę, ale jest coś, co nie powinno zależeć od zainteresowania. W demokratycznym państwie nie może być dwóch standardów odpowiedzialności – jednego dla swoich, a drugiego dla wszystkich pozostałych. Bo kiedy wyjątek staje się przywilejem, a przywilej elementem systemu, największym przegranym nie jest żadna partia. Największym przegranym staje się zaufanie obywateli do państwa polskiego. *Cui bono?*

eprasa.pl 0476ddfa96



ODCINEK 1. NAWODNIENIE ORGANIZMU

Zdrowie – zacznij od... wody

Choć myślenie o zdrowym stylu życia często kojarzy się z rygorystyczną dietą czy wycieńczającymi treningami, wszelkie działania prozdrowotne należy zacząć od absolutnego fundamentu – wody

Woda jest najważniejszym składnikiem organizmu człowieka. Stanowi 50–70 proc. masy ciała i uczestniczy praktycznie we wszystkich procesach życiowych. Mimo to każdego dnia wiele osób dostarcza jej zbyt mało.

NIEZBĘDNA DLA ZDROWIA

Woda umożliwia transport składników odżywczych i tlenu do komórek, bierze udział w procesach metabolicznych, wspiera usuwanie produktów przemiany materii oraz pomaga utrzymać prawidłową temperaturę ciała. Bez odpowiedniego nawodnienia narządy takie jak nerki, serce czy mózg nie mogłyby prawidłowo funkcjonować. Nawet niewielkie niedobory płynów mogą wpływać na sprawność fizyczną i psychiczną. Odwodnienie sięgające zaledwie 1–2 proc. masy ciała może prowadzić do pogorszenia koncentracji, obniżenia wydolności wysiłkowej i zwiększonego uczucia zmęczenia.

Woda jest również niezbędna do prawidłowego przebiegu procesów trawienia, wchłaniania składników odżywczych oraz utrzymania odpowiedniej objętości krwi krążącej w organizmie.

Wiele osób kojarzy odwodnienie wyłącznie z silnym pragnieniem. Tymczasem pierwsze sygnały mogą być znacznie subtelniejsze:

- suchość w jamie ustnej,
- bóle i zawroty głowy,
- uczucie zmęczenia,
- pogorszenie koncentracji,
- senność,
- ciemniejsze zabarwienie moczu,
- rzadsze oddawanie moczu.

Rozpoczynamy wyjątkowy, 12-odcinkowy cykl poświęcony zdrowiu, którego główną ideą jest popularyzowanie profilaktyki zdrowotnej. W kolejnych odcinkach będziemy udowadniać, że zapobieganie chorobom poprzez edukację, świadomą zmianę stylu życia oraz wczesną diagnostykę to najlepsza inwestycja w samego siebie.

W bardziej zaawansowanych przypadkach mogą się również pojawić przyspieszone bicie serca, spadek ciśnienia tętniczego, zaburzenia orientacji czy omdlenia.

Na szczególne ryzyko odwodnienia narażone są dzieci, osoby starsze oraz pacjenci cierpiący na choroby przewlekłe. W ich przypadku mechanizmy regulujące gospodarkę wodną często działają mniej efektywnie niż u zdrowych dorosłych.

ILE PŁYNÓW POTRZEBUJEMY?



Nie istnieje jedna uniwersalna ilość wody odpowiednia dla każdego człowieka. Zapotrzebowanie zależy od wieku, masy ciała, poziomu aktywności fizycznej, temperatury otoczenia oraz stanu zdrowia. Europejski Urząd ds. Bezpieczeństwa Żywności (EFSA) zaleca, by całkowita dzienna podaż wody wynosiła ok. 2 l dla kobiet i 2,5 l dla mężczyzn. Warto pamiętać, że część tej ilości pochodzi z pożywienia, szczególnie warzyw, owoców, zup czy produktów mlecznych.

Podczas upałów, intensywnego wysiłku fizycznego, gorączki lub biegunki zapotrzebowanie na płyny może znacząco wzrosnąć. W takich sytuacjach konieczne jest regularne uzupełnianie strat.

NAJCZĘSTSZE BŁĘDY

Jednym z najczęściej popełnianych błędów jest picie dużych ilości płynów dopiero wtedy, gdy pojawi się silne pragnienie. Znacznie lepiej sprawdza się regularne przyjmowanie niewielkich porcji wody przez cały dzień. Wiele osób sięga również po słodzone napoje dostarczające znaczne ilości cukru, lecz nie zawsze skutecznie gaszące pragnienie. Niekorzystne jest także nadmierne spożywanie alkoholu, który zwiększa utratę płynów, tym samym nasila odwodnienie. Podczas upałów warto pamiętać również o odpowiednim ubiorze, ograniczaniu aktywności fizycznej w najgorętszych godzinach dnia oraz zwiększaniu spożycia produktów bogatych w wodę, takich jak arbuzy, ogórki czy pomidory.

Filip Siódmiak

Absolwent kierunku dietetyka na Gdańskim Uniwersytecie Medycznym. Dietetyk kliniczny w Uniwersyteckim Centrum Klinicznym w Gdańsku, gdzie zdobywa doświadczenie w pracy z pacjentami wymagającymi specjalistycznej opieki żywieniowej, autor licznych artykułów na temat zdrowego stylu życia dostępnych na portalu wGospodarce.pl

PARTNER CYKLU

FUNDACJA Sanitas

Źródła: • EFSA Panel on Dietetic Products, Nutrition, and Allergies (NDA), „Scientific Opinion on Dietary reference values for water", „EFSA Journal" 2010, t. 8, nr 3 (1459). • Barry M. Popkin et al., „Water, hydration, and health", „Nutrition reviews" 2010, t. 68, nr 8, s. 439–458. • Lawrence E. Armstrong, „Challenges of linking chronic dehydration and fluid consumption to health outcomes", „Nutrition reviews" 2012, t. 70, Suppl. 2, s. 121–127.

Artykuł sponsorowany | 010526/F/ZAL

eprasa.pl 0476ddfa96

Polska pomoc bez dywidendy



Polska była pierwsza. Pierwsza przyszła Ukrainie z pomocą po rosyjskiej agresji. Przyjęliśmy miliony uchodźców, przekazaliśmy sprzęt wojskowy, zapewniliśmy wsparcie humanitarne, polityczne i logistyczne. Od początku byliśmy najważniejszym zapleczem walczącej Ukrainy.

Dziś trwa wyścig o odbudowę naszego wschodniego sąsiada. W Polsce organizowane są konferencje – jak ta w Gdańsku – spotkania biznesowe i fora gospodarcze. Tylko jaka jest w tym wszystkim rola Polski?

Mam wrażenie, że Polska stawia namiot, przygotowuje stół, zaprasza gości i organizuje całą debatę o odbudowie Ukrainy, po czym sama odsuwa się na bok i patrzy, jak inni dzielą między sobą przyszłe miliardowe kontrakty. Gdy mer Lwowa podpisuje kolejne umowy dotyczące inwestycji i odbudowy miasta, wśród partnerów pojawiają się firmy z Niemiec, Francji czy państw bałtyckich. Polskich przedsiębiorstw praktycznie nie ma.

To szczególnie wymowne. Jeszcze na początku wojny wielu niemieckich polityków po cichu zakładało szybki upadek Ukrainy. Symbolem tamtego czasu była niemiecka oferta dostarczenia hełmów, którą premier Morawiecki skwitował słowami: „To chyba jakiś żart". Polska nie wykonywała gestów. Polska ponosiła koszty, brała odpowiedzialność i ratowała Ukrainę.

Warto spojrzeć szerzej. Powierzchnia Ukrainy wynosi ponad 600 tys. km², a według prognoz w 2051 r. kraj może liczyć zaledwie ok. 25 mln mieszkańców. Szacuje się również, że po wojnie będzie tam żyło 4–5 mln weteranów. Odbudowa Ukrainy nie będzie więc tylko budową dróg, mostów i osiedli. To odbudowa całego państwa i społeczeństwa. A przecież nie ma pewności, ilu spośród tych, którzy wyjechali, zdecyduje się wrócić.

Polska nie pomagała Ukrainie po to, by wystawiać rachunek za solidarność. Ma jednak pełne prawo, by oczekiwać partnerskiego traktowania i udziału w odbudowie. Jeśli polski rząd organizuje konferencję o przyszłości Ukrainy, a polskie firmy są pomijane przy najważniejszych projektach, oznacza to, że ktoś nie potrafił zadbać o polskie interesy. Wygląda na to, że przy stole, który Polska pomogła zbudować, dla Polaków zabrakło miejsca. To kolejna porażka polityki zagranicznej Donalda Tuska, Radosława Sikorskiego i polskiej dyplomacji gospodarczej.

Arkadiusz Mularczyk



Aria pod Pałacem Kultury

Z Magdaleną Kaczorowską, dyrektorką Polskiej Opery Królewskiej, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Na co dzień wypełniacie muzyką zabytkową przestrzeń Teatru Królewskiego w Starej Oranżerii w Łazienkach Królewskich, ale 1 lipca pojawicie się w samym środku Warszawy.

Magdalena Kaczorowska: W ramach festiwalu Centralny Plac Muzyki, na którym spotykają się różne kulturalne instytucje stolicy, 1 lipca na scenie pod Pałacem Kultury zaprezentujemy „Czarodziejski flet". To ogromne wyzwanie. Wyjdziemy z naszego pięknego bombonierkowego teatru na scenę w centrum miasta, niemal pod chmurką (bo oczywiście jest zadaszenie). Będzie to inscenizowana wersja koncertowa. Scenografii nie przeniesiemy, ale będą piękne kostiumy oraz projekcje.

I spektakularnie wykonana słynna aria?

Królowa Nocy zaśpiewa nawet dwukrotnie, zgodnie z partyturą. Jest natomiast ciekawostką, że zgromadzona publiczność będzie mogła słuchać muzyki (także podczas innych spektakli czy koncertów) nie tylko z głośników, lecz także w formule silent disco – dzięki wypożyczonym słuchawkom – co pozwoli na odcięcie się w pewnym stopniu od zgiełku miasta.

Od zgiełku miasta pozwala się też oderwać trwający właśnie IX Letni Festiwal Polskiej Opery Królewskiej. Co nowego proponujecie?

POK od początku swego istnienia co roku zaprasza na letni festiwal. Pierwsze edycje były ukoronowaniem, przedstawieniem najpiękniejszych rzeczy, które zrobiliśmy w danym sezonie. W miarę rozwoju repertuaru pojawiły się festiwale tematyczne. Mieliśmy i operę buffa, i Rossiniego, i operę seria. W tym roku króluje Mozart.

Fot. Archiwum autorki

eprasa.pl 0476ddfa96

Krwawa łuna nad Wołyniem



Przed 15 laty umieściłem na YouTubie balladę pt. „Wołyń 1943”, jeden z moich najbardziej traumatycznych utworów. Nostalgiczna dumka wywołała lawinę wzruszających komentarzy, coverów i cytowań. Probanderowska decyzja prezydenta Zełenskiego jeszcze bardziej podbiła zasięgi tej pieśni.

Historia bestialskiego ludobójstwa Polaków na Kresach nie została przepracowana przez naszych sąsiadów. Spontanicznie pojawiają się ukraińskie roszczenia do Lublina, Przemyśla czy Krakowa! Po wybuchu wojny między naszymi odwiecznymi wrogami – Rosją a Ukrainą – sugerowałem, by SPRZEDAWAĆ broń słabszemu z nich. I zbroić się na potęgę, szukając wiarygodnych sojuszników (USA, Grupa Wyszehradzka, Rumunia, Bułgaria, kraje skandynawskie).

Od początku rosyjskiej napaści działania wojenne obejmują głównie wschodnie rubieże Ukrainy. Życie w pozostałych częściach zaatakowanego kraju toczy się w miarę normalnie, dlatego wpuszczanie milionów uchodźców bez sprawdzenia ich było bardzo nierozsądne. Pozbawiliśmy walczący kraj rąk do pracy i rekrutów, tak bardzo potrzebnych na froncie. Hałaśliwe dyskoteki, jakie *ad hoc* urządzają sobie młodzi Ukraińcy w wieku poborowym na nadmorskim bulwarze w Gdyni, wzbudzają niesmak i zdumienie (gdzie jest straż miejska?). A ilu przeniknęło do nas przestępców, rosyjskich szpiegów, sabotażystów (*vide*: plaga pożarów w całym kraju!). Nasze wsparcie dla walczącej Ukrainy przekroczyło już 100 mld zł. Ukraińcy drenują polski system zdrowotny i edukacyjny. Oligarchowie ze wschodu przejmują rodzimą gospodarkę i niszczą rolnictwo. A nasz sprzeciw wobec fetowania banderowskich ludobójców i utrudniania ekshumacji ich ofiar wywołuje za Bugiem gwałtowną falę nienawiści, za którą może dziś stanąć 600-tysięczna, bitna armia.

PS W „Historii we fraszkach: od Mieszka po Staszka” tak spuentowałem rządy Konrada Mazowieckiego: „Na przykładzie Krzyżaków pozna nawet cielę: / Wróg twego wroga nie jest twoim przyjacielem”.

Lech Makowiecki

ZDJĘCIE TYGODNIA Fala upałów w Polsce



Fot. Kamil Gozdan/East News

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA S.A.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA S.A., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA S.A. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS, LUDMYLA SKWARCZYŃSKA X 2, IMAGO/CHRISTIAN SPICKER/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK/DJEM, NEW AFRICA, FRAME STOCK FOOTAGE, PAPARAZZA

Zamów prenumeratę Sieci!

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	366 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 0476ddfa96

Reakcja władzy: arogancja i agresja



eprasa.pl 0476dd7e0



Fot. Andrzej Wiktor

Afera Warszawskiego Szpitala Południowego nie chce się zakończyć. Donald Tusk próbował ją przeczekać. Na próżno. To, co się teraz dzieje, to już nie kryzys – to kataklizm. Koalicja Obywatelska i rząd walczą zażarcie, ale jest to walka tylko o to, aby nie stracić własnych najwierniejszych wyborców. Cała reszta Polaków ma jasny pogląd na to, co się teraz dzieje w służbie zdrowia. I jest to opinia całkowicie negatywna dla rządzących



PIOTR GURSZTYN

Kryzysy wizerunkowe można rozwiązywać na dwa sposoby. Pierwszy, bardziej cywilizowany, polega na przeprosinach, wyciągnięciu konsekwencji wobec winnych, obietnicy naprawy szkód i zapewnieniu, że to się więcej nie powtórzy. Drugi, w stylu postsowieckim, przypomina reakcję złapanego kieszonkowca, który krzyczy: „To nie moja ręka!". I który przechodzi do kontrataku, wrzeszcząc, że złodziejami są ci, którzy go złapali.

Jeśli chodzi o obecną sytuację, którą można nazwać megaaferą, na początku w KO było zawahanie. Nadzieja, że szybko da się wygasić aferę bardziej spokojnymi metodami. To dlatego Donald Tusk mówił o zdegenerowanym systemie i potrzebie jego naprawy, a inni politycy tej partii sprowadzali sprawę do jednostkowego przypadku, który miał obciążać Dawida Kacprzyka, a nie całą formację.

Zwyciężył drugi sposób. Do „zarządzania kryzysowego" wzięli się najbardziej agresywni ludzie z KO – Roman Giertych i Bartosz Arłukowicz. To oni są twarzą Koalicji Obywatelskiej w tej sprawie. Dodatkowo Tusk wyznaczył do oficjalnego wyjaśnienia sprawy dwójkę ministrów – Jolantę Sobierańską-Grendę i Waldemara Żurka. Czyli bezbarwną urzędniczkę o zerowym autorytecie nawet wśród sympatyków KO oraz „drwala", który wprawdzie nie ma żadnych wymiernych sukcesów jako minister sprawiedliwości, ale za to słynie z agresywności wobec przeciwników politycznych. Czyli znakomicie uzupełnia Giertycha i Arłukowicza.

TAM UMIERALI LUDZIE

Ta decyzja, jak również zdominowanie „zarządzanie kryzysowego" przez Giertycha i Arłukowicza, miała miejsce przed wydarzeniem szokującym, którego skutki są trudne do przewidzenia.

Mowa o rozmowie w Kanale Zero z dr. Emilem Jędrzejewskim, chirurgiem, byłym lekarzem wojskowym, sygnalistą patologii w Szpitalu Południowym. Najkrócej mówiąc – dr Jędrzejewski powiedział, że w tej placówce zdarzały się zgony pacjentów, które były efektem braku kompetencji lekarza Dawida Kacprzyka i tego, że był on politycznym nominatem, a całe kierownictwo szpitala akceptowało ten patologiczny stan rzeczy. To bomba atomowa, oczywiście jeśli rewelacje dr. Jędrzejewskiego finalnie się potwierdzą. Co usłyszeliśmy?

„[Dawid Kacprzyk – przyp. red.] traktuje ludzi jak fantomy. A jeśli fantom się popsuł, to zmienia dokumentację, że on był już popsuty. [...] Tam giną ludzie, bo ktoś się uczy. I to jest sedno całego zamieszania".

„Pan powiedział, że Dawid Kacprzyk, pana zdaniem, odpowiada za to, że tam umierali ludzie?

– Tak!

– Czy może pan to uargumentować?

– Były wykonywane procedury, które były wykonywane w sposób wadliwy. To może złe słowo... [...]

W wyniku błędu lekarskiego doprowadzono do powikłań, które kończyły się letalne.

– Śmiercią?

– Mhm".

eprasa.pl 0476ddfa96

– Dwa przypadki, które ja znam, to były błędy przy intubacji.
– Śmiertelne błędy przy intubacji?
– Tak.
– Co zrobiono konkretnie?
– Zostawmy to prokurator.
– I pan Dawid Kacprzyk intubował osobiście?
– Osobiście".

„Ja już pomijam sytuację pacjenta, który jest zapisany w stan chorych SOR. Wychodzi do łazienki, po trzech, czterech godzinach ktoś sobie przypomniał o tym, że gdzie jest ten pacjent i znajduje tego pacjenta martwego.
I że z jakiegoś powodu pacjentowi martwemu wykonuje się tomografię...".

Trudne do uwierzenia, ale mówił to publicznie lekarz z wieloletnim stażem, przez dłuższy czas ordynator we wspomnianym szpitalu. Od razu pojawił się ważny głos, który nie pozwala na zlekceważenie świadectw dr. Jędrzejewskiego. „Z informacji, które posiadam, wynika, że przynajmniej część zarzutów, które stawia pan doktor, jest potwierdzona przez innych lekarzy, a do tego dochodzą jeszcze te zarzuty, które pojawiły się w tej chwili" – powiedział prezes Naczelnej Izby Lekarskiej dr Łukasz Jankowski. Szef lekarskiego samorządu wyjaśnił także, dlaczego nikt wcześniej nie alarmował: „Dzisiaj po rozmowach z lekarzami słyszymy, że obawiali się o pracę, że widzieli przykład kogoś, kto stanął przeciwko systemowi i został zwolniony i nie chcieli podzielić tego losu".

Paradoksalnie potwierdzeniem relacji dr. Jędrzejewskiego jest też oświadczenie samego Dawida Kacprzyka, który odrzucił oskarżenie o to, że odpowiada on za wymienione patologie – śmierć pacjenta w łazience i badanie tomograficzne osoby już nieżyjącej. Potwierdził jednak, że pierwsze zdarzenie miało miejsce, a drugie go nie dotyczyło, gdyż nie pracował wtedy w Szpitalu Południowym. Nie zakwestionował jednak tej informacji.

ATAK NA SYGNALISTĘ

Dr Jędrzejewski od samego początku jest dyskredytowany. Pierwsza zaczęła to robić „Gazeta Wyborcza", a na końcu dołączył sam Donald Tusk. „Wiarygodność pana Emila Jędrzejewskiego i jego sensacyjnych wypowiedzi po próbie przesłuchania go przez prokuraturę wydaje się wątpliwa. Ze względu na wagę zarzutów instytucje do tego powołane sprawdzać będą wszystko do najdrobniejszego szczegółu. Odpowiedzialni za ewentualne nadużycia, zaniedbania lub pomówienia nie pozostaną bezkarni" – bardzo szybko w taki sposób komentował szef rządu.

Ta wypowiedź Tuska jest jawnym kłamstwem. Jędrzejewski nie chciał zeznawać w prokuraturze bez swojego adwokata. Został wyznaczony kolejny termin przesłuchania. Ale nawet jeśli jest mitomanem i jeśli prawdziwe są podnoszone wobec niego zarzuty, nie zmienia to faktu, że wybuchła ogromna afera. Dawid Krawczyk kierował SOR bez uprawnień, zarobił ogromne pieniądze, opuszczał dyżury. A wszystko dlatego, że był ważnym działaczem KO (co jest bogato opisane nawet w sprzyjających rządowi mediach). Dochodzenia w sprawie 12 zgonów na SOR potwierdził sam minister Żurek.

> Do „zarządzania kryzysowego" wzięli się najbardziej agresywni ludzie z KO – Roman Giertych i Bartosz Arłukowicz. To oni są twarzą Koalicji Obywatelskiej w tej sprawie

To nie jest zresztą pierwszy przypadek, gdy Tusk ostentacyjnie mija się z prawdą w tym temacie. Na początku wolał pokazywać twarz zatroskaną, a nie agresywną. „Ta sprawa musi być wyjaśniona do samego końca, niezależnie od tego, kogo to ma kosztować" – obiecywał. Ale nie mógł się powstrzymać przed starym nawykiem, czyli przerzucaniem winy na PiS. Zaatakował Janusza Cieszyńskiego, stawiając znak równości między jego pracą jako ministra w rządzie PiS a wyczynami Kacprzyka: „Jest taki człowiek, nazywa się Cieszyński, i jak wyszła sprawa respiratorów, to on awansował. Gdyby rządził PiS to ten młody człowiek ze Szpitala Południowego, zostałby pewnie wiceministrem".

Tuskowi szybko jednak wytknięto, iż rządzi ponad dwa lata, a Cieszyńskiemu nawet nie próbowano udowodnić jakichś nadużyć. „Gdyby ludzie pana Tuska mieli choćby cień dowodu, że tak jak pan Kacprzyk uwłaszczyłem się na państwowym, dawno miałbym zarzuty, a moje konta w banku byłyby pozajmowane przez prokuratora. Nic takiego nie miało miejsca, a bodnarowska prokuratura umorzyła sprawę" – odpowiedział sam Cieszyński.

W każdym razie atak Tuska na sygnalistę można potraktować jako bardzo poważny błąd. Opinia publiczna odebrała to jako instrukcje dla prokuratury i próbę zakneblowania innych sygnalistów. Badanie komentarzy w sieci pokazało, że trzy czwarte internautów uznało za wiarygodną wersję Jędrzejewskiego, a tylko 26 proc. nie uwierzyło mu.

Stare nawyki KO są silniejsze niż racjonalny namysł nad tym, jak wyjść z tej skrajnie niebezpiecznej afery. To drugie podpowiada, że lepiej uspokajać nastroje oburzonego społeczeństwa. Koalicja woli jednak agresywne i aroganckie szarże.

Widać to po stosunku do dr. Jędrzejewskiego. Wraz z próbą podważenia jego wiarygodności ruszyło zastraszanie, i to na oczach wszystkich. „Pan dr Emil zagrał w niebezpieczną grę. Albo jeszcze o tym nie wie albo już powinien się domyślać, że chłopaki wciągnęli go w twardą rozgrywkę. Na końcu zostanie sam z pytaniami, na które będzie musiał sam odpowiedzieć. A pytań do pana doktora jest coraz więcej" – pisał na platformie X Bartosz Arłukowicz. Chwilę później były minister zdrowia, dziś eurodeputowany, dodał: „Pan dr Emil oczywiście zna sprawę skazania ministra zdrowia Niedzielskiego z PiS za udostępnianie danych medycznych? Mam nadzieję, że pan dr czytał także o śledztwach w sprawie oszustw wobec

eprasa.pl 0476ddfa96



Dr Emil Jędrzejewski w Kanale Zero przedstawił poważne oskarżenia wobec koordynatora SOR w Szpitalu Południowym Dawida Kacprzyka

NFZ? Bo o lewych dyplomach czytaliśmy wszyscy. Mam nadzieję, że w tym boksie wszystko OK".

ATAK NA DZIENNIKARZY

Kampania brutalnych i wulgarnych ataków dotknęła też dziennikarza, który najwięcej pisze o patologiach Szpitala Południowego, czyli Patryka Słowika. Arłukowicz atakował go za to, że trzykrotnie zdobył nagrodę NBP za dziennikarstwo ekonomiczne, insynuując, że Słowik jest opłacany przez prezesa Glapińskiego. Giertych zorganizował sondę w internecie, w której jedno z pytań brzmiało, czy nagrody były quasiłapówką. To manipulacja wredna, a także głupia. Słowik zdobył wiele innych nagród, łącznie z wyróżnieniem z drugiej strony, czyli Grand Press. Całe środowisko dziennikarskie wie, że nieprawdą jest przedstawienie go jako dziennikarza powiązanego z prawicą.

Ale Koalicja Obywatelska widzi wrogów wszędzie. Kuriozalny atak na dziennikarkę Polsatu Joannę Miziołek przypuścił sam minister spraw wewnętrznych i administracji. Miziołek napisała na platformie X, powołując się na wpis dziennikarza telewizji Republika Marcina Dobskiego: „Jeśli smsy, w których lekarz wysyłał do Marcina Kierwińskiego zdęcia VIP roomu w szpitalu, są prawdziwe, to nie wiem, na co jeszcze czeka premier Tusk". Na to odpowiedział Kierwiński: „Rozsiewa Pani kłamstwa. Proszę to sprostować. Nikt nigdy nie przesyłał mi zdjęć z jakiegokolwiek saloniku".

> Dr Emil Jędrzejewski, który powiedział, że w szpitalu zdarzały się zgony pacjentów będące efektem braku kompetencji lekarza Dawida Kacprzyka, od samego początku jest dyskredytowany. Pierwsza zaczęła to robić „Gazeta Wyborcza", a na końcu dołączył sam Donald Tusk

Odpowiedź Miziołek była oczywista: „Napisałam, jeśli TV Republika je publikuje, proszę tam zajrzeć i prostować". Nie uspokoiło to ministra. Wściekły Kierwiński pisał: „Napisała Pani kłamstwo. Powoływanie się na radiowęzeł PiS nie zwalnia Pani z odpowiedzialności za stosowanie celowego kłamstwa. Proszę to sprostować!". Na co Miziołek: „Nie, nie napisałam, bo umiem pisać ze zrozumieniem. Ale rozumiem Pana nerwowość". Wtedy Kierwiński przeszedł do jawnych gróźb: „Kłamie Pani. Na początku tygodnia wysłane zostanie do Pani formalne wezwanie do sprostowania i przeprosin".

„GAZETA WYBORCZA" NA RATUNEK

Czy to agresywne, ale jednak chaotyczne postępowanie KO ograniczy jej straty? Jej najwierniejszy elektorat łaknie „argumentów", że Koalicja nie jest całkiem zła, bo „inni (zwłaszcza PiS) robili to samo". Jest to też elektorat podatny na najbardziej spiskowe teorie. Chce wierzyć, że to intryga jakiegoś demonicznego lekarza, który sam jest aferzystą. Pragnienie uratowania ukochanej partii wygrywa tu z logiką. Dlatego wyborcy KO z takim entuzjazmem przyjęli wiadomość, że dr Jędrzejewski ma powód, by żywić urazę wobec Rafała Trzaskowskiego z powodu nieprzekazania ziemi pod budowę prywatnego szpitala. Co prawda było to osiem lat temu, a potem Jędrzejewski został ordynatorem

Fot. Screen Kanał Zero, Dawid Kacprzyk/Facebook

eprasa.pl 0476ddfa96

w miejskim szpitalu, ale fakty nie zaburzają wizji wyznawców prawicowego spisku. Jędrzejewski miał zakładać szpital razem z Robertem Lewandowskim, więc także legendarny „Lewy" stał się podejrzany dla wielu Silnych Razem.

Warto pamiętać, jak bardzo popularna wśród elektoratu KO jest szurska teoria o tym, że afera podsłuchowa z 2014 r. to działanie rosyjskich specsłużb. Wśród najbardziej fanatycznych zwolenników KO panuje przekonanie, że Trump jest marionetką Putina, a Nawrocki i PiS to kremlowska agentura. W elektoracie partii, który sam uważa siebie za elitę społeczną można więc rozpowszechniać najbardziej absurdalne pogłoski.

Tyle że zasięg tego jest ograniczony. Mniej fanatyczni wyborcy o poglądach liberalno-lewicowych mają coraz większe wątpliwości w tej sprawie. Spójrzmy na znaczący przykład. Chodzi o zachowanie „Gazety Wyborczej". Jej oficjalna linia to próba zdyskredytowania dr. Jędrzejewskiego. Teksty na ten temat pisze osławiony Wojciech Czuchnowski. To znak, że kierownictwo „Wyborczej" uznało, iż afera jest zabójcza dla obecnego rządu, trzeba więc się rzucić na ratunek. Ale rzeczywistość w „GW" jest bardziej skomplikowana. Na początku to w niej pisano o skandalicznym bogactwie Dawida Kacprzyka połączonym z jego nieróbstwem. Autorami tekstów o sporym efekcie demaskatorskim byli młodsi dziennikarze „Gazety". To osoby, którym najwierniejsi czytelnicy tego pisma, będący jednocześnie fanatycznymi zwolennikami KO (często z kręgu Silnych Razem), zarzucają wspieranie partii Razem i związaną z tym wrogość do obecnego rządu. Coś może być na rzeczy, bo w redakcji przy ul. Czerskiej od lat toczy się podskórna wojna między uprzywilejowaną „starą Wyborczą" a dziennikarskimi wyrobnikami z „młodej Wyborczej". Ten podział ma też cechy światopoglądowe. Kierownictwo gazety, wiernie popierające KO, uznało zatem, że trzeba przełożyć wajchę, bo sytuacja jest już krytyczna. Nie udało się to do końca, bo pewna część redakcji – zgodnie z tym, co pisała wcześniej – uważa, że to afera czysto polityczna, a nie jakiś odosobniony przypadek patologii.

Takie są przecież fakty i odbiór społeczny (pomijając oczywiście bańkę Silnych Razem). „Nasze źródła w KO wskazują, że w praktyce afera, zamiast wygasać i odchodzić w niepamięć, odkrywa kolejne nowe wątki i dostaje nowe życie" – czytamy znaczące zdanie na portalu Interia. Oznacza to też, że stara metoda liberalnego establishmentu, czyli wyciszenie tematu bądź ograniczenie go do prawicowych mediów, tym razem w ogóle nie działa.

Instytut Monitorowania Mediów podaje: „W ciągu zaledwie siedmiu dni redakcje poruszały ten temat w blisko 15 tys. publikacji, a internauci – w 24,6 tys. postów i komentarzy. […] W dniach 15–21 czerwca zasięg ponad 1 mld potencjalnych kontaktów z przekazem. Oznacza to, że statystyczny polski odbiorca usłyszał o aferze w badanym tygodniu ponad 30 razy". Najbardziej krytykowany był Rafał Trzaskowski jako ten, który „wiedział i nic nie zrobił". Na drugiej pozycji uplasował się symbol partyjnego nepotyzmu, Dawid Kacprzyk. Na trzecim miejscu – Marcin Kierwiński za „zakłamanie rządzących". Na czwartym – Bartłomiej Arłukowicz za „nieszczerość wypowiedzi". Nie ma tu Donalda Tuska, ale on też płaci swoją cenę. Nie udał się jego plan przedstawienia wszystkiego jako afery lekarskiej, a nie politycznej.

> Stare nawyki KO są silniejsze niż racjonalny namysł nad tym, jak wyjść z tej skrajnie niebezpiecznej afery. To drugie podpowiada, że lepiej uspokajać nastroje oburzonego społeczeństwa. Koalicja woli jednak agresywne i aroganckie szarże

AROGANCJA I SALONIK VIP

Trzeba też przywołać nowy, lecz słynny już termin, czyli „salonik VIP". To zabójcze dla KO określenie, które stało się wspólnym mianownikiem dla osobnych, lecz podobnych zdarzeń. Przypomina np. sprawę senatora Lenza i obejmuje każdy przypadek uprzywilejowania polityków KO, jak ten z poseł Małgorzatą Pępek. Tu Koalicja znów zareagowała arogancko: „Powtarzam: Trzaskowski i Tusk do dymisji! Posłowie KO chorują i się leczą, a miało być inaczej. Skandal! W Żywcu wielcy śledczy wykryli, że chora posłanka telefonicznie wpisała się do kolejki, a nie powinna tego zrobić bez decyzji lekarza. Rząd do dymisji! Rozwiązać parlament!" – wypisuje Roman Giertych.

Reakcja pani poseł była tak samo wyzywająca. Pępek nie poczuwa się do błędu, oczekuje wręcz podziękowań za to, że stawiła się na badaniach, a cała wina – jak twierdzi – leży po stronie „pisowskiej" dyrektor szpitala w Żywcu. Jaki jest tego efekt? Ponad 80 proc. komentarzy internetowych negatywnych dla niej i dla KO.

Arogancja i agresja doprowadziła Tuska i całą KO do tego, że trudno mu ukarać głównych sprawców, jeśli w ogóle kiedyś chciał to zrobić. Błaha w porównaniu z tą aferą historia w Krakowie doprowadziła do rozwiązania tamtejszych struktur partyjnych. Czy tak będzie w Warszawie? Chyba już za późno, aby wywołało to pozytywny efekt dla KO. Poza tym uderzy w prominentne postaci tej partii: z jednej strony Trzaskowskiego i Kierwińskiego, z drugiej Giertycha i Arłukowicza – jastrzębi, ale w sumie jedynych ludzi, którzy tak bronią KO. Bo reszta wolała się pochować. Jeśli Tusk zrobi zwrot przez rufę, wyszliby na idiotów. Niezależnie od nadzwyczajnej zdolności wyborców KO do akceptowania najbardziej karkołomnych zwrotów premiera. Ale to chyba im nie grozi, o czym świadczy wiele rzeczy – np. to, że obrońcą lekarza Kacprzyka został mec. Dubois, wykonawca najważniejszych zadań dla tej ekipy.

eprasa.pl 0476ddfa96



Wojna Kierwińskiego z Trzaskowskim

STANISŁAW JANECKI

Donaldowi Tuskowi nie uda się wyjść z kryzysu w partii bez dymisji na wysokim szczeblu. Ale nawet one stawiają pod znakiem zapytania jego wyborczy sukces w 2027 r.

Afera w Warszawskim Szpitalu Południowym (WSP) rozpaliła tlącą się od lat wojnę wewnątrz Koalicji Obywatelskiej. Wojnę o to, kto faktycznie rządzi miastem, gdyż obecnie (i w ciągu ostatnich kilku lat) władze sprawuje duumwirat. Oraz o to, kto ma polec.

Główni gracze uznali, że rywala można się pozbyć w ten sposób, że uczyni się go „ojcem chrzestnym", patronem i nauczycielem Dawida Kacprzyka. Oraz jego różnych klonów, których w spółkach oraz jednostkach podległych miastu stołecznemu jest wielu. Jako arywiści są oni najlepsi w pilnowaniu partyjnych interesów.

Frakcja Rafała Trzaskowskiego obsadza Marcina Kierwińskiego, szefa warszawskich struktur KO, w roli kogoś w rodzaju kanclerza uczelni kształcącej arywistów (w innej wersji pojęciowej – hunwejbinów). Frakcja Kierwińskiego widzi natomiast w tej roli prezydenta Warszawy.

Zarówno dla Trzaskowskiego, jak i dla Kierwińskiego hodowlą arywistów (hunwejbinów) zajmuje się przede wszystkim partyjna młodzieżówka. Dopiero po przejściu przez nią zdobywa się specjalizację. Przez ponad dwie dekady młodzieżówką Platformy Obywatelskiej było Stowarzyszenie „Młodzi Demokraci", funkcjonujące jako formalnie niezależne od partii. Taka formuła sprawiała, że organizacja często wchodziła w wewnętrzne sojusze frakcyjne i tak się składało, że zwykle korzystał na tym Trzaskowski, a nie Kierwiński. Ten zaś – jako sekretarz generalny partii – przez lata dążył do likwidacji młodzieżówki, która nie chciała mu się podporządkować.

Powołanie na przełomie 2022 i 2023 r. Stowarzyszenia „Nowa Generacja Młodych" (znanego jako Nowa Generacja) w miejsce Młodych Demokratów było ze strony Marcina Kierwińskiego

Fot. Adam Burakowski/East News

eprasa.pl 0476ddfa96

przemyślanym ruchem, mającym zagwarantować mu wpływ na kształtowanie partyjnego aparatu, a tym samym posiadanie własnych karnych żołnierzy. Kierwiński wykorzystał swoją pozycję do pacyfikacji niesubordynowanej młodzieżówki i zbudowania własnego lojalnego zaplecza kadrowego. Właśnie z Nowej Generacji (NG) wywodzi się Dawid Kacprzyk.

WROGIE PRZEJĘCIE MŁODZIEŻÓWKI

Marcin Kierwiński wykorzystał powołanie NG do przeprowadzenia weryfikacji lojalności. Stare struktury młodzieżówki w regionach były nakłaniane (a często zmuszane) do samorozwiązania i masowego przepisywania członków do nowego stowarzyszenia. Osoby krytyczne wobec działań sekretarza generalnego lub kojarzone z innymi frakcjami w partii były odsuwane na boczny tor lub nie otrzymywały zgody na wejście do władz nowych struktur.

Nowa Generacja od początku była pomyślana jako projekt ściśle spięty z partyjną centralą. Organizacja i finansowanie jej flagowych wydarzeń regionalnych – takich jak cykle spotkań „MeetUp Nowa Generacja" – pozostawały pod kontrolą władz krajowych partii. Oznaczało to, że młodzieżówka straciła jakąkolwiek niezależność, przede wszystkim finansową, stając się całkowicie zależną od budżetu dystrybuowanego z poziomu sekretarza generalnego, czyli Marcina Kierwińskiego.

W procesie budowania struktur NG w regionach kluczową rolę odgrywali zaufani baronowie partyjni i posłowie lojalni wobec Kierwińskiego. Nowi liderzy regionalni NG byli dobierani tak, aby bezwzględnie realizować jego linię i nie budować własnych, niezależnych projektów politycznych. Kierwiński ograniczył pole manewru swoim konkurentom (przede wszystkim Trzaskowskiemu), gdy nowa młodzieżówka przestała tolerować jakiekolwiek działania popierające innych liderów niż wskazani przez sekretarza generalnego.

Dawid Kacprzyk pozostawał jedną z kluczowych postaci w procesie likwidacji dawnego Stowarzyszenia „Młodzi Demokraci" (SMD) i budowania struktur Nowej Generacji, działając jako zaufany człowiek Marcina Kierwińskiego, swego rodzaju agent do zadań specjalnych. Był egzekutorem woli Kierwińskiego wewnątrz struktur młodzieżowych. To jego rękami centrala partyjna pacyfikowała niepokornych działaczy dawnego SMD i podporządkowywała ich NG.

Zanim wybuchła afera w WSP, Kacprzyk zasiadał we władzach krajowych stowarzyszenia (w Radzie Krajowej NG), będąc bezpośrednim łącznikiem między młodzieżą a aparatem partyjnym Kierwińskiego w stolicy. Równolegle budował swoją pozycję w klasycznej polityce samorządowej, pełniąc funkcję radnego dzielnicy Ursus. W ten sposób chciał grać na dwa fronty: i z Kierwińskim, i z Trzaskowskim, by odnieść większe korzyści. Z tego powodu przed każdym z patronów ukrywał swoje bliskie związki z jego rywalem.

> Marcin Kierwiński obawia się, że Tusk skłania się ku „opcji atomowej", czyli wymianie szefa struktur partii w stolicy, a być może nawet ich rozwiązaniu, tak jak niedawno stało się w Krakowie. Stąd próba uderzenia wyprzedzającego, wymierzonego w Trzaskowskiego, by przedstawić go jako ojca chrzestnego Kacprzyka

Próbując zatrzeć wszelkie ślady łączące go z Kacprzykiem, Kierwiński zmusił lekarza partyjniaka do rezygnacji z członkostwa w KO. Wymógł też na nim odejście z NG oraz rezygnację z mandatu radnego w Ursusie. Z kolei Trzaskowski, chcąc wskazać Kierwińskiego jako winnego, doprowadził do tego, że Szpital Południowy oraz Szpital Bródnowski natychmiast rozwiązały kontrakty medyczne z Kacprzykiem.

GRILLOWANIE TRZASKOWSKIEGO

Klub miejskich radnych KO, kontrolowany przez Kierwińskiego, zamierza zgrillować Trzaskowskiego. Radni wezwali prezydenta stolicy do pojawienia się na najbliższej sesji absolutoryjnej i złożenia wyjaśnień w kwestii „zasad organizacji pracy, zasad przyjmowania pacjentów, kolejności udzielania świadczeń, rozliczania czasu pracy, systemu wynagradzania i naboru personelu medycznego jak również bezpieczeństwa danych medycznych w miejskich podmiotach leczniczych". Chodzi oczywiście o Szpital Południowy.

Inna forma grillowania Trzaskowskiego polega na uzupełnieniu obrad Rady m.st. Warszawy o projekt uchwały, wedle którego Komisja Rewizyjna Rady m.st. Warszawy zajęłaby się kontrolą nieprawidłowości w Szpitalu Południowym w Warszawie, zgodnie z formułką „zasady organizacji pracy...". Komisja chce poświęcić szczególną uwagę „dyżurom, umowom, dodatkom, funkcjom koordynacyjnym oraz nadzorowi nad ich realizacją". Pozostający na usługach Kierwińskiego Klub Radnych KO postawił swego rodzaju ultimatum, oczekując, że „Pan Prezydent wyjaśni wszelkie wątpliwości związane ze Szpitalem Południowym oraz innymi placówkami warszawskiej służby zdrowia".

Trzaskowski i jego ludzie nie mają złudzeń, że stoi za tym Kierwiński, któremu grunt pali się pod stopami, a Donald Tusk poważnie myśli o odebraniu mu Warszawy. Ale sekretarz generalny nie podda się bez walki, bo Warszawa to dla niego olbrzymie wpływy i możliwość załatwiania różnych korzyści dla swoich ludzi. A właśnie tak zyskuje się wpływy w partii i rozbudowuje polityczne zaplecze. Tracąc kontrolę nad warszawskimi strukturami KO, Kierwiński szybko stanie się tym, kim obecnie jest Grzegorz Schetyna albo wyjdzie na tym jeszcze gorzej.

Kierwiński obawia się, że Tusk skłania się ku „opcji atomowej", czyli wymianie szefa struktur w stolicy, a być może nawet ich rozwiązaniu, tak jak niedawno stało się w Krakowie. Stąd próba uderzenia wyprzedzającego, wymierzonego

eprasa.pl 0476ddfa96

w Trzaskowskiego, by przedstawić go jako ojca chrzestnego Kacprzyka. Ale prezydent Warszawy daje rywalowi sygnały, że tym razem będzie walczył z nim na śmierć i życie. Z prostego powodu: w stolicy rządzi już ostatnią kadencję (obowiązuje ustawowy limit kadencji) i nie ma złudzeń, że dostanie od Tuska trzecią szansę w wyborach na prezydenta RP. Dlatego Trzaskowski, a także jego ludzie ujawniają mediom, że to Kierwiński pozostaje głównym pracodawcą w Warszawie, a Kacprzyk jest jego wychowankiem i nominatem.

Trzaskowski chce też bronić dwóch swoich wiceprezydentów nadzorujących szpital: Renaty Kaznowskiej i Aldony Machnowskiej-Góry. Tuż po oświadczeniu warszawskich radnych KO zamieścił wpis, że na jego wniosek cały zarząd Szpitala Południowego został odwołany, a nową prezes zostanie Aneta Gomółka-Siembora, którą prezydent Warszawy określił jako „specjalistkę z zakresu audytów i kontroli zarządczej w ochronie zdrowia oraz zamówień publicznych". Trzaskowski zapewnił też, że „kolejne decyzje [zapadną] niebawem".

JATKA ALBO DYMISJE

Rafał Trzaskowski podjął rękawicę rzuconą przez Marcina Kierwińskiego i nie zamierza być tym, który za aferę w ursynowskim szpitalu zapłaci najwyższą polityczną cenę. A Kierwiński wierzy w swoją mocną pozycję u Donalda Tuska i liczy na to, że premier nie może i nie zechce zrezygnować z jego usług. Czeka nas zatem wyjątkowa polityczna jatka o poważnych konsekwencjach dla Kierwińskiego i Trzaskowskiego, a także dla Donalda Tuska i KO.

Afera ma bowiem ogromny potencjał destrukcyjny, jeśli chodzi o perspektywę wyborów parlamentarnych w 2027 r. Dużo większy niż kwestie relacji polsko-ukraińskich i kolejnych afrontów czynionych Polsce przez prezydenta Wołodymyra Zełenskiego czy degrengolada w wymiarze sprawiedliwości oraz organach ścigania. To rząd Donalda Tuska stworzył żyzne podglebie, by różne afery zajmowały praktycznie każdego Polaka, bo likwidacja oddziałów szpitalnych, zagrożenie istnienia wielu szpitali powiatowych, ograniczenie diagnostyki i badań oraz wydłużenie kolejek do poradni dotyczy każdego.

Afera w WSP działa na Polaków jak czerwona płachta na byka. Żadna inna kwestia nie spotyka się z takim potępieniem jak tworzenie przywilejów dla wybranej grupy (w tym wypadku partyjnej), i to za pieniądze podatników kosztem przeciętnych pacjentów.

Donald Tusk musiał się już zorientować, że dymisje w strukturach medycznych i menedżerskich nie robią na Polakach wielkiego wrażenia. Oni czekają na dymisje polityków, bo tylko to uważają za prawdziwą karę i poważną formę rozliczenia. Oczywiście sam Rafał Trzaskowski nie poda się do dymisji, a Donald Tusk nie ma możliwości, by go odwołać. Ale może mu odebrać funkcję wiceprzewodniczącego partii.

Afera w Warszawskim Szpitalu Południowym działa na Polaków jak czerwona płachta na byka. Żadna inna kwestia nie spotyka się z takim potępieniem jak tworzenie przywilejów dla wybranej grupy (w tym przypadku partyjnej), i to za pieniądze podatników, kosztem przeciętnych pacjentów

Tusk ma dużo większe możliwości wobec Marcina Kierwińskiego, bo może go wyrzucić z rządu. Jest też w stanie pozbawić go funkcji sekretarza generalnego partii, choć już z pozbawieniem go stanowiska szefa warszawskich struktur KO może być pewien problem, bo to funkcja z wyboru. A Kierwiński przez lata zdołał zbudować własne układy, ich beneficjenci mogą zaś nie posłuchać szefa partii. Wiele wskazuje jednak na to, że Tusk będzie musiał zrzucić kogoś z sań, by poprawić sytuację przed wyborami parlamentarnymi w 2027 r.

Trzaskowski i Kierwiński to wiedzą, dlatego zanosi się na walkę na śmierć i życie między nimi. Także walkę na przecieki, tzw. kompromaty, i – jak słychać – ma też chodzić o „paskudne" kwestie obyczajowe.

WIDMO KLĘSKI

Donald Tusk najbardziej boi się tego, że zaleje go fala niechęci, bo podczas gdy przeciętni obywatele muszą wiele miesięcy czekać na wizytę u lekarza, towarzysze z jego partii i ich rodziny korzystają z uprzywilejowanej ścieżki oraz komfortowej poczekalni. Brak kar dla Trzaskowskiego i Kierwińskiego utrwali w opinii publicznej przekonanie, iż rządzący traktują państwo jako prywatny folwark, który w dodatku rozgrabiają. Tusk budował swoją pozycję i wiarygodność na obietnicy „rozliczenia patologii poprzedników". Ignorowanie afery wewnątrz własnego obozu politycznego odbierze mu wiarygodność nawet w oczach własnych wyborców. Nie tylko prawicowa opozycja, lecz także przeciętni ludzie już teraz porównują sytuację w Warszawskim Szpitalu Południowym do „ośmiorniczek" z afery podsłuchowej z 2014 r. Brak twardej reakcji Tuska pogłębi tarcia wewnątrz koalicji rządzącej i osłabi pozycję premiera wobec partnerów.

Poza tym brak jasnego wskazania winnych spycha zarówno Trzaskowskiego, jak i Kierwińskiego do defensywy i niejako zmusza ich do stosowania coraz brutalniejszych metod w walce o przetrwanie. A taka wojna zniechęca wyborców, których naturalnym odruchem jest odcięcie się od tego, co wywołuje zagrożenie. Presja na prezydenta stolicy rośnie, a brak politycznych dymisji może skutkować próbami destabilizacji samorządu, np. poprzez wnioski opozycji o referendum w sprawie odwołania Trzaskowskiego.

Równolegle z tym, jak media lub organy śledcze będą ujawniać kolejne nazwiska polityków i członków ich rodzin, którzy omijali kolejki do SOR, uderzenie wizerunkowe nastąpi falami, niszcząc zaufanie do partii Tuska przez kolejne miesiące. Oszczędzenie kluczowych warszawskich liderów partii – a w przypadku Marcina Kierwińskiego Tusk publicznie wykluczył dymisję – ustawia premiera w strefie najwyższego ryzyka politycznego, które może się zamienić w klęskę.

eprasa.pl 0476ddfa96

W wizji Wołodymyra Zełenskiego, w której to Ukraina jest liderem Europy Środkowo-Wschodniej, nie ma miejsca dla silnej Polski. Dlatego nasz kraj jest dziś marginalizowany i lekceważony. Pozostaje to zresztą zgodne z rolą, jaką dla Polski przewidzieli Niemcy – państwa drugorzędnego i pozbawionego ambicji



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Rywal *czy* sojusznik?

Początek zeszłego tygodnia upłynął na żenującym oczekiwaniu na decyzję Zełenskiego: czy przyjedzie do Polski na konferencję w sprawie odbudowy Ukrainy, czy też nie? Najbardziej nerwowa atmosfera panowała wewnątrz rządu. Donald Tusk włożył naprawdę wiele wysiłku w zorganizowanie w rodzinnym Gdańsku konferencji międzynarodowej, która miała pokazać jego sprawczość i otworzyć oczy niedowiarkom. Chciał w ten sposób udowodnić, że odgrywa wielką rolę w europejskiej polityce.

Dla większości Polaków przyjazd Zełenskiego był jednak – w najlepszym razie – sprawą zupełnie obojętną. Po tym, jak prezydent Ukrainy postanowił uhonorować UPA i po będącej tego następstwem akcji zwracania polskich odznaczeń, Zełenski nie jest, delikatnie mówiąc, mile widziany w naszym kraju.

Ostatecznie po pełnej dramaturgii zwłoce ukraiński prezydent zdecydował, że do Polski nie przyjedzie. W ten sposób – nie pierwszy już raz – wystawił polskiego premiera do wiatru.

FAŁSZYWA PRZYJAŹŃ

Niektórzy twierdzą, że Zełenski się obraził, inni – że postradał zmysły. Przywódca państwa, które od ponad czterech lat stawia czoło zbrojnej agresji Rosji, nie powinien przecież antagonizować życzliwych mu sąsiadów. Dotyczy to w szczególności Polski, dzięki której Ukraina przetrwała pierwsze miesiące moskiewskiej nawałnicy.

Tymczasem Zełenski od dawna traktuje nasz kraj z buta. Przekonał się o tym boleśnie były prezydent Andrzej Duda, który pozostawał głównym adwokatem spraw ukraińskich i szczerze podziwiał Zełenskiego. Ten jednak – w podzięce za udzielone mu wsparcie – w 2023 r. publicznie przyrównał go do Putina. Duda do samego końca swojej kadencji (a pewnie i do dziś) nie otrząsnął się po tej wyjątkowo krzywdzącej zniewadze.

Moment, w którym Zełenski ruszył do ataku, był szczególny. W Polsce trwała kampania wyborcza przed wyborami parlamentarnymi i prezydent Ukrainy – jak wszystko na to wskazywało – postanowił otwarcie wesprzeć antypisowską opozycję. Afera zbożowa, która kosztowała PiS utratę kluczowych głosów na ścianie wschodniej, nie była przecież dziełem przypadku. Zełenski doskonale wiedział, że pompowanie ukraińskiego zboża do Polski wbrew obowiązującym ustaleniom poważnie zaszkodzi polskiemu rolnictwu i osłabi rząd Morawieckiego. Mimo to – ewidentnie w cichym porozumieniu z Berlinem i Brukselą – ten proceder trwał.

Zachowanie Zełenskiego wydawało się kompletnie niezrozumiałe, bo przecież rząd Morawieckiego gwarantował Ukrainie kontynuację szerokiej pomocy politycznej i militarnej. Mogło się więc wydawać, że ukraiński prezydent jest zakładnikiem oligarchów i krótkowzrocznie wyniósł ich interesy ponad strategiczną współpracę z Polską. Dziś, z perspektywy czasu, widać jednak znacznie więcej.

> Nadanie jednostce wojskowej imienia „Bohaterów UPA" było kolejnym przejawem lekceważenia Polski. Zełenski uznał, że te relacje nie są na tyle ważne, aby brać je pod uwagę

Otóż wszystko wskazuje na to, iż rząd PiS również w kwestii współpracy z Ukrainą i swojej aktywności międzynarodowej padł ofiarą własnego sukcesu. Zełenski zauważył, że po rosyjskiej inwazji na Ukrainę pozycja Polski bardzo wzrosła. Podczas gdy państwa Zachodu położyły ze strachu uszy po sobie, nasz kraj wyrastał na jednego z europejskich liderów. „Powinniśmy byli słuchać Polaków" – przyznawała wówczas Ursula von der Leyen. Jednak w tych słowach niemieckiej przewodniczącej Komisji Europejskiej nie było podziwu ani skruchy. Była za to frustracja i obawa przed rosnącym znaczeniem Polski.

Zapewne podobnie myślał Zełenski. Prezydent Ukrainy – jak wiele na to wskazuje – nie lubi Polaków ani Polski („Je...ać Polskę" – miał powiedzieć, gdy jego doradcy zastanawiali się, jak zareagować na zapowiedź odebrania mu Orderu Orła Białego). Być może nawet pogardza naszym krajem. Ale w 2022 r. chętnie przyjmował naszą pomoc i publicznie bratał się z Dudą, bo wówczas nie miał innego wyjścia. W Europie nikt poza Polakami nie zaoferował mu realnego wsparcia. Zachowywał się więc zgodnie z najgorszymi sowieckimi wzorcami – fałszywie łasił się w potrzebie, a gdy tylko mocniej stanął na nogach, odpowiedział kopniakiem.

Oczywiście można dyskutować nad tym, ile jest tu winy ówczesnych władz. Dlaczego naiwnie wzięły one zachowanie Zełenskiego za dowód szczerej przyjaźni, której nigdy nie było. Wydaje się jednak, że roztrząsanie tej kwestii nie ma żadnego sensu, bo wówczas – w obliczu rosyjskiej inwazji – emocje sięgały zenitu. Pomoc Ukrainie była jedynym możliwym rozwiązaniem i nikt o zdrowych zmysłach jej nie kwestionował. To Zełenski okazał się problemem. Jest niezłym aktorem, który świetnie zagrał swoją rolę i nie tylko Duda z Morawieckim dali mu się zauroczyć. Pół świata była nim zauroczona, a niektórzy są nadal.

MOCARSTWOWA WIZJA

W 2023 r. zdrada Zełenskiego była szokiem w obozie PiS, które bardzo dużo zainwestowało w relacje z Ukrainą i – jak się okazało – poniosło z tego powodu ogromne koszty polityczne. Okazało się bowiem – udowodniła to afera zbożowa – że Ukraina wspólnie z Niemcami może zaszachować Polskę. Warto to przypomnieć: Ukraina zasypywała nas swoim ziarnem, a Komisja Europejska nie zgadzała się na jakiekolwiek embargo. To wystarczyło, aby zachwiać rządem Morawieckiego.

Nie ulega wątpliwości, że Zełenski postawił na Tuska, bo porozumiał się wcześniej z Niemcami, które dążyły do zmiany władzy w Polsce. Prezydent Ukrainy widział w Tusku polityka znacznie bardziej uległego wobec Niemiec, a przez to łatwiejszego do ograna. Wtedy mogło się jednak wydawać, że to układ jednorazowy, a Zełenski jest tylko bezwolnym narzędziem w rękach Berlina.

Być może na początku tak było, ale teraz ukraiński prezydent, uskrzydlony

Fot. Andrzej Iwańczuk/Reporter

eprasa.pl 0476ddfa96



Fot. @ZelenskyyUa/X.com

skutecznymi atakami dronowymi na Rosję, poczuł się mocny i zaczyna grać we własną grę. W jego optyce to Ukraina ma być regionalnym mocarstwem, które będzie rozdawać karty. Uważa, że to godziwa zapłata za powstrzymanie Rosji i próbuje przekonać do tej wizji państwa Europy Zachodniej. Oczywiście do jego zwycięstwa nad Rosją droga jest bardzo daleka, ale najwyraźniej Zełenski poważnie bierze już taki scenariusz pod uwagę. Świadczą o tym m.in. jego niedawne ostrzeżenia pod adresem Łukaszenki, gdy całkiem otwarcie zagroził Białorusi wojną. To są gesty kogoś, kto czuje się mocny i niezwyciężony.

Rzecz jasna w takiej wizji Zełenskiego, w której to Ukraina jest liderem Europy Środkowo-Wschodniej, nie może być miejsca dla silnej Polski. Dlatego nasz kraj jest przez niego celowo marginalizowany i lekceważony. Pozostaje to zresztą – co warto zauważyć – całkowicie zgodne z rolą, jaką dla Polski przewidzieli Niemcy – państwa drugorzędnego i pozbawionego ambicji. Inna rzecz, że Ukraina za swoją „mocarstwowość" będzie musiała słono zapłacić Berlinowi wielkimi koncesjami gospodarczymi.

Dla Zełenskiego – podobnie jak dla Putina – obecna wojna jest więc *de facto* wojną o zupełnie nowy układ sił w Europie. Ten, kto ją wygra, ma zapewnić sobie dominację w całym regionie. Włącznie z Polską.

POMIATANIE TUSKIEM

Wobec tych zagrożeń rząd Tuska wydaje się całkowicie bezradny. W tym sensie Zełenski miał ewidentnie rację, stawiając w 2023 r. na jego wygraną. Ostentacyjnie pomiatał Tuskiem, wskazując mu miejsce w drugim wagonie, gdy polski premier wybrał się w towarzystwie innych europejskich szefów rządu do Kijowa w maju 2025 r. To był wyraźny sygnał, że Polska się nie liczy i Ukraina nie będzie z nami niczego ustalała w sprawie przyszłego porządku w regionie. Tusk – podobno „król Europy", którego nikt nie ogra – nie był w stanie wydusić z siebie żadnej reakcji na doznane upokorzenie.

> Być może Tusk po cichu uważał, że Nawrocki, odbierając order Zełenskiemu, postąpił słusznie, ale antypisowska obsesja nigdy nie pozwoli mu przyznać tego otwarcie

Nikogo nie powinna też dziwić niechęć Zełenskiego do Karola Nawrockiego. Jego wygrana w ubiegłorocznych wyborach prezydenckich mocno skomplikowała sytuację. Nawrockiemu nie da się bowiem – tak jak Tuskowi – pokazać palcem miejsca w drugim szeregu.

Wszyscy pamiętamy, jak Zełenski rzekomo zapomniał nazwiska ówczesnego kandydata na prezydenta w wywiadzie telewizyjnym. Zinterpretowano to – i pewnie słusznie – jako wyraźny sygnał poparcia Kijowa dla Rafała Trzaskowskiego. Ale ogólnie kryło się za tym coś więcej – był to znak, że Zełenski nie traktuje naszego kraju poważnie.

Może byłoby inaczej, gdybyśmy w Polsce – niezależnie od sympatii politycznych – potrafili zachować jedność w takich sytuacjach. Wtedy jednak – podobnie jak dziś w sprawie odebrania Zełenskiemu Orderu Orła Białego – najważniejsze było to, aby przyłożyć Nawrockiemu. Nawet obcymi rękami. Trudno się zatem dziwić, że ukraiński prezydent traktuje nas – a w szczególności obóz Tuska – jak frajerów, których łatwo jest wymanewrować.

POLSKA SIĘ NIE LICZY

Nadanie jednostce wojskowej imienia „Bohaterów UPA" było po prostu kolejnym przejawem lekceważenia Polski. Być może Zełenski chciał zapunktować w zachodnich regionach Ukrainy, gdzie tradycje banderowskie są nadal silne, a może – jak twierdzą inni – chciał konfliktem z Polską przykryć rozliczne afery korupcyjne. To jednak – z naszego punktu widzenia – nie ma większego znaczenia. Istotne jest, że uznał, iż relacje z Polską nie są na tyle ważne, aby brać je pod uwagę. Honorowanie banderowców wpisuje się zresztą w wizję Ukrainy jako lokalnego mocarstwa, które samodzielnie ustala własną politykę historyczną i narzuca swój punkt widzenia innym.

Reakcja prezydenta Nawrockiego wyraźnie jednak zaskoczyła Zełenskiego. Był bowiem przekonany, że Polacy, którzy – według dość powszechnego na Ukrainie mniemania – wiszą na ukraińskiej armii, bo sami nie byliby w stanie obronić się przed Rosją, po raz kolejny zagryzą zęby i będą udawali, że nic się nie wydarzyło.

Odesłanie Orderu Orła Białego pocztą zostało w Polsce odebrane jako przejaw małostkowości Zełenskiego. Pokazało jednak również, że ukraiński prezydent był po prostu wściekły.

Wraz z nim polskie ordery zwrócili inni urzędnicy z jego administracji oraz

Autopromocja

eprasa.pl 0476ddfa96

trzej byli prezydenci Ukrainy. Ujawniło to dwie rzeczy. Po pierwsze, że na Ukrainie – podobnie jak w Rosji – istnieje twardy hierarchiczny układ o charakterze polityczno-finansowym. Na jego szczycie stoi Zełenski i każdy, kto tkwi w tym układzie, musi okazać lojalność wobec przywódcy – w tym przypadku zwrócić order. Po drugie – to już kamyczek do naszego ogródka – rozdawaliśmy te ordery (niekiedy zupełnie anonimowym osobom) jak ciepłe bułeczki. Najwyższy czas, aby z tym skończyć.

STATYSTA

Tusk kompletnie nie potrafił odnaleźć się w tej sytuacji. Jego ludzie atakowali prezydenta Nawrockiego, czym tylko utwierdzali Zełenskiego w przekonaniu, że można nas swobodnie rozgrywać przeciwko sobie. I będzie można to robić – nie tylko ukraińskiemu prezydentowi – do czasu, gdy obóz Tuska nie pogodzi się wreszcie z przegraną w wyborach prezydenckich. Bo jak widać w głowach jego sympatyków i wyznawców wciąż trwa „liczenie głosów".

Tusk – o którym skądinąd wiadomo, że nie lubi ani Ukraińców, ani Zełenskiego – nie zajął wyraźnego stanowiska w sprawie odebrania orderu. Być może po cichu uważał, że Nawrocki postąpił słusznie, ale antypisowska obsesja nigdy nie pozwoli mu przyznać tego otwarcie. Nawet jeśli – a wszystko na to wskazuje – poniesie polityczny koszt swojego hamletyzowania w tej sprawie.

Pierwsze koszty już poniósł, gdy Zełenski odwołał swój przyjazd na hucznie zapowiadaną konferencję w sprawie odbudowy Ukrainy. Być może obraził się za odebranie mu orderu, a może po prostu wystraszył się nieprzychylnych reakcji Polaków. Jest przecież przyzwyczajony do wiwatów, oklasków i hołdów.

Było to bolesne dla Tuska, bo Zełenski występował jako współorganizator gdańskiej konferencji. Obaj wystawiali zaproszenia dla gości, m.in. dla czołowych niemieckich polityków. Obaj też ustalili, że nie zaproszą Karola Nawrockiego. Tusk prowadził już podobne gry z obcymi przywódcami, najbardziej tragiczna z nich skończyła się katastrofą w Smoleńsku. Jak jednak widać, nie nauczyło go to niczego.

Premier chciał się ogrzać w blasku Zełenskiego i niemieckich przywódców, jednak rezygnacja ukraińskiego prezydenta zepsuła ten misterny plan. Zignorowany przez Zełenskiego Tusk okazał się statystą i każdy mógł to zobaczyć. Jako człowiek mściwy z pewnością zapamięta to upokorzenie.

Różnica między Zełenskim a Tuskiem jest jednak taka, że ten pierwszy gra powyżej własnej ligi i stawia się silniejszym od siebie, a drugi na odwrót – wyżywa się na słabszych, a przed silnymi potulnie dyga jak dziewczynka. Dlatego to jeszcze nie koniec naszych perypetii. Zełenski pokazał już przecież, że nie szanuje słabeuszy.





Czas powściągliwości

Jeśli Ukraina chce relacji z Polską, które będą oparte na zasadach transakcyjnych, rachunku zysków i strat oraz obopólnych korzyściach, to pójdźmy tą drogą. Nie myślmy o przyjaźni, bliskości i wspólnej przyszłości, lecz o interesach



MAREK BUDZISZ

Po wybuchu kryzysu na tle upamiętnienia UPA Kijowski Międzynarodowy Instytut Socjologii przeprowadził ankietę, w której zapytał Ukraińców, jakie podejście do polsko-ukraińskich sporów historycznych najbardziej im odpowiada. 57 proc. pytanych wybrało odpowiedź, iż każdy naród może mieć swoich bohaterów, a przedstawiciele innych nacji nie powinni ingerować w skład panteonu chwały.

Redakcja Europejskiej Prawdy, ukraińskiego liberalno-lewicowego portalu, określiła to podejście mianem „pragmatycznego", bo umożliwiającego dialog, oczywiście o ile Polacy zgodzą się na nadawanie przez Kijów ulicom, jednostkom wojskowym czy obiektom użyteczności publicznej imion takich postaci historycznych – również z UPA – które są bliskie sercom obywateli Ukrainy. 33 proc. badanych opowiedziało się za dialogiem historyków, co redakcja określiła mianem „postawy romantycznej", bo jej zwolennicy są zdania, iż w wyniku wymiany poglądów między profesjonalistami uda się znaleźć drogę do porozumienia. Nawiasem mówiąc szef Kancelarii Prezydenta Ukrainy Kyryło Budanow, który przyjechał do Warszawy, by szukać kompromisu po tym, jak prezydent Karol Nawrocki zapowiedział odebranie Orderu Orła Białego Wołodymyrowi Zełenskiemu, przywiózł właśnie taką propozycję. 4 proc. pytanych chciałoby, aby Polska „została pozbawiona podmiotowości" w kwestiach historycznych, a 1 proc. proponuje przyjęcie naszej optyki w pełni.

Fot. Shutterstock (2x)

eprasa.pl 0476ddfa96

„NIE BĘDĄ LACHY DECYDOWAĆ…”

Nie jestem zaskoczony tego rodzaju wynikami, bo w ostatnich tygodniach przeczytałem setki artykułów, wpisów i opinii w ukraińskich mediach. Ich przekaz, niezależnie od różnic politycznych, był czytelny: „Nie będą Lachy decydować, kto jest naszym bohaterem”. To przekonanie, iż suwerenność dotyczy również – a może przede wszystkim – kwestii symbolicznych, przebijało się w większości wystąpień.

Stanowisko prezydenta Nawrockiego zostało też odebrane w kategoriach próby uzyskania przez Polskę trwałej przewagi w relacjach z Kijowem, uzyskania czegoś w rodzaju usankcjonowanej supremacji. Przy okazji dowiedziałem się, że Piłsudski był „ukrainofobem” i więziliśmy ukraińskich żołnierzy Petlury w obozach koncentracyjnych. Napisał to Serhij Przytula, który zorganizował jedną z największych fundacji wspierających ukraińskie siły zbrojne i jest jedną z najpopularniejszych osobistości na Ukrainie, człowiekiem, którego wymienia się w gronie faworytów w przyszłych wyborach prezydenckich. Z wykształcenia też, notabene, aktor i komik.

Inni uczestnicy tej dość jednostronnej debaty w ukraińskich mediach argumentowali, że nasze osiągnięcia gospodarcze są zasługą wyłącznie niemieckich i europejskich pieniędzy, a nie przedsiębiorczości i pracowitości Polaków, proponowali wprowadzenie specjalnych, wyższych stawek celnych na nasze produkty, „abyśmy otrzeźwieli” czy dowodzili, iż wzbogaciliśmy się na pracy Ukraińców mieszkających w naszym kraju, za co powinniśmy być wdzięczni Kijowowi, tak jakby to państwo ukraińskie ich tutaj przysłało.

Jeśli mieliśmy nadzieję, że po wybuchu kryzysu nastąpi refleksja, uspokojenie i korekta stanowiska Kijowa, to w świetle przytaczanych badań socjologicznych nie można na to liczyć. Raczej spodziewałbym się kolejnych – choć może nie od razu – prowokacyjnych kroków ze strony ukraińskiej klasy politycznej. Nie będzie uspokojenia na polu historycznym – przed nami jeszcze uroczystości 11 lipca, a na dodatek do rozpowszechnionej w Polsce narracji o „niewdzięczności” Ukraińców niedługo dołączy zapewne kolejna, o skrywanej za fasadą przyjaźni rzeczywistej niechęci do nas sąsiedniego społeczeństwa, bo właśnie te odczucia znalazły ujście w czasie ostatniego kryzysu. Niemal wszystkie ukraińskie media, pisząc o „histerii” w Polsce, zdają się maskować stan nastrojów, ale raczej po stronie ukraińskiej.

KIJÓW NIE CHCE PRZY STOLE WARSZAWY

Trzeba zatem zadać pytanie, czy mamy szansę na normalne relacje, czy przeciwnie – jesteśmy skazani na ciągłe konflikty na tle polityki pamięci i dążenia strony ukraińskiej, aby minimalizować rolę Polski.

Zeszłotygodniowy „Die Welt”, opisujący przygotowania Berlina do konferencji E-5, pięciu najważniejszych państw europejskich, wśród których – oprócz Francji, Wielkiej Brytanii i Niemiec – miałyby się znaleźć Polska i Włochy, sugerował, że Kijów jest przeciw udziałowi Warszawy w ewentualnych negocjacjach z Rosją, których przedmiotem miałoby być zakończenie wojny.

To dlatego minister Radosław Sikorski apelował we „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, aby Polska – ze względu na położenie, dotychczasowe zaangażowanie i ponoszone ryzyko – znalazła się przy stole rozmów. Kiedy szef dyplomacji formułuje tego rodzaju żądania w wywiadzie prasowym, to wiadomo, iż jego polityczni przyjaciele w Berlinie mają wobec Warszawy inne plany i proponują Sikorskiemu w odpowiedzi – co potwierdził rzecznik niemieckiego rządu – jedynie „konsultacje”. Innymi słowy w trakcie ewentualnych rokowań o warunkach zakończenia wojny będziemy co najwyżej siedzieć w drugim rzędzie i może ktoś nas zapyta o zdanie.

Wykluczenie Polski – zapewne ze względu na zbyt proamerykańskie stanowisko – było czytelnym celem polityki Kijowa w ostatnim czasie. Być może nawet cała prowokacja z UPA, brak chęci budowy kompromisu czy zorganizowana akcja z oddaniem polskich odznaczeń stanowiły część rozgrywki, którą na zimno zaplanował i przeprowadził Zełenski oraz jego otoczenie.

Oprócz różnic historycznych mamy zatem również spór polityczny, który dotyczy zarówno charakteru relacji polsko-ukraińskich, jak i pozycji naszego kraju w Europie Środkowej. Ukraina nie chce też, aby Polska była samozwańczym „adwokatem” jej drogi do członkostwa w Unii Europejskiej, która w ostatnim czasie staje się coraz mniej pewna. Porozumienie Kaczka–Kos, podpisane w ubiegłym roku między ukraińskim wicepremierem a słoweńską eurokomisarz odpowiadającą za rozszerzenie Wspólnoty, po sześciu miesiącach jest zrealizowane – jak oświadczyli przedstawiciele Kijowa – w 15 proc., a trzeba pamiętać, że obejmuje ono tylko ten rok, co oznacza, iż „reformy” nie są priorytetem Ukrainy.

NA UDZIAŁ W ODBUDOWIE NIE LICZMY

Czy możemy zatem zrobić coś, aby poprawić sytuację? Najpierw warto się zastanowić, kto komu jest bardziej potrzebny.

Zacznijmy nie od kwestii strategicznych i wojskowych – choć o nich jeszcze napiszę – lecz od gospodarczych. Nasz eksport na Ukrainę w porównaniu z 2021 r. podwoił się i wyniósł w ub.r. 14 mld dol., mamy też nadwyżkę. Ale eksport stanowił tylko 3,8 proc. całego wolumenu naszej wymiany handlowej. Nawet gdybyśmy – oczywiście hipotetycznie – stracili cały ten rynek, to polska gospodarka odczułaby tę zmianę w niewielkim stopniu. Nie ma co obawiać się zatem pogróżek płynących z Kijowa, tym bardziej że struktura handlu wskazuje, że to raczej my dysponujemy narzędziami presji.

18,5 proc. obrotów to paliwa. Do wybuchu wojny Ukraina zaopatrywała się w benzynę, asfalt, mazut i inne artykuły ropopochodne na Białorusi i w Rosji. Teraz sporo kupuje od ORLENU i prywatnych dostawców. W Kijowie mogą oczywiście stracić resztę rozsądku i postawić wszystko na jedną kartę, czyli dostawy przez Odessę i porty czarnomorskie lub zakupy w Rumunii i Bułgarii. Tyle że w przypadku tego ostatniego kraju oznaczałoby to zaopatrzenie w rafinerii, której właścicielem nadal jest Łukoil i zabieganie o zgodę rządu w Sofii, który już opowiedział się przeciw kontynuowaniu pomocy dla Ukrainy. W Rumunii od sześciu tygodni trwa zaś kryzys rządowy, w związku z czym bardzo

eprasa.pl 0476ddfa96

prawdopodobne są przyspieszone wybory i nie sposób dziś określić, kto będzie sprawował władzę.

Innymi słowy ewentualne wrogie posunięcia w polityce handlowej będą więcej kosztowały Kijów niż Warszawę, a na udział w hipotetycznej odbudowie też nie liczmy. Nie tylko dlatego, iż trwa wojna – choć to ma znaczenie – lecz z innego powodu. Państwa europejskie chcące finansować ten proces argumentują jednocześnie, że warunkiem pomocy jest zagwarantowanie udziału ich firm w kontraktach i pracach. Mówimy o „znaczonych pieniądzach", czyli systemie, w którym Ukraina otrzymuje wsparcie i pomoc, ale pod warunkiem, że kontrakty będą realizowane przez państwa – donatorów.

Taki sam model funkcjonuje w przypadku finansowania wysiłku wojskowego. Słynna „formuła duńska", do której dołączyła też Norwegia i Szwecja, oznacza finansowanie przez państwa Zachodu produkcji i dostaw uzbrojenia dla Ukrainy, ale pod warunkiem powołania wspólnych przedsiębiorstw produkcyjnych. To rząd Danii wybiera partnerów dla ukraińskich firm i dba o to, aby odbywał się rzeczywisty transfer technologii, bo duńscy konstruktorzy pracujący w takich firmach będą się uczyć i ulepszać produkowany sprzęt. Lepiej wysłać go w 100 proc. na Ukrainę, bo po pierwsze, co kwartał pojawiają się nowe konstrukcje, a po drugie, systemy bezzałogowe po roku i tak nadają się do gruntownego remontu – ze względu na naturalne starzenie się baterii czy rozwiązań optycznych. Nadzorując te firmy, rząd Danii dba też o to, by prócz technologii ukraińskie przedsiębiorstwa nie wyeksportowały do tego skandynawskiego kraju swojej korupcji, układów i nie stały się narzędziem presji politycznej.

To, co robi Kopenhaga, mimo że określane mianem pomocy, nie jest w istocie żadną pomocą. Należy raczej mówić o pozyskaniu technologii, finansowaniu w postaci dopuszczalnej pomocy publicznej własnych start-upów w przemyśle zbrojeniowym i uzależnianiu od siebie Kijowa. Jeśli Duńczycy zbudują wraz z ukraińskim Fire Pointem fabrykę na rakietowe paliwo stałe, to kto się od kogo uzależni? Konstrukcje tej ukraińskiej firmy odpowiadają za ataki na daleko zlokalizowane cele w Federacji Rosyjskiej, a teraz pracuje ona nad koncepcją Freya – europejskiego systemu obrony przestrzeni powietrznej, której elementem mają być rakiety przechwytujące własnej konstrukcji. Celowo piszę o tej ukraińskiej firmie, bo dwa lata temu jej właściciel i główny konstruktor Denis Sztillerman proponował Warszawie budowę u nas fabryki silników do rakiet manewrujących Flamingo i dronów dalekiego zasięgu, które dziś atakują cele na rosyjskich tyłach, a z faktu posiadania takich zdolności bojowych Zełenski uczynił swój atut i argument w rozmowach politycznych.

> Wykluczenie Polski z planowanych negocjacji pokojowych z Rosją było czytelnym celem polityki Kijowa w ostatnim czasie. Być może nawet cała prowokacja z UPA stanowiła część rozgrywki, którą na zimno zaplanował i przeprowadził Zełenski oraz jego otoczenie

Wyobraźmy sobie, jak wyglądałaby dziś pozycja negocjacyjna Polski, gdybyśmy zbudowali taką fabrykę. Dwa lata to wystarczająco dużo czasu i gdybyśmy poszli tą drogą, a nie słuchali argumentacji pseudoekspertów mówiących o tym, że Ukraina nie ma deklarowanych zdolności, to dzisiaj nasze możliwości oddziaływania byłyby znacznie większe. Śmiem twierdzić, że gdyby ukraińskie zdolności atakowania rosyjskich celów na dalekich tyłach zależały od dostaw produkowanych w Polsce silników do dronów FP-1 i FP-2, to Zełenski zastanowiłby się dwa razy, zanim podpisałby dekret o nadaniu jednostce wojskowej miana „Bohaterów UPA". Wtedy wiedziałby, co to znaczy dla Polaków, jakie „zasługi" na Wołyniu ma ta organizacja i nie musiałby organizować specjalnych misji dyplomatycznych.

PRAGMATYCZNA GRA O INTERESY

Jeśli Ukraina chce relacji z Polską, które będą oparte na zasadach transakcyjnych, rachunku zysków i strat oraz obopólnych korzyściach, to pójdźmy tą drogą. Nie myślmy o przyjaźni, bliskości i wspólnej przyszłości, lecz o interesach. Współpracujmy tam, gdzie odniesiemy korzyść. Tyle że tego rodzaju polityka wymaga sprawnych narzędzi. Nie martwię się o nasz biznes, bo on sobie z pewnością poradzi. Polska rozwija się dziś w tempie 2,9 proc. rocznie, średnio przez ostatnie siedem lat. Niemcy w tym samym czasie zwiększyli swoje PKB jedynie o 0,3 proc. To my, a nie Ukraina i nie nasz zachodni sąsiad jesteśmy zwycięzcą w ekonomicznej rywalizacji w ostatnich latach, która trwa i będzie trwała.

Jednak aby realizować twardą politykę transakcyjną, zwłaszcza obejmującą sektory regulowane, jak choćby przemysł zbrojeniowy, musimy mieć silne i sprawne państwo, które wie, czego chce. Warunkiem uczestnictwa w pragmatycznej grze o interesy jest „posiadanie gracza", czyli ośrodka, który nasze działania planuje, przygotowuje, egzekwuje i dba o ich skuteczność. Tego nam dziś brakuje i dlatego boksujemy, mówiąc kolokwialnie, dwie kategorie poniżej naszej wagi. Tam, gdzie nie ma drużyny albo jej gracze są skłóceni i na złość kolegom z zespołu są gotowi strzelić samobója, trudno o trzeźwą, pragmatyczną i skuteczną politykę. Zwłaszcza w starciu z przeciwnikiem, który kopie po kostkach, a wcześniej grał w szmaciankę na osiedlowym boisku.

Jeśli zatem zastanawiamy się w polskich domach, czy i na jakich zasadach współpracować z Ukrainą, to odpowiadam: oczywiście, że współpracować, ale na zimno, bez emocji, twardo negocjując i wykorzystując nasze przewagi. Czas romantycznych uniesień minął. I jeszcze jedno. Apeluję o większą roztropność w przyznawaniu naszych odznaczeń, bo to nie błyskotki – przynajmniej dla nas.

eprasa.pl 0476ddfa96



Pokolenie stresu

DOROTA ŁOSIEWICZ

Gdy pojawia się kolejny raport o młodzieży, reakcje zwykle są przewidywalne. Jedni odczytują go jako dowód upadku obyczajów, inni jako potwierdzenie tego, że kolejne pokolenie jest bardziej świadome i odpowiedzialne niż poprzednie. Raport „Młodzież 2025", przygotowany m.in. przez CBOS i Krajowe Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom, nie daje jednak satysfakcji żadnej ze stron tego sporu. Wyłaniający się z niego obraz jest znacznie bardziej złożony

Na pierwszy rzut oka można wręcz mówić o sukcesie. Młodzi Polacy piją mniej alkoholu, rzadziej palą papierosy i rzadziej sięgają po narkotyki. W wielu obszarach obserwujemy kontynuację trendów spadkowych, widocznych od kilku lat. Gdyby zatrzymać się wyłącznie na tych wskaźnikach, można by było ogłosić zwycięstwo profilaktyki zdrowotnej i wychowawczej. Problem polega na tym, że raport pokazuje coś więcej niż tylko ograniczenie zachowań ryzykownych – pokazuje zmianę samej natury ryzyka.

Stare zagrożenia słabną. Pojawiają się nowe, które coraz częściej nie mają związku z buntem czy potrzebą przekraczania granic. Są raczej próbą radzenia sobie z przeciążeniem, stresem i niepewnością. To właśnie dlatego „Młodzież 2025" jest nie tyle raportem o używkach, ile diagnozą warunków, w których dorasta współczesne pokolenie.

KONIEC EPOKI PAPIEROSA

Jednym z najbardziej spektakularnych wyników badania jest spadek palenia tradycyjnych papierosów. Jeszcze w 2021 r. co piąty uczeń deklarował, że pali regularne, dziś – zaledwie 6 proc. badanych. Jeszcze kilkanaście lat temu papieros był niemal obowiązkowym elementem kultury młodzieżowej. Towarzyszył spotkaniom, imprezom, szkolnym przerwom. Był symbolem niezależności, sposobem budowania tożsamości i zdobywania pozycji w grupie.

Dziś ten świat praktycznie zniknął. To ważna zmiana kulturowa. Pokazuje, że tradycyjne ryzykowne zachowania zdrowotne przestały być atrakcyjne dla znacznej części młodych ludzi. Papieros nie jest już symbolem dorosłości ani buntu – stał się reliktem poprzedniej epoki. Miejsce po nim nie pozostało jednak puste.

Najbardziej uderzająca liczba w całym raporcie nie dotyczy alkoholu ani narkotyków, lecz e-papierosów. Po raz pierwszy uwzględniono ich używanie w tak szerokim zakresie i wynik okazał się zaskakujący. Regularne palenie e-papierosów

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 0476ddfa96

deklaruje aż 32 proc. uczniów. Oznacza to, że elektroniczne formy przyjmowania nikotyny nie są już alternatywą dla tradycyjnego palenia, lecz stały się samodzielnym zjawiskiem społecznym.

Papieros był widoczny. Pachniał. Pozostawiał ślady. Wymagał wyjścia na zewnątrz. Był czymś publicznym. E-papieros jest niemal niewidoczny. Łatwiej go ukryć, trudniej kontrolować. To zmienia nie tylko sposób przyjmowania nikotyny, lecz także relację między kontrolą społeczną a codziennymi nawykami. Warto zauważyć jeszcze jedną rzecz. W przypadku papierosów przez lata dominowała narracja zdrowotna: palisz – niszczysz płuca. W przypadku e-papierosów granice są mniej oczywiste. Dla części młodych to nie jest „palenie", lecz po prostu element codzienności. Właśnie dlatego jego ograniczenie może być trudniejsze niż tradycyjnych papierosów. Nie funkcjonuje bowiem jako zachowanie wyraźnie odstające od normy – coraz częściej samo staje się normą.

Podobnie interesujące są dane dotyczące alkoholu. Nadal pozostaje on najpopularniejszą substancją psychoaktywną wśród młodzieży, ale jego znaczenie wyraźnie maleje. Młodzi rzadziej piją piwo, wino i mocne alkohole. Spadła również skala upijania się.

To zmiana, której nie da się wyjaśnić wyłącznie skuteczniejszą profilaktyką. Alkohol przez dekady pełnił ważną funkcję społeczną. Był częścią rytuałów przechodzenia do dorosłości, towarzyszył budowaniu relacji, integracji grupowej i wspólnemu spędzaniu czasu. Dzisiejsza młodość wygląda inaczej: mniej spontanicznych spotkań, mniej czasu poza domem, więcej kontaktów utrzymywanych przez komunikatory i media społecznościowe. Nie oznacza to, że młodzi przestali eksperymentować. Zmieniło się środowisko, w którym funkcjonują, a wraz z nim narzędzia służące odreagowywaniu napięć.

NARKOTYKI SŁABNĄ, ALE PROBLEM NIE ZNIKA

Widzimy także, iż młodzież rzadziej sięga po narkotyki. Raport pokazuje spadek deklarowanego zażywania tych substancji w ciągu ostatnich 12 miesięcy z 13 proc. w poprzedniej edycji do 9 proc. obecnie. Jeszcze ciekawsze są wskaźniki dotyczące dostępności. Rekordowe 66 proc. badanych deklaruje, że nie zna nikogo zażywającego narkotyki, a ponad połowa twierdzi, że nie wiedziałaby, gdzie można je zdobyć. To ważne, bo pokazuje zmianę środowiska społecznego. Wcześniej kontakt z substancjami nierzadko był częścią grupy rówieśniczej. Dziś ta obecność wydaje się słabsza. Równie wyraźnie spadło znaczenie tzw. dopalaczy – doświadczenia z nimi deklaruje ok. 1,5 proc. badanych. Jeszcze kilka lat temu były przedstawiane jako jedno z głównych zagrożeń zdrowotnych młodzieży, dziś praktycznie znikają z pola widzenia.

> Młodzi piją mniej, palą mniej i rzadziej sięgają po narkotyki niż ich rówieśnicy sprzed dekady. Jednocześnie częściej doświadczają przeciążenia emocjonalnego i problemów psychicznych. To paradoks współczesności

Jednocześnie raport pokazuje, że zażywanie narkotyków nie rozkłada się równomiernie. Częściej deklarują je chłopcy, mieszkańcy większych miast, uczniowie szkół branżowych oraz osoby funkcjonujące w mniej stabilnych warunkach rodzinnych.

Warto zauważyć również inny paradoks. Choć ogólna skala używania substancji psychoaktywnych spada, rośnie ich widoczność na terenie szkół. Coraz więcej uczniów deklaruje, że spotyka się tam z alkoholem, papierosami czy narkotykami. Odsetek placówek wolnych od substancji psychoaktywnych osiągnął rekordowo niski poziom. To sygnał, że problem nie znika – zmienia jedynie swoją formę i miejsce występowania.

Jest jednak wskaźnik, który trudno uznać za dobrą wiadomość. Raport pokazuje wzrost doświadczeń związanych z używaniem leków uspokajających i nasennych bez recepty. Odsetek deklarujących kontakt z takimi środkami wzrósł z ok. 12 proc. do ponad 20 proc. To może być najważniejsza informacja w całym badaniu, bo pokazuje zmianę logiki używania substancji. Alkohol był związany z rozrywką, papieros – z wizerunkiem. Zażywanie leków uspokajających mówi o czymś innym – nie o chęci przekroczenia granicy, lecz o potrzebie obniżenia napięcia. To nie musi oznaczać kryzysu psychicznego całego pokolenia, ale sugeruje zmianę sposobu reagowania na przeciążenie.

I być może właśnie tutaj zaczyna się najważniejsza historia opisana w raporcie. Nie o tym, że młodzi są skłonni do bardziej ryzykownych zachowań, lecz o tym, że coraz częściej szukają sposobów, by wytrzymać tempo świata. A właśnie najbardziej niepokojące informacje zawarte w raporcie nie dotyczą alkoholu, nikotyny ani narkotyków, lecz zdrowia psychicznego.

ZDROWIE PSYCHICZNE

Po raz pierwszy wykorzystano standaryzowaną skalę PHQ-8 służącą do oceny objawów depresyjnych. Wyniki są alarmujące. Ponad dwie piąte uczniów doświadcza symptomów depresji o umiarkowanym lub większym nasileniu. To ponad czterokrotnie częściej niż w populacji dorosłych Polaków.

Jeszcze bardziej niepokojące są dane dotyczące codziennego samopoczucia. Młodzi ludzie częściej niż dorośli doświadczają smutku, przygnębienia, lęku i poczucia bezradności. Znacznie częściej pojawiają się również myśli samobójcze. Szczególnie trudna sytuacja dotyczy dziewcząt. Można oczywiście argumentować, że współczesna młodzież jest bardziej świadoma emocjonalnie i chętniej mówi o swoich problemach niż wcześniejsze pokolenia. To zapewne prawda. Ale nawet jeśli część wzrostu wynika z większej otwartości, skala zjawiska pozostaje zbyt duża, by ją ignorować.

Raport odnotowuje rekordowy poziom stresu wśród uczniów, jednocześ-

eprasa.pl 0476ddfa96

nie maleje poczucie bycia docenianym i zauważanym. To zestawienie wydaje się szczególnie znaczące. Młodzi ludzie dorastają w świecie permanentnej oceny. Są oceniani w szkole, porównywani w mediach społecznościowych, konfrontowani z sukcesami rówieśników i nieustannie zachęcani do samodoskonalenia. W teorii mają więcej możliwości niż jakiekolwiek wcześniejsze pokolenie, w praktyce często oznacza to konieczność nieustannego zarządzania własnym życiem, wizerunkiem i przyszłością. Młodość coraz mniej przypomina okres swobodnego eksperymentowania. Coraz bardziej staje się projektem wymagającym ciągłej kontroli. Nieprzypadkowo jednym z czynników najsilniej związanych z ryzykiem depresji okazują się stres szkolny, poczucie osamotnienia i brak wsparcia społecznego.

Przemoc nie zniknęła, ale zmieniła formę. Ponad połowa badanych uczniów deklaruje, że doświadczyła przynajmniej jednej formy przemocy rówieśniczej. Najczęściej nie są to jednak sytuacje, które łatwo zauważyć. Nie chodzi o bójki czy otwartą agresję. Coraz częściej mamy do czynienia z wykluczeniem, ignorowaniem, ośmieszaniem i cyberprzemocą. To bardzo charakterystyczne dla współczesnego świata. Wraz z przenoszeniem części życia społecznego do internetu również konflikty zaczęły funkcjonować według nowych zasad. Kiedyś konflikt szkolny miał określone miejsce i czas trwania. Po lekcjach można było przynajmniej częściowo odciąć się od problemu. Dziś telefon sprawia, że konflikt może trwać przez całą dobę. Przemoc nie kończy się wraz z ostatnim dzwonkiem – może podążać za młodym człowiekiem wszędzie.

To szczególnie istotne w kontekście zdrowia psychicznego. Raport pokazuje bowiem wyraźnie, że doświadczenie przemocy należy do najważniejszych czynników zwiększających ryzyko depresji.

INTERNET NIE JEST JUŻ DODATKIEM DO ŻYCIA

Przeciętny uczeń spędza dziś w internecie ok. 5 godzin dziennie. To o 2 godziny więcej niż 12 lat temu. Liczba godzin przestaje być jednak najważniejsza. Internet nie jest już narzędziem, z którego można korzystać lub nie – stał się podstawowym środowiskiem funkcjonowania młodych ludzi. Tam utrzymuje się relacje. Tam buduje się reputację. Tam organizuje się czas wolny. Tam śledzi się wydarzenia i komunikuje się ze światem. Dlatego pytanie o to, czy młodzi korzystają z internetu za dużo, zaczyna tracić sens. Znacznie ważniejsze jest, czy potrafią zachować nad tym kontrolę.

Raport pokazuje, że grupa osób zagrożonych problemowym korzystaniem z internetu systematycznie rośnie. Maleje liczba tych, którzy korzystają z sieci w sposób całkowicie bezpieczny. To subtelna, lecz bardzo ważna zmiana.

Jednym z najmniej nagłaśnianych, a jednocześnie najbardziej dynamicznych zjawisk jest wzrost uczestnictwa młodzieży w grach hazardowych. Obecnie bierze w nich udział ponad połowa badanych. Największą popularnością cieszą się gry hazardowe dostępne przez internet – wyprzedziły one nawet Lotto i tradycyjne zakłady bukmacherskie. To kolejny przykład zacierania się granic między rozrywką a ryzykiem. Nowoczesny hazard nie przypomina już kasyna ani punktu bukmacherskiego. Może wyglądać jak zwykła aplikacja, element gry komputerowej albo niewinna zabawa online.

Tymczasem mechanizmy psychologiczne pozostają takie same: oczekiwanie nagrody, ekscytacja, chęć odegrania się po stracie i trudność w przerwaniu aktywności. Co szczególnie ważne, hazard coraz częściej współwystępuje z innymi zachowaniami ryzykownymi, w tym z piciem alkoholu i zażywaniem narkotyków.

SPORT NIE ZAWSZE CHRONI

Raport podważa również jeden z najpopularniejszych stereotypów dotyczących młodzieży. Przez lata aktywność fizyczna była niemal automatycznie traktowana jako czynnik chroniący przed zachowaniami ryzykownymi. Tymczasem obraz sytuacji okazuje się bardziej skomplikowany.

Większość młodych ludzi rzeczywiście regularnie uprawia sport, a najpopularniejszą aktywnością jest trening na siłowni. Jednak chłopcy podejmujący aktywność fizyczną częściej deklarują także zażywanie narkotyków lub środków odurzających. Nie oznacza to oczywiście, że sport prowadzi do używek. Pokazuje raczej, że współczesna kultura osiągnięć, sprawności i wyglądu może niekiedy współistnieć z innymi zachowaniami ryzykownymi.

POKOLENIE OSTROŻNE, ALE PRZECIĄŻONE

Najciekawszy obraz wyłania się dopiero wtedy, gdy na wszystkie wyniki spojrzymy łącznie. To nie jest pokolenie szczególnie buntownicze. Nie jest też pokoleniem wykazującym szczególne skłonności do zachowań ryzykownych.

Młodzi mniej piją, mniej palą i rzadziej sięgają po narkotyki niż ich rówieśnicy sprzed dekady. Jednocześnie częściej doświadczają stresu, przeciążenia emocjonalnego i problemów psychicznych. To paradoks współczesności. Mniej otwartego buntu. Mniej demonstracyjnego przekraczania granic. Więcej napięcia. Więcej niepewności. Więcej codziennego wysiłku związanego z zarządzaniem samym sobą.

Być może raport nie artykułuje najważniejszego wniosku wprost, można go jednak odczytać między wierszami. Dzisiejsi młodzi są pierwszym pokoleniem, które dorasta bez oczywistego przekonania, że przyszłość będzie łatwiejsza od teraźniejszości. Pandemia, wojna, kryzysy gospodarcze, gwałtowne zmiany technologiczne i niepewność rynku pracy nie są dla nich wydarzeniami historycznymi, lecz elementem codzienności. I być może właśnie dlatego raport nie pokazuje pokolenia zbuntowanego. Pokazuje pokolenie ostrożne.

Najważniejszy wniosek nie brzmi więc: dzisiejsza młodzież jest inna. Brzmi inaczej. Dzisiejsza młodzież może jako pierwsza uczy się życia w warunkach, które za kilka lat staną się doświadczeniem większości społeczeństwa. Jeśli tak jest, to raport „Młodzież 2025" nie opisuje wyłącznie młodych Polaków – opisuje kierunek zmian zachodzących w całej Polsce. Bo ostatecznie nie jest to raport o nastolatkach, lecz o świecie, który stworzyliśmy – bezpieczniejszym fizycznie, ale coraz trudniejszym psychicznie.

eprasa.pl 0476ddfa96

Polska nie może być bezbożna



Prezydent codziennie odmawia dziesiątkę różańca w intencji wszystkich, którzy się za niego modlą. Tworzy się w ten sposób piękna duchowa nić, która nas wszystkich łączy

Z ks. dr. hab. Jarosławem Wąsowiczem SDB, kapelanem prezydenta RP, historykiem, duszpasterzem kibiców, rozmawia Marzena Nykiel

Po raz pierwszy w historii kaplica prezydencka jest otwarta dla zwykłych ludzi. To fenomen w skali świata. Jak ksiądz to zrobił?

Ks. Jarosław Wąsowicz: Prezydent wyraził potrzebę podziękowania Polakom za modlitwy i ogromne wsparcie, którego doświadczył podczas kampanii. Gdy wydawało się, że wszystko jest stracone, a skala agresji, kłamstwa i hejtu przekroczyła wszelkie granice, ludzie spontanicznie zaczęli się modlić za ojczyznę i o dobry wybór prezydenta. Powróciliśmy do formuły znanej z czasów stanu wojennego. Ta narodowa intencja obudziła się na nowo i miała niebywały zasięg. Chcieliśmy więc podziękować ludziom za ich wiarę, odwagę i wsparcie. Co więcej, prezydent sam codziennie odmawia dziesiątkę różańca w intencji wszystkich, którzy się za niego modlą. Tworzy się w ten sposób piękna duchowa nić, która nas wszystkich łączy.

Niemal codziennie sprawuje ksiądz msze św. dla pielgrzymów, którzy przyjeżdżają do pałacu prezydenckiego. Jaka to skala?

Wszystkich dokładnie nie liczyłem, ale w tygodniach, gdy jestem obecny w pałacu, w mszach uczestniczy ok. 500 osób tygodniowo. Dziś kaplica prezydencka wygląda trochę jak quasiparafia prezydencka, do której przybywają Polacy z całego świata. Modlili się już z nami rodacy z Brazylii, z różnych krajów dawnych Kresów, z Anglii, Niemiec – dosłownie z całej Europy. To pokazuje, co tak naprawdę stanowi fundament naszej wspólnoty

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0476ddfa96

narodowej. Jednym z jej głównych filarów jest wiara. Łączy nas ten sam system wartości, który pozwalał nam przetrwać burze dziejowe. Polska jest wszędzie tam, gdzie żyje polski język, polska kultura i wiara katolicka. Te wartości pozwalają Polakom przetrwać nieraz w skrajnie trudnych warunkach. Weźmy naszych rodaków z Wileńszczyzny. Jest ich tam ok. 180 tys. Przetrwali cały mrok Związku Sowieckiego i również dzisiaj, na niepodległej Litwie, wcale nie mają łatwo. Trwają, ponieważ fundamentem ich życia jest żywa wiara w Boga i autentyczne ukochanie polskości. To ważne, by pokazać im łączność z krajem.

Ksiądz zapewnia tę łączność poprzez „Wakacje Kresowe" dla tamtejszych dzieci. Obowiązki kapelana nie przerwą tej tradycji?

Nie, prezydent dobrze zna tę inicjatywę i wspiera ją. W tym roku na kolonie przyjedzie aż 340 dzieci. Stawiamy na formację duchową i narodową. To inicjatywa, w którą włączają się różne środowiska, głównie kibice. Działamy od prawie 30 lat. Sytuacja Polaków na Kresach jest dramatyczna, rząd obcina dotacje na ich działalność. Po raz pierwszy od momentu odrodzenia zagrożony został legendarny klub piłkarski Pogoń Lwów, kolebka polskiego piłkarstwa. Problemy finansowe mają też polskie media.

Domyślam się, że na kolonie dla polskich dzieci też nie było państwowych funduszy?

Nigdy nie prosiliśmy o żadne dotacje, a jednak co roku przyjmujemy ok. 300 dzieci. Dzieje się to dzięki wysiłkowi wielu środowisk kresowych w Polsce i kibiców. Koszt organizacji tegorocznego turnusu to ok. 500 tys. zł. Zebraliśmy te pieniądze sami, bez żadnej pomocy państwa. Chcemy pokazać młodemu pokoleniu z Kresów, że warto być Polakiem. Starszych nie trzeba przekonywać, ale młodzież ma dziś wybór – mogą wybrać lepszą szkołę litewską, ukraińską, a jednak ciągle wybierają polską. Kolonie to nasze podziękowanie za tę niezwykłą postawę. Całość opiera się oczywiście na fundamencie duchowym – codzienna msza św. w intencji naszych dobrodziejów i modlitwa różańcowa. Priorytetem jest formacja religijna i patriotyczna.

Czy prezydent włączy się we wsparcie tej inicjatywy?

Prezydent zawsze się w nią włącza. Uczestniczył w niej wcześniej jako prezes IPN czy dyrektor Muzeum II Wojny Światowej. W tym roku też nie zabraknie ważnych spotkań i uroczystości. W kościółku prezydenta w rezydencji w Wiśle uroczyście umieścimy rzeźbę Matki Bożej Katyńskiej, a w sanktuarium w Rumi jest poświęcenie „Serca dla Inki". W sierpniu mija dokładnie 10. rocznica uroczystego pochówku szczątków Danuty Siedzikówny „Inki" i Feliksa Selmanowicza „Zagończyka". To właśnie prezydent był wówczas odpowiedzialny za organizację tych uroczystości.

„Serce dla Inki" to księdza autorska inicjatywa. Na czym polega?

W ramach akcji tworzymy srebrne urny w formie serca, w których umieszczamy ziemię z jej grobu. Byłem wolontariuszem w ekipie prof. Szwagrzyka, gdy odnaleziono „Inkę" na gdańskim cmentarzu. Pan Bóg mnie natchnął i wziąłem garść ziemi z grobu. Miała to być jedna akcja upamiętnienia Danusi w naszym salezjańskim dziele. Srebro miało pochodzić ze zbiórki. Okazało się, że akcja chwyciła za serca tak wielu ludzi, że trzeba ją kontynuować.

Ile serc już powstało?

Zbliżamy się do 50. Moim marzeniem jest, by setne poświęcić w Narewce na Podlasiu, gdzie urodziła się „Inka". Wykonuje je Janusz Rybiński, mój przyjaciel z Federacji Młodzieży Walczącej. Jedyny jubiler, który się tego podjął. Kiedy rzucaliśmy kamieniami w ZOMO, nie przypuszczaliśmy, że ta przyjaźń przetrwa tyle lat. Wszystko jest po coś, choć nie od razu znamy cel. To tak jak z moją kibicowską przeszłością.

Gdyby nie ona, nie byłoby pielgrzymek kibiców na Jasną Górę?

Nie byłoby pielgrzymek, kolonii, wielu dzieł. Bo to kibice są siłą napędową tych inicjatyw. Bardzo się wzruszam, gdy patrzę na moich kolegów, którzy kiedyś byli symbolami polskiego chuligaństwa, a dzisiaj są pięknymi, wierzącymi ludźmi, troszczącymi się o naszych małych rodaków. Pan Bóg dał nam piękną, wierną przyjaźń. W środowisku kibicowskim obowiązują twarde zasady: lojalność i wierność. Starsi koledzy zawsze nam tłumaczyli, że nikogo nie można zostawić, że nie zdradza się przyjaciół, że zdradza się tylko raz.

Często jest ksiądz atakowany za aktywność kibicowską. Jak ksiądz sobie z tym radzi?

W ogóle się tym nie przejmuję. Robię swoje. Jestem księdzem i salezjaninem, a to daje zupełnie inną perspektywę. Nasze zgromadzenie powstało po to, by pracować z trudną młodzieżą i prowadzić ją do Boga. Przed drugą turą wyborów przeczytałem tekst w „Wyborczej", w którym poza tym, że wychowałem się na Zaspie, byłem członkiem Federacji Młodzieży Walczącej i jestem kibicem Lechii, nie zgadzało się nic. Codziennie modlę się za ludzi, którzy kłamstwem zarabiają na życie. Przerażające, że są dziennikarze, którzy muszą kłamać, aby móc żyć.

To ewangeliczna postawa, ale jednak medialne kłamstwo i hejt mogą człowieka zniszczyć. Ciągle atakowany jest prezydent. Jak kapelan wspiera go w takich momentach?

Modlę się za prezydenta, ale go znam. On też jest kibicem i nie przejmuje się takimi sprawami. Podejrzewam, że nawet nie czyta. Zatrzymywanie się nad hejtem nie ma sensu. Prezydent robi swoje, to jest najlepsza droga.

Towarzyszy ksiądz prezydentowi przy podejmowaniu przełomowych decyzji?

Najlepszym towarzyszeniem jest modlitwa za niego. Wiemy, jakie obowiązki spoczywają na głowie państwa. Cieszę się, że jest to człowiek głęboko wierzący, który czyta Pismo Święte,

eprasa.pl 0476ddfa96

który się modli. Jeśli Pan Bóg jest na pierwszym miejscu, to wszystko jest na swoim miejscu.

O odpowiedzialności społecznej katolików wiele mówił kard. August Hlond, który równo 100 lat temu objął stolicę prymasowską, 5 lipca przypada też 145. rocznica jego urodzin. Jakie są zadania katolika polityka?

Warto odwołać się jeszcze do papieża Piusa XI, którego naczelnym hasłem było szerzenie idei Chrystusowej na ziemi. Chodziło o to, by świeccy brali odpowiedzialność za pilnowanie wartości chrześcijańskich w życiu społecznym, gospodarczym i politycznym. Pius XI był nuncjuszem apostolskim w Polsce i jako jedyny dyplomata nie opuścił Warszawy, gdy u bram stała Armia Czerwona. Niezwykły człowiek, który czuł polską duszę i wypromował Augusta Hlonda, nieznanego salezjanina. W czerwcu 1926 r. postawił go na czele polskiego episkopatu. Dziś mało się o tym mówi, ale po śmierci papieża to on był głównym kandydatem na tron papieski. Na szczęście Pan Bóg miał inne plany.

Potrzebowaliśmy go w Polsce.

Prymas August Hlond stał na czele episkopatu w trzech skrajnie różnych i dramatycznych epokach: objął funkcję tuż po zamachu majowym, gdy kształtowały się granice II Rzeczypospolitej i trzeba było duchowo jednoczyć naród po 123 latach zaborów, w czasie II wojny światowej na uchodźstwie, gdzie od lutego 1944 r. przez półtora roku był więźniem Niemców, będąc jednocześnie potężnym ambasadorem sprawy polskiej na świecie oraz w trudnym czasie powojennym. Można powiedzieć, że prymas Hlond był genialnym reżyserem wielkiego dzieła duchowego odrodzenia wspólnoty narodowej, która dokonała się po wojnie. Niestety już bez niego, bo nieoczekiwanie zmarł w 1948 r., ale wskazał swojego następcę. Wiemy, że na łożu śmierci prosił papieża, by został nim kard. Wyszyński. Dzięki prymasowi otrzymaliśmy charyzmatycznego Prymasa Tysiąclecia – interrexa, który przeprowadził nas przez konfrontację z bezbożnym komunizmem. Ale reżyserem całej tej idei był prymas Hlond. Niestety ciągle o tym zapominamy.

Nie tylko zapominamy, lecz także pozwalamy na zakłamywanie. Do tej pory niektórzy posądzają go o zdradę.

To brzemię z czasów komuny. Wyjechał z Polski 13 września 1939 r., bo taka była decyzja polskiego rządu i nuncjusza apostolskiego. Chodziło o to, by poinformować Piusa XII o zbrodniach dokonywanych w Polsce, bo w Watykanie bardzo mocne było lobby niemieckie. Papież był wcześniej nuncjuszem apostolskim w Berlinie i istniało realne zagrożenie, że wiedza o sytuacji w Polsce zostanie przekazana nierzetelnie. O skuteczności Hlonda świadczy to, że w pierwszej encyklice Piusa XII z października 1939 r. znajduje się cały akapit, którego autorem jest nasz prymas. Papież pisze tam, że dokonywane są zbrodnie na naszym narodzie. Prymas bardzo chciał wrócić do Polski, ale nie zgodzili się na to Niemcy. Cały okres okupacji spędził na wygnaniu, stale walcząc o sprawy polskie.

> Codziennie modlę się za ludzi, którzy kłamstwem zarabiają na życie. Przerażające, że są dziennikarze, którzy muszą kłamać, aby móc żyć

Część tego wygnania spędził w Lourdes.

To szczególne miejsce. To tam Pan Bóg potwierdził intuicję papieża Piusa IX, który w 1854 r. ogłosił dogmat o Niepokalanym Poczęciu Najświętszej Maryi Panny. Moim zdaniem był to najważniejszy moment w całej historii Kościoła w XIX w. Europa stała się wówczas areną współczesnego męczeństwa Kościoła, rozpoczętego rewolucją francuską. Ciągle żyjemy w tej epoce, w cieniu rewolucji, która zakwestionowała miejsce Boga w życiu społecznym. Konsekwentnie zwalczała religię i duchowieństwo. Papież był przecież więźniem Napoleona. Później kształtowała się liberalna Europa, marksistowska, powstawały organizacje programowo zwalczające Kościół, jak masoneria. Prymas Hlond, przebywając w Lourdes, codziennie chodził do Groty Massabielskiej. W 1943 r. zaczął artykułować potrzebę duchowego odrodzenia wspólnoty narodowej. Po wojnie bardzo konsekwentnie realizował ten program, a po nim jego następca prymas Wyszyński. Z owoców tego odrodzenia korzystamy do dziś.

A jednak wielu twierdzi, że mamy zmierzch Kościoła. Widzi ksiądz takie zmiany?

To nieprawda. Wystarczy sięgnąć po dane z roczników statystycznych. Dzisiaj w Polsce regularnie praktykuje więcej ludzi niż przed wojną. To jest owoc duchowego odrodzenia. Uczestniczymy w wizji prymasa, nie zdając sobie z tego sprawy. Na łożu śmierci mówił, że widzi wojnę szatanów nad światem, która będzie trwała do końca, że największe walki toczą się nad Polską, że ta walka przyniesie wiele ofiar, ale „zwycięstwo przyjdzie przez Maryję". Musimy wreszcie wykorzenić z siebie kompleksy i nabyć mentalność zwycięzców!

Zwłaszcza że Polska szczególnie doświadcza opieki Maryi w całej swojej historii. Można ją dostrzec nawet w kontekście ostatnich wyborów.

Zdecydowanie! W ubiegłym roku wydarzył się autentyczny cud, wyproszony modlitwą. Skala hejtu, nienawiści i kłamstwa była tak duża, że mogły to przełamać tylko post i modlitwa. Pan Bóg ocalił Polskę, dając nam prezydenta, który twardo stoi na straży wartości chrześcijańskich i nie pozwoli ich zniszczyć. To jest wyraźny

eprasa.pl 0476ddfa96

znak duchowego odrodzenia. Potrafimy się zjednoczyć i zwyciężyć.

W 1932 r. prymas Hlond napisał list o „chrześcijańskich zasadach życia państwowego". Potępia brutalizację życia publicznego, nienawiść, kłamstwo – dokładnie tak, jakby opisywał dzisiejsze realia. Skąd ta aktualność?

Ten list był tłumaczony przed wojną na kilka języków. Aktualność wynika z prostej przyczyny – żyjemy w tej samej epoce. Pamiętajmy, że Kościół zawsze będzie prześladowany, jeśli będzie wierny Chrystusowi, nie będzie traktował Ewangelii wyrywkowo i wybierał przykazań, które mu odpowiadają. Wierność kosztuje, a także niesamowicie pociąga. Dość wspomnieć „Inkę". Dlaczego do dziś zachwyca miliony Polaków? Bo przed egzekucją wypowiedziała to jedno fundamentalne zdanie: „Zachowałam się jak trzeba". Nie zdradziła. To jest esencja chrześcijańskiej postawy w obliczu walki duchowej. Często przegrywamy tę walkę przez nasze grzechy i słabości. Ale mamy Matkę Bożą Wspomożycielkę Wiernych, którą przywoływał prymas Hlond i której na łożu śmierci zawierzył Polskę w mistycznym akcie. Prymas Wyszyński doskonale czuł tę ideę i tytułował Maryję Jasnogórską Wspomożycielką.

Mamy dwie wielkie rocznice. W 1946 r. prymas Hlond na Jasnej Górze poświęcił naród polski Niepokalanemu Sercu Maryi, a 10 lat później uwięziony Prymas Tysiąclecia złożył śluby jasnogórskie.

Jan Paweł II nazwał to polską kartą praw człowieka. Fenomenalne wydarzenie. 1956 r., środek terroru komunistycznego, więzienia pełne, prymas uwięziony, a milion ludzi na Jasnej Górze ślubuje, że będziemy wierni Panu Bogu, że będziemy pilnować, aby wartości chrześcijańskie były obecne w życiu politycznym, społecznym i gospodarczym, że będziemy bronili rodziny, życia nienarodzonego i wychowania dzieci w duchu katolickim. 10 lat wcześniej 500 tys. Polaków uczestniczyło w akcie zawierzenia, choć nie było infrastruktury, możliwości dojazdu. To fenomen!



Fot. Andrzej Wiktor

W liście poprzedzającym to wydarzenie prymas Hlond pisał, że „Polska nie może być bezbożna, musi być katolicka".

To jest niezwykle ważne hasło! Prymas miał w sobie siłę mobilizowania wiernych do idei Chrystusowej w życiu społecznym. Wspomnijmy ostatni gryps płk. Łukasza Cieplińskiego: „Wierzę, że idea Chrystusowa zwycięży i Polska niepodległość odzyska". Kto dzisiaj wie, że gen. Józef Haller należał do sodalicji mariańskiej? Gdy został odstawiony przez Piłsudskiego na boczny tor, formował religijnie młodzież. Mieliśmy takich wielu. Wszystko to pozwoliło ostatecznie zwyciężyć.

A co z wytycznymi dla polityków? Nadal obowiązuje kara za przyjmowanie ustaw sprzecznych z nauczaniem Kościoła?

Oczywiście, że obowiązuje. Tylko dzisiaj wszyscy boją się mówić, że w Kościele istnieje ekskomunika. Boją się powtórzyć za Pismem Świętym, że mężczyźni współżyjący ze sobą nie wejdą do królestwa niebieskiego. A zasady są proste. Trzeba trzymać się przykazań. „Polska nie może być bezbożna" – to hasło prymasa powinno stać się programem dla całego Kościoła.

Tu pojawia się zwykle argument chrześcijańskiego przebaczenia.

Musimy przebaczać, a także pamiętać, że istnieje pięć warunków dobrej spowiedzi, m.in. zadośćuczynienie za popełnione grzechy, mocne postanowienie poprawy, szczera spowiedź. Warto to wszystko przypominać w różnych kontekstach politycznych i społecznych. Przykład Wołynia. Gdyby Kościół greckokatolicki zastosował się do tych reguł, bylibyśmy dziś w zupełnie innym miejscu. Ale nie stosuje się. Nigdy nie będą wolni, jeśli nie odrzucą tego piętna grzechu i zła, które stało się ich udziałem.

I nie będzie pełnego pojednania z Polską?

Pojednanie z Polską jest tutaj najmniejszym problemem. Jeżeli ten naród się nie nawróci, nigdy nie będzie wolny. My także nie będziemy ludźmi wolnymi, jeśli nie będziemy stosować tych reguł. Musimy reagować na zło, sprzeciwiać mu się, nie relatywizować.

A co z nadstawianiem drugiego policzka?

Musimy być przygotowani, że otrzymujemy razy za naszą wierność i że stale będziemy atakowani.

Prymas Hlond mówił o samozagładzie Europy, ostrzegał, że „Paneuropa nie jest w interesie Polski i Polaków".

Islamizacja Europy, a więc to, przez czym obroniły nas Lepanto i Wiedeń, dzisiaj trwa w najlepsze. Wielu ludzi podpowiada nam, że powinniśmy być otwarci na inny świat wartości. Ale tak nie jest. Musimy bronić własnej tożsamości. Na szczęście coraz więcej osób się budzi.

Spełni się proroctwo prymasa Hlonda, że „Polska będzie natchnieniem przyszłości Europy"?

Jak najbardziej. Widzimy, że to się dzieje. Stanowimy naturalne przywództwo narodów, które pamiętają o własnej tożsamości. Wszystkie rocznice, które przypadają w tym roku, pokazują, że duchowe odrodzenie naszej wspólnoty jest możliwe. Uczą nas mentalności zwycięzców. Wygrana prezydenta stanowi dowód na to, że zło można przezwyciężyć, nawet stając przeciwko całemu światu.

eprasa.pl 0476ddfa96



Czy Burnham ocali Wielką Brytanię?

Burmistrz Wielkiego Manchesteru został namaszczony na nowego premiera bez ogłoszenia jakiegokolwiek planu rządzenia i bez podania nazwisk kluczowych członków przyszłego rządu. W jakimś sensie jest więc zagadką



JAN ROKITA

W piątek, 17 lipca, podczas „konferencji potwierdzającej" Partii Pracy, dotychczasowy burmistrz 3-milionowej aglomeracji Wielkiego Manchesteru, 56-letni Andrew Burnham, zostanie proklamowany przywódcą partii i zapewne już następnego dnia obejmie urząd premiera Wielkiej Brytanii. Okoliczności tego zdarzenia są dość wyjątkowe, dlatego warto zwrócić na nie bliższą uwagę.

SKOK DO IZBY GMIN

Zgodnie z brytyjską tradycją konstytucyjną, zakładającą supremację parlamentu, premierem kraju może zostać wyłącznie członek Izby Gmin lub Izby Lordów. Burnham, który dekadę temu zrezygnował z mandatu posła, by kandydować na burmistrza Manchesteru, już w styczniu 2026 r. zgłaszał swoją kandydaturę do Izby Gmin, gdy w jednym z okręgów północnej Anglii akurat odbywały się wybory uzupełniające. Wtedy partia zablokowała jego udział w nich, najwyraźniej na sugestię premiera Keira Starmera, który nie od dziś cierpi na coś w rodzaju „kompleksu Burnhama".

Ale w maju Partia Pracy pod wodzą Starmera poniosła widowiskową klęskę w wyborach samorządowych, utrzymując (jak policzyła BBC) tylko 1068 miejsc w radach miejskich, a tracąc aż 1496 radnych. I oto znalazł się poseł, niejaki Josh Simons, który powiedział:

Fot. Oli Scarff/AFP/East News

eprasa.pl 0476ddfa96

to ja złożę mandat w okręgu Markerfield (w obrębie aglomeracji Manchesteru), aby odbyły się tam wybory nowego posła, a Burnham mógł tym razem kandydować.

Tempo późniejszych zdarzeń jest tu ważne dla zrozumienia kontekstu zmiany na stanowisku premiera. Wybory w jednomandatowym okręgu Markerfield odbyły się w czwartek, 18 czerwca, a następnego dnia ogłoszono, iż Burnham je wygrał, zdobywając 55 proc. głosów (ok. 25 tys.). W sobotę, 20 czerwca, kolejni posłowie Partii Pracy twittowali w sieci, iż mają dość Starmera, tak że wieczorem łączna liczba puczystów z Izby Gmin sięgnęła 103. W poniedziałek, 22 czerwca, rano Burnham wyruszył pociągiem z Manchesteru do Londynu, a ruch tego składu śledził i relacjonował na bieżąco helikopter BBC (co zresztą wywołało awanturę o koszty, gdyż z powodu oszczędności stacja właśnie zwalnia dziennikarzy). W tym samym czasie Starmer wygłaszał na Downing Street 10 oświadczenie dla prasy, w którym oznajmiał o dymisji swojego rządu.

W Partii Pracy to pierwszy przypadek, aby posłowie w internecie przegnali swego lidera, a zarazem szefa rządu. Podobne sytuacje miały miejsce w ostatnich latach u torysów (obalenie May, Johnsona i Truss), choć nigdy dotąd premier nie został przegnany tak gwałtownie. Jeszcze parę dni wcześniej Starmer zapewniał, iż ewentualne wejście Burnhama do Izby Gmin niczego nie zmieni, jeśli idzie o jego premierostwo. A gdy tylko burmistrz Manchesteru faktycznie został posłem, premier w popłochu oddał mu władzę – bez żadnych formalnych procedur – w ciągu 72 godzin.

Brytyjscy komentatorzy piszą, iż wygląda to na nowy zwyczaj konstytucyjny w Wielkiej Brytanii, wedle którego zmiana premiera dokonuje się *de facto* w trybie buntu online posłów z tylnych ław. Ciekawa jest statystyka dotycząca tych 103 posłów laburzystowskich, których wpisy w sieci zmusiły premiera do dymisji: aż 63 spośród nich zostało wybranych po raz pierwszy w wyborach w 2024 r., spektakularnie wygranych przez Starmera. Jak widać, brytyjskiego premiera obaliły zbuntowane partyjne żółtodzioby. Nawiasem mówiąc, mogłaby to być lekcja dla polskich posłów z ostatnich ław sejmowych, których nazwisk nikt nie słyszał i nic nie wiadomo o jakichś ich osiągnięciach.

LUDOWY DEMASKATOR

Kim jest przyszły premier Wielkiej Brytanii? W jakimś sensie pozostaje to zagadką, gdyż Burnham został namaszczony na premiera bez ogłoszenia jakiegokolwiek planu rządzenia i bez podania nazwisk kluczowych członków przyszłego rządu. Wygląda na to, że do władzy jest słabo przygotowany, o czym dobitnie świadczą nieudane starania jego sztabu o to, by Starmer zechciał zostać przejściowym premierem do jesieni, tak aby zyskać czas na stworzenie ekipy i opracowanie manifestu programowego. Ale spotkanie nowego i starego premiera we wtorek, 23 czerwca, odbyło się ponoć w lodowatej atmosferze, a Starmer złośliwie zapowiedział Burnhamowi, iż władzę nad Wielką Brytanią musi brać natychmiast.

O zamiarach nowego rządu wszyscy próbują wnioskować raczej z politycznej przeszłości Burnhama i jego niektórych deklaracji, złożonych w trakcie krótkiej kampanii wyborczej w białym rasowo i robotniczym w przeważającym stopniu okręgu Markerfield.

Andrew Burnham wstąpił do partii, mając 15 (!) lat i dość szybko zrobił w niej karierę. Jako młody socjalista piastował niegdyś funkcje rządowe w gabinetach premierów Blaira i Browna. Z tamtego czasu znany jest przede wszystkim z populistycznego firmowania śledztw, które miały wykazywać indolencję władzy, urzędów i służby zdrowia, co wzbudzało entuzjazm opinii publicznej.

Jako minister kultury Burnham uruchomił powtórne śledztwo w sprawie słynnej katastrofy na stadionie Hillsborough w 1989 r., doprowadzając do wywrócenia do góry nogami wcześniejszych ustaleń, które winę za tamtą tragedię zrzucały na awanturniczych kibiców. Raport, który powstał z inicjatywy Burnhama, wykazał, że kibice byli Bogu ducha winni, za to stadion miał wady budowlane, policja była skrajnie indolentna, a służby ratownicze działały fatalnie.

Inny raport śledczy, tym razem zainicjowany przez Burnhama jako ministra zdrowia, zdemaskował skandaliczny sposób działania szpitala uniwersyteckiego w Stafford, gdzie wcześniej nie potrafiono dociec przyczyny wyjątkowo dużej liczby zgonów. Wtedy Burnham zaczął forsować ideę nowego systemu darmowego leczenia dla wszystkich, niezależenie od ubezpieczenia, ale ten projekt przerwała porażka wyborcza Partii Pracy i utworzenie konserwatywnego gabinetu Camerona.

Te antyestablishmentowe i demaskacyjne akcje przyniosły Burnhamowi ludową popularność, zwłaszcza w biedniejszej, postprzemysłowej Północnej Anglii i w Midlandzie. Nie dziw zatem, że w partii zrodził się pomysł, aby w 2017 r. to jego forsować jako przyszłego burmistrza Wielkiego Manchesteru.

Burnham piastował tę funkcje przez 10 lat, trzykrotnie wygrywając wybory z coraz większą przewagą. W Manchesterze w pełni ukazał swoją wyrazistą twarz socjalisty: znacjonalizował komunikację miejską, obiecał likwidację bezdomności (po latach musiał przyznać, że było to niewykonalne), zatroszczył się o imigrantów, rzucił słynne hasło „Koniec Brytanii HMO", czyli małych domów wynajmowanych kilku rodzinom we wspólnocie mieszkaniowej, faktycznie po jednym pokoju. Stworzył także sieć szkół zawodowych dla dzieci robotniczych, zmniejszając presję na płatne studia wyższe.

Ale największą sławę przyniosła Burnhamowi otwarta wojna z premierem Borisem Johnsonem podczas zarazy 2020 r., gdy odmówił podporządkowania się centralnym zarządzeniom o lockdownie, domagając się pieniędzy dla upadających małych firm w Manchesterze. Do legendy przeszedł jego transmitowany na żywo występ na ulicy przed manchesterskim magistratem, gdy ubrany w kurtkę roboczą (która jest teraz wystawiana jako rekwizyt w tamtejszym Muzeum Historii Ludu) z telefonu dowiedział się o cięciach rządowych i spontanicznie wygłosił wściekłą tyradę nie tylko przeciw Johnsonowi, lecz także przeciw „londynocentrycznemu państwu", zapowiadając nieposłuszeństwo Manchesteru. To wtedy lewicowa prasa zaczęła nazywać Burnhama „King of the North".

eprasa.pl 0476ddfa96

OSTATNIA DESKA RATUNKU

To właśnie dlatego labourzystowscy posłowie postanowili teraz ściągnąć Burnhama z Manchesteru do Londynu. Ma on być ostatnią deską ratunku dla słaniającej się i tracącej wpływy Partii Pracy.

W ciągu dwóch lat rządów Keir Starmer roztrwonił cały polityczny kapitał z poprzednich wyborów. Politycznie poprawny, śmiertelnie nudny i pozbawiony idei, a na dodatek niemający własnego zdania i próbujący dryfować pomiędzy interesami partyjnych frakcji premier już od jakiegoś czasu budził rosnącą niechęć nawet we własnej partii. Ostentacyjne lekceważenie okazywał mu również Donald Trump, który ze złośliwym uśmiechem mawiał o Starmerze: „No, Churchillem to on nie jest!" i wypominał mu publicznie absurdalną politykę w dziedzinie energii (redukowanie brytyjskich platform naftowych na morzu pod presją klimatystów) oraz migracji (wycofanie się z lokowania migrantów w obozach poza granicami Brytanii).

Ale Starmer chyba najbardziej stracił na tym, że w stosunkach z własną partią od początku nie był przywódcą, lecz chorągiewką na wietrze. W dzisiejszej kiepskiej kondycji Wielkiej Brytanii każda decyzja rządu, która ma jakiś wyraźniejszy kierunek, wywołuje opór takiej czy innej grupy interesu. Starmer słynął z tego, że gdy tylko jego posłowie zaszantażowali go złamaniem dyscypliny, z dnia na dzień porzucał doniosłe rządowe projekty. Tak było z reformą świadczeń społecznych, limitami zasiłków na dzieci, cyfrowymi dowodami osobistymi (ważnymi dla zwalczania imigracji), walką z gangami pedofilskimi, podwyżką podatków dla najbogatszych czy w końcu karaniem partyjnych buntowników. Wszystkie te plany rządu Starmera skończyły się fiaskiem, bo premier zawsze wystraszył się czyjegoś szantażu. Trudno nie odnieść wrażenia, że stracił władzę właśnie dlatego, że tak bardzo bał się jej utraty.

Ale dzisiejszy kłopot Wielkiej Brytanii naprawdę polega na tym, że kraj znajduje się w stanie takiego paraliżu, iż również Burnham, choć uważany za ostatniego popularnego brytyjskiego polityka, może być rychło skazany na porażkę. Tak naprawdę dopiero teraz państwo doświadcza – co tu dużo mówić – ponurych skutków własnej decyzji o brexicie sprzed 10 lat.

Świeżo opublikowany w związku z tą rocznicą raport Instytutu Sobieskiego pokazuje – na podstawie rzetelnych źródeł – iście dramatyczny obraz konsekwencji, jakie ponoszą Brytyjczycy z powodu wyjścia z Unii Europejskiej i utraty przez brytyjski biznes dostępu do jednolitego rynku europejskiego. Roczny spadek dochodów publicznych o 100 mld funtów, spadek inwestycji o 18 proc., utrata 330 tys. osób na rynku pracy (zwłaszcza gdy idzie o prace, których nie chcą wykonywać Brytyjczycy), spadek zamożności kraju o 6–8 proc. oraz zubożenie biednych regionów odciętych od unijnej polityki spójności. A wszystko liczone w proporcji do tej zwyczajnej trajektorii rozwoju, która byłaby związana z członkostwem w UE.

> Andrew Burnham wstąpił do Partii Pracy, mając 15 (!) lat i dość szybko zrobił tam karierę. Jako młody socjalista piastował niegdyś funkcje rządowe w gabinetach premierów Blaira i Browna

Co więcej, z powodu rozkładu finansów publicznych, do którego walnie przyczynił się lawirancki gabinet Starmera, brytyjska polityka stała się zakładnikiem rynków finansowych, w tym w szczególności agresywnych wierzycieli – tzw. funduszów hedgingowych, nabywających obligacje brytyjskiego rządu na coraz lepszych dla siebie warunkach. To wierzyciele z całą bezwzględnością obalili w 2022 r. gabinet premier Truss, która dla obniżki podatków i rozwoju biznesu była gotowa zaryzykować zwiększonym deficytem finansów. A już dziś Wielka Brytania ma najgorsze rynkowe warunki zaciągania długu ze wszystkich państw grupy G-7, czyli największych gospodarek wolnego świata.

Strach przed powtórką scenariusza obalenia rządu Truss będzie towarzyszyć gabinetowi Burnhama, który jeszcze podczas kampanii w Markerfield obiecywał renacjonalizację usług publicznych i redukcję długów za płatne studia i obniżenie podatków dla firm, a ciąży jeszcze na nim NATO-wski obowiązek potężnych nakładów na niedoinwestowaną i pogrążoną w rozkładzie brytyjską armię. Wystarczy kilka nazbyt ryzykownych ruchów rządu w dziedzinie finansów, by agresywni wierzyciele bryknęli, doprowadzając do skoku rentowności brytyjskich papierów dłużnych i wielkiego kryzysu brytyjskich finansów.

Na kluczowe pytanie o przyszłość gabinetu Burnhama nie ma dziś nawet rysującej się odpowiedzi. To pytanie o to, czy osobistą charyzmą, łatwym kontaktem z ludźmi, socjalistycznymi hasłami i wizerunkiem „człowieka z ludu" (trochę podobnym do naszego Nawrockiego) Burnham jest w stanie wzbudzić optymizm Brytyjczyków i wydobyć z pogłębiającego się kryzysu samą Partię Pracy. W rezultacie pełzającego pobrexitowego kryzysu, niepohamowanej imigracji oraz spadku poziomu życia Brytyjczycy coraz wyraźniej odrzucają stary system partyjny, popierając nowe, ale za to o wiele bardziej radykalne partie, typu Zieloni na lewicy czy Reform UK na prawicy. Całkiem prawdopodobne, że marginalizacja zarówno torysów, która już jest faktem, jak i postępująca marginalizacja Partii Pracy są trendami, których nie będą w stanie cofnąć nawet charyzmatyczni przywódcy. Na prawicy torysi zostali praktycznie zmarginalizowani przez liberalnych nacjonalistów z Reform UK Nigela Farage'a. Całkiem możliwe, że porażka Kemi Badenoch, utalentowanej i przebojowej liderki konserwatystów, okaże się zatem również przyszłym losem Andrew Burnhama.

eprasa.pl 0476ddfa96



KONIEC politycznego romansu

Relacje Donalda Trumpa i Giorgii Meloni były niezwykle solidne, dopóki na drodze nie stanęła wojna z Iranem. Teraz z Waszyngtonu do Rzymu płyną już tylko obelgi

epiasa.pl 6470ddfa96



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Relacje Donalda Trumpa i Giorgii Meloni długo układały się znakomicie. W październiku, podczas szczytu w sprawie Strefy Gazy, prezydent USA nazwał włoską premier „piękną, młodą kobietą". W styczniu ona mu się odwdzięczyła, sugerując, że zasługuje na Pokojową Nagrodę Nobla. Była jedynym europejskim przywódcą obecnym na jego drugiej inauguracji. On zaś promował jej autobiografię „Jestem Giorgia" na platformie społecznościowej Truth Social. Przy okazji nazwał ją „wielką liderką", mądrą i odważną, która „zawsze stara się pomóc". „Ona jest inspiracją dla wszystkich" – podkreślił.

Teraz jednak z Waszyngtonu do Rzymu zamiast pochlebstw płyną głównie oskarżenia i obelgi. Amerykański przywódca zarzucił swojej – do niedawna – cenionej sojuszniczce, iż ta nachalnie błagała go o wspólne zdjęcie podczas szczytu państw G7 we francuskim Évian-les-Bains, „żeby podbić sobie sondaże". „Nie musiałem tego robić, ale było mi jej żal" – dodał obecny gospodarz Białego Domu.



W nagraniu opublikowanym krótko potem na platformie X Meloni odrzuciła tę wersję wydarzeń, określając ją mianem „całkowicie zmyślonej", po czym podsumowała: „Jest jedna rzecz, o której powinien pamiętać. Ani ja, ani Italia nigdy o nic nie błagamy". Przy okazji skrytykowała pogardliwy stosunek Trumpa do przychylnych mu polityków na Zachodzie. „Nie wiem, dlaczego prezydent Stanów Zjednoczonych tak traktuje własnych sojuszników" – stwierdziła Meloni, ubolewając, że nie okazuje on „tej samej stanowczości wobec wrogów Zachodu i USA", wobec których „wydaje się znacznie bardziej ugodowy".

ZBYT BEZPOŚREDNI

Nie jest oczywiście tajemnicą, że Trump lubi mówić, co myśli, szczególnie jeśli chodzi o lewicowych przywódców europejskich. Premiera Hiszpanii Pedra Sáncheza nazwał „tchórzem", a o odchodzącym szefie rządu Wielkiej Brytanii Keirze Starmerze powiedział, że „nie jest on Winstonem Churchillem". Na temat następcy Starmera, Andy'ego Burnhama, wiedział tyle, że „chyba jest burmistrzem jakiegoś miasta" i prezentuje poglądy bardzo liberalne. Ma też nadzieję, że nigdy nie odwiedzi go w Białym Domu. Źródło zbliżone do prezydenta USA podało ponadto, że Burnham jest postacią tak mało istotną, że Trump „w ogóle go nie kojarzy".

No, ale Meloni to co innego. Długo uchodziła za jego „serdeczną przyjaciółkę", wręcz przedstawicielkę MAGA na Starym Kontynencie. Co więc poszło nie tak? Niegdyś bardzo sobie bliscy, obecnie premier Włoch i prezydent USA różnią się zasadniczo w kilku kwestiach – Grenlandii, udziału Włoch w zarządzaniu pomocą dla Strefy Gazy oraz reakcji na wojnę USA i Izraela z Iranem. Do tego Meloni wzięła w obronę papieża Leona XIV, gdy ten w kwietniu został zaatakowany przez Trumpa na platformie Truth Social. Prezydentowi USA nie spodobało się, że Ojciec Święty nazwał wojnę z Iranem „niesprawiedliwą". W odpowiedzi stwierdził nonszalancko, że to jego prezydentura umożliwiła Leonowi objęcie tronu papieskiego. Ponadto podczas konferencji prasowej przed Białym Domem nazwał papieża „słabym".

Było to dla Meloni poważnym problemem – w końcu ponad połowa Włochów uważa się za katolików, a ona sama odwołuje się do chrześcijańskiego dziedzictwa, w którym Watykan odgrywa centralną rolę. Jak twierdzi portal Politico, włoska premier czuła się zmuszona odpowiedzieć. „Wypowiedzi prezydenta Trumpa na temat Ojca Świętego uważam za niedopuszczalne" – oświadczyła. „Papież jest głową Kościoła katolickiego i słuszne oraz właściwe jest, by wzywał do pokoju i potępiał wszelkie formy wojny" – dodała.

PRZEDMIOTOWO ZAMIAST PODMIOTOWO

Na domiar złego Włochy miały odmówić w marcu zgody na lądowanie amerykańskich samolotów wojskowych w bazie lotniczej Sigonella na Sycylii przed ich wylotem na Bliski Wschód. Meloni odmówiła także wysłania okrętów wojennych w celu zabezpieczenia cieśniny Ormuz. Trump miał zareagować na to słowami, że „nie rozpoznaje" już swojej przyjaciółki. „Ona nie jest już tą samą osobą. Nie obchodzi ją, czy Iran posiada broń jądrową i czy – gdyby tylko miał taką możliwość – w ciągu dwóch minut obróciłby Włochy w perzynę" – stwierdził prezydent USA w rozmowie z „Corriere della Sera".

Na szczycie G7 w Évian-les-Bains mieli się właściwie pogodzić. Zamiast tego znów powiało chłodem. Pod rozbawionymi spojrzeniami innych światowych przywódców – jak donosi Agencja Reutera – Trump zarzucił Meloni, że go „opuściła". „Nieprawda" – oparła włoska premier, starając się przykryć napięcie pod szerokim uśmiechem. Po szczycie prezydent USA wylewał swoje żale na Meloni w amerykańskich mediach. „Była moją wielką fanką" – powiedział korespondentowi NBC Gabe'owi Gutierrezowi. „Ale nie chcę, żeby była moją fanką, ponieważ podobnie jak inni członkowie NATO nie sprostała zadaniu w cieśninie Ormuz" – lamentował.

Tym samym Meloni przekonała się, że łaska Trumpa na pstrym koniu jeździ. Tym bardziej że amerykański prezydent źle znosi sprzeciw. Szczególnie sojusz-

eprasa.pl 0476ddfa96

ników, których nie chce traktować podmiotowo. Według „La Repubblica" Meloni „płaci cenę za odmowę udostępnienia włoskich baz Waszyngtonowi". Zdaniem gazety w latach 80. „Bettino Craxi również powiedział »nie« Reaganowi". Jednak wtedy było inaczej, skarży się gazeta. Bardziej cywilizowanie.

Rzym zareagował na ataki Trumpa odwołaniem wizyty szefa MSZ Antonia Tajaniego w Waszyngtonie, a włoskie media przypominają, że bliska polityczna relacja z gospodarzem Białego Domu od początku była dla Meloni trudna.

BRAK MIŁOŚCI DO USA

Wyraźnie proatlantycki kurs premier nie spotkał się bowiem z szerokim poparciem w społeczeństwie. Według niedawnego sondażu instytutu YouGov Trump cieszy się zaufaniem zaledwie 7 proc. Włochów, z kolei aż 86 proc. ma o nim negatywne zdanie. Odsetek krytycznie nastawionych do prezydenta USA mieszkańców Italii wzrósł zresztą od marca o 6 pp., zapewne za sprawą wojny w Iranie. Popularność Meloni natomiast – wbrew słowom Trumpa – wciąż utrzymuje się na wysokim poziomie. Sondaż YouGov przeprowadzony w kwietniu wykazał, że 35 proc. Włochów oceniało ją pozytywnie, a 57 proc. – negatywnie. Z kolei w innym badaniu Ipsos, opublikowanym w lutym, poparcie dla niej oscylowało na poziomie 44 proc.

Meloni musiała się zresztą wielokrotnie bronić przed zarzutami, że zanadto przymila się do amerykańskiego przywódcy, a on się z nią wcale nie liczy. Wpływ wojny w Iranie na ceny paliw i żywności stanowiłby wyzwanie dla każdego rządu, jednak Meloni musi dodatkowo dbać o równowagę budżetową w kraju pogrążonym w kryzysie zadłużenia. Opozycja otwarcie wyśmiewała jej przyjaźń z amerykańskim prezydentem, który zaskoczył Włochy nagłymi atakami na Bliskim Wschodzie. Drwiny przybrały na sile, gdy okazało się, że przebywający na urlopie włoski minister obrony utknął w Dubaju, ponieważ wojna wymusiła zawieszenie lotów.

„Jeśli chodzi o moją popularność, to bycie twoim przyjacielem z pewnością jej nie pomogło" – powiedziała Meloni Trumpowi w odpowiedzi na jego osobiste ataki. Unaoczniło to zadanie, przed którym stanęła – utrzymanie relacji z Ameryką, kluczowym partnerem w dziedzinie bezpieczeństwa dla Włoch, przy jednoczesnym dystansowaniu się od jej prezydenta, by zyskać przychylność wyborców.

W 2027 r. odbędą się wybory parlamentarne, a Meloni weźmie w nich udział nieco osłabiona po przegranym referendum ws. reformy systemu sprawiedliwości. Do tego na prawicy pojawiła się nowa partia polityczna – Futuro Nazionale, założona przez byłego polityka Ligi Północnej Roberta Vannacciego, który chce rzucić jej wyzwanie. Także opozycja odzyskała wigor, którego jej od dawna brakowało, a Meloni – po raz pierwszy od objęcia urzędu premiera w 2022 r. – sprawia wrażenie podatnej na ciosy.

> Długo uchodziła za jego „serdeczną przyjaciółkę", wręcz przedstawicielkę MAGA na Starym Kontynencie. Co więc poszło nie tak? Niegdyś bardzo sobie bliscy, obecnie premier Włoch i prezydent USA różnią się zasadniczo w kilku kwestiach, m.in. wojny z Iranem czy oceny Leona XIV

JEŚLI NIE USA, TO MOŻE FRANCJA?

Dlatego zarówno analitycy, jak i europejskie media spodziewają się, że relacja między włoską premier a prezydentem USA w najbliższym czasie się raczej nie ociepli. Zamiast tego wieszczą zacieśnienie więzi przez Meloni z europejskimi sojusznikami, z którymi dotąd utrzymywała trudne relacje. Choćby z Francją. Na marginesie szczytu G7 – jak pisze portal Politico – ok. 20 ministrów z Włoch i Francji w towarzystwie czołowych przedstawicieli świata biznesu już przypieczętowało francusko-włoski rozejm, podpisując kilkanaście dwustronnych porozumień, m.in. dotyczących cywilnej energetyki jądrowej – ze szczególnym uwzględnieniem wykorzystania małych francuskich reaktorów – oraz umowę o wspólnym przedsięwzięciu kosmicznym pomiędzy Airbusem, Leonardo a Thales. Była też mowa o dwustronnej mapie drogowej współpracy w dziedzinie obronności w latach 2025–2031 oraz o wspólnej strategii zapewnienia bezpieczeństwa w basenie Morza Śródziemnego.

„Nie jest tajemnicą, że w ostatnich miesiącach między Rzymem a Paryżem dochodziło do napięć na tle niektórych kwestii" – powiedział Giangiacomo Calovini, poseł z partii Meloni i członek parlamentarnej grupy przyjaźni włosko-francuskiej. „Jestem jednak przekonany, że biorąc pod uwagę szczególnie złożoną sytuację międzynarodową, z jaką obecnie się mierzymy, Włochy i Francja nadal mają obowiązek dążyć do zbliżenia stanowisk" – zaznaczył.



eprasa.pl 0476ddfa96

O losie Polski zadecyduje demografia

Nie idziemy po władzę dla samej władzy, aby wracać do przeszłości – z całym szacunkiem dla wcześniejszego dorobku. Celem jest dokonanie w Polsce „lepszej zmiany”

Z dr. Bartłomiejem Wróblewskim, posłem, przewodniczącym Forum Konserwatywnego Prawa i Sprawiedliwości, rozmawia Jerzy Szmit

Niedawno działaczka ruchu aborcyjnego pochwaliła się, że przyczyniła się do zabicia zdrowego, nienarodzonego dziecka, jednego z bliźniąt, ponieważ matka była przygotowana na jedno potomstwo.

Bartłomiej Wróblewski: Lewica i liberałowie twierdzą dziś, że aborcja jest prawem człowieka i powinna być dostępna, gdy tylko kobieta sobie tego życzy. Polska konstytucja chroni jednak życie od poczęcia do naturalnej śmierci. Orzecznictwo Trybunału Konstytucyjnego w tej sprawie jest jednoznaczne i konsekwentne od wyroku w 1997 r., zakazującego aborcji na życzenie, przez orzeczenia z 2004 r. i 2008 r., do wyroku zakazującego eugeniki w 2020 r.

> Potrzebujemy silnej, niezależnej instytucji pozostającej poza bieżącym sporem politycznym i prowadzącej długofalowe działania nastawione na wzrost demograficzny. Stąd pomysł powołania Polskiego Instytutu Rodziny i Demografii

„Wysokie Obcasy”, dodatek „Gazety Wyborczej”, ogłasza bohaterką „lekarkę”, która zabiła dziecko w czasie porodu.

To zabójstwo, choć maskowane powołaniem się na obowiązujące przepisy. Wszyscy uczestniczący w takiej aborcji powinni ponieść odpowiedzialność karną. Niestety od 2023 r. mamy w Polsce stan anarchii prawnej. Rząd uznał, że nie obowiązują konstytucja ani ustawy. Mówią, że stosują prawo tak jak je rozumieją. Rządzą za pomocą uchwał, wytycznych, reinterpretacji przepisów, czasami za pomocą siły. Doprowadziło to do osłabienia ochrony życia oraz wielu innych praw ludzkich.

Jak mamy traktować w Polsce tzw. transkrypcję aktów zawarcia małżeństwa jednopłciowego w innych państwach?

Trybunał Sprawiedliwości UE próbuje tylnymi drzwiami, z naruszeniem konstytucji i traktatów wprowadzić w Polsce instytucję małżeństw jednopłciowych. W konsekwencji, choć formalnie w naszym kraju małżeństw homoseksualnych nadal nie ma, *de facto* część instytucji państwa je uznała. Odwrócenie tej sytuacji nie będzie łatwe, także po wygranych wyborach w 2027 r. Mamy jednak determinację, aby działać przeciw temu. W międzyczasie Trybunał Konstytucyjny powinien uznać rozporządzenie rządu w tej sprawie za niekonstytucyjne. Nawet po jego uchyleniu nie znikną jednak wszystkie konsekwencje bezprawnych działań rządu.

Czy traktaty przestały obowiązywać?

Litera prawa europejskiego, tj. zarówno prawa Unii Europejskiej, jak i Europejskiej Konwencji Praw Człowieka, nie zmieniła się. Ale ich rozumienie i interpretacja są zupełnie inne niż 20 lat temu. Idą w kierunku odrzucenia klasycznej idei praw człowieka w imię skrajnie lewicowej ideologii oraz narzucenia jej wszystkim europejskim społeczeństwom. Chodzi o stworzenie europejskiego państwa, jednolitej przestrzeni prawnej, gdzie to sądy europejskie, a nie narodowe mają ostatnie słowo w rozstrzyganiu wszystkich sporów prawnych. Na szczęście w Europie przybiera na sile bunt przeciwko narzucaniu ideologii i prawa wbrew woli społeczeństw europejskich. Jednym z najważniejszych zadań Prawa i Sprawiedliwości po powrocie do władzy będzie rewindykacja kompetencji, które zostały nam oraz wszystkim Europejczykom nieuczciwie i niezgodnie z prawem odebrane decyzjami organów UE: Rady i Komisji Europejskiej, Trybunału Sprawiedliwości UE oraz Europejskiego Trybunału Praw Człowieka.

eprasa.pl 0476ddfa96

Czyli jest to proces manipulacji?

Tak, zmiany treściowe są rozłożone w czasie, a możliwe dzięki wypracowanym w Trybunale technikom interpretacyjnym, które pozwalają na wydanie dowolnego orzeczenia. Np. nadaje się nową treść prawu do prywatności, powołując się na zasadę konsensusu. Trybunał stwierdza, że jeśli w kilku progresywnych państwach europejskich jakaś praktyka została przyjęta przez parlament, stanowi to zobowiązanie dla innych. A przecież słowo „konsensus" oznacza zgodę. Tu jest jednak wykorzystywane przeciwko tym, którzy nie godzą się na określone praktyki.

Ale te orzeczenia wydają sędziowie.

Każdy kraj ma prawo do jednego sędziego w Europejskim Trybunale Praw Człowieka. W procesie wyboru proponuje trzech, z których jeden jest wybierany przez Zgromadzenie Parlamentarne Rady Europy. Niestety kandydatury sędziów kojarzonych z wartościami konserwatywnymi są odrzucane. Tak było z dziewięcioma kolejnymi kandydaturami zgłaszanymi przez rząd PiS. Ostatecznie w Trybunale orzeka ściśle wyselekcjonowana grupa sędziów, która w większości hołduje ideologii lewicowego postępu. Dodatkowo sędziom Trybunału odradza się składanie zdań odrębnych, aby utrzymać jednolity front ideologiczny większości. Czasopisma naukowe odrzucają teksty na temat praw człowieka, jeżeli mają wydźwięk tradycyjny. Powstaje system zamknięty, ograniczający wolność słowa i badań naukowych.

Związki par homoseksualnych, następnie adopcja dzieci – naturalną konsekwencją będzie handel dziećmi. Czy tak to ma wyglądać?

Schemat jest taki sam jak w przypadku eutanazji czy aborcji. Zwykle pojawia się jakaś wyjątkowa, poruszająca historia. Beznadziejnie chore, cierpiące dziecko, skrzywdzona młoda dziewczyna czy para żyjąca ze sobą przez kilkadziesiąt lat. Potem pojawia się postulat, aby zmienić albo reinterpretować obowiązujące „nieludzkie" prawo. Trzeba ulżyć cierpieniom dziecka i rodziców, stworzyć możliwość „godnego" zakończenia życia dziecka. Później rozciąga się to na inne sytuacje chorych dzieci, dalej na wszystkie trudne sytuacje w życiu. Tak samo z dorosłymi. Zaczynają się sprawy „ulżenia" cierpieniom nieuleczalnie chorych, później tylko chorych czy niepełnosprawnych, dalej w depresji czy jakimś innym nieszczęściu, a w końcu eutanazja staje się prawem człowieka do zakończenia życia z dowolnego powodu. Tak wygląda strategia: bazując na współczuciu, tworzyć precedensy, dalej je rozszerzać, a w końcu tworzyć zupełnie nowe prawa, stanowiące zaprzeczenie praw pierwotnie zapisanych w tekście konstytucji czy konwencji międzynarodowej. Czasami dochodzi do tego formalna zmiana przepisu, ale w praktyce sądów europejskich także bez oglądania się na formalnie obowiązujące prawo przez nadanie nowego znaczenia starym przepisom o ochronie życia, małżeństwa, praw rodziców czy wolności religijnej.

Czy możemy to zatrzymać?

Po pierwsze, konieczne jest działanie na rzecz przywrócenia tradycyjnej koncepcji praw człowieka. Po drugie, chodzi



Fot. M.Matusiak

eprasa.pl 0476ddfa96

o ograniczenie wpływu instytucji międzynarodowych na Polskę. Oba wyzwania są trudne, ale je podejmujemy, mimo niekorzystnych okoliczności. Rząd Donalda Tuska stworzył w Polsce stan anarchii prawnej. Osłabił instytucję „ostatniego słowa", którą zgodnie z konstytucją jest Trybunał Konstytucyjny, w szczególności poprzez odmowę publikowania orzeczeń. Dzisiaj dowolny sąd czy urząd chce decydować, co jest zgodne z konstytucją, a co nie, kto jest sędzią, a kto nie, które orzeczenia sądów są ważne, a które nie. Po 2027 r. trzeba usunąć wszystko, co stanowi oczywiste naruszenie polskiego prawa, a w instytucjach międzynarodowych odzyskiwać obszary suwerenności. Musimy wyraźnie powiedzieć na arenie międzynarodowej, że jesteśmy jednoznacznie przywiązani do klasycznej idei praw człowieka. Trzeba też mieć odpowiedź pozytywną, tworzyć prawne alternatywy. Dobrze by było, abyśmy wraz ze Stanami Zjednoczonymi, Włochami i innymi państwami stworzyli Międzynarodową Konwencję Praw Rodziny.

Czy destrukcja rodziny i fundamentów cywilizacji chrześcijańskiej to cyniczna gra na podział i skłócanie Polaków? Czy to jest prawdziwy cel Donalda Tuska?

Osłabianie tradycyjnych fundamentów chrześcijańskich Europy trwa od dawna, ale po 2023 r. Donald Tusk aktywnie włączył się w te procesy. To zmiana w stosunku do założeń ideowych Platformy Obywatelskiej z czasów jej utworzenia w 2001 r., a nawet rządów z lat 2007–2015. Rządząca koalicja nie jest monolitem, ale jej rdzeniem są środowiska lewicowo-progresywne. One nie tyle chcą władzy politycznej, ile rewolucji obyczajowej, dekompozycji rodziny i tradycyjnego porządku. Inni, jak część PSL, Polski 2050, a nawet część KO, nie są entuzjastami tej idei, ale dla bieżących korzyści się jej poddają. Niestety uczestniczą w tym ludzie zasłużeni dla obrony życia i podstawowych wartości, jak prof. Andrzej Zoll czy Filip Libicki.

Spór polityczny niszczy charaktery i myślenie.

Uboczną konsekwencją sporów ustrojowych jest erozja tzw. konsensusu wojtylańskiego, czyli zgody wokół spraw najważniejszych, dotyczących życia i człowieka. Myślenie prawno-naturalne, rozwijane przez św. Jan Pawła II i poparte jego autorytetem, wpłynęło na kształt naszej konstytucji, a potem orzecznictwo TK w zakresie praw człowieka i praw naturalnych. Dzisiaj jest kwestionowane.

Kiedy to nastąpiło?

Po 2015 r., w odpowiedzi na podwójną wygraną Zjednoczonej Prawicy. Choć zapewne można też wskazać przegraną Donalda Tuska z prof. Lechem Kaczyńskim w 2005 r. Niezdolność do pogodzenia się z porażką prowadziła do uruchomienia „przemysłu pogardy". Potem uczyniono z tego doktrynę polityczną. W wulgarnej, ale oddającej jej istotę formie wyraża to „osiem gwiazdek".

W Sejmie i poza nim wykonuje pan olbrzymią merytoryczną pracę.

Można spędzić polityczne życie, prowadząc spory. Ostatecznie istotne jest natomiast to, co jesteśmy w stanie zrobić dla Polski i spraw najważniejszych. Przygotowałem kilkadziesiąt projektów przeprowadzonych przez parlament ustaw i uchwał sejmowych dotyczących obrony suwerenności, ochrony życia, praw rodziców, wolności religijnej, a także spraw gospodarczych związanych z ograniczeniem biurokracji i deregulacją, wspieraniem polskich przedsiębiorców oraz rolników. Tę pracę wykonujemy razem z koleżankami i kolegami z Forum Konserwatywnego PiS.

Musimy wyciągnąć wnioski z naszych niedoskonałości i zaniechań – szczególnie w ostatnich latach rządów – i nie trwać w rutynowych sposobach myślenia. Z niektórymi środowiskami, w tym z rolnikami i przedsiębiorcami, trzeba się przeprosić

Nad czym obecnie pracujecie?

Przygotowujemy pakiet 20 ustaw dotyczących rewindykacji i wzmocnienia polskiej suwerenności w różnych obszarach, w tym gospodarki, ustroju i konstytucji, a także ochrony praw podstawowych, demografii, repatriacji i zagrożeń związanych z migracją. Organizujemy dwie konserwatywno-wolnościowe konwencje programowe PiS, obie z udziałem prezesa Jarosława Kaczyńskiego i prof. Przemysława Czarnka, którego jako Forum Konserwatywne mocno wspieramy. W sobotę, 4 lipca, w Warszawie odbędzie się konwencja „Rodzina, edukacja, demografia", a jesienią – „Suwerenność i gospodarka". Polakom trzeba pokazać nowe propozycje. Chcemy odbudować zaufanie wyborców zorientowanych tradycyjnie, a także Polaków myślących zdroworozsądkowo, oczekujących normalności w życiu publicznym. Dlatego zapraszamy na konwencje wiele organizacji społecznych: prorodzinnych, pro-life, edukacyjnych, chrześcijańskich, proobronnych, kresowych, polonijnych, gospodarczych i rolniczych. Nie chcemy pozostawać na poziomie słusznych ogólników i zapowiedzi, lecz pragniemy słuchać oczekiwań i potem je konkretyzować, zapisując w projektach ustaw. Nie idziemy po władzę dla samej władzy, aby wracać do przeszłości – z całym szacunkiem dla wcześniejszego dorobku. Celem jest dokonanie w Polsce „lepszej zmiany". Spotkania w terenie to silna strona PiS. Naczelnik zawsze o to dbał i wciąż tego pilnuje. Musimy także wyciągnąć wnioski z naszych niedoskonałości i zaniechań – szczególnie w ostatnich latach rządów – i nie trwać w rutynowych sposobach myślenia. Z niektórymi środowiskami, w tym z rolnikami i przedsiębiorcami, trzeba się przeprosić. Naszym celem powinno być odrzucanie biurokratycznych i antyprzedsię-

23/0526/F

eprasa.pl 0476ddfa96

biorczych pomysłów płynących z Brukseli (KSEF, SENT, Zielony Ład). To wymaga odwagi, ale bez tego zostaniemy całkowicie pochłonięci przez unijnego lewiatana.

Głosi pan potrzebę powołania Polskiego Instytutu Rodziny i Demografii jako osobnej instytucji z szerokim zakresem działania i własnym budżetem.

Zmieniają się parlamenty, premierzy, ministrowie. W zakresie polityki prorodzinnej nie ma żadnej ciągłości zarówno w sensie programowym, jak i ludzkim. Potrzebujemy silnej, niezależnej instytucji pozostającej poza bieżącym sporem politycznym i prowadzącej długofalowe działania nastawione na wzrost demograficzny, ponieważ demografia jest rzeczą najważniejszą. Były czasy, kiedy Polski nie było, ale byli Polacy i przechowali polskość, naszą tradycję i kulturę. Jeśli teraz nie zatrzymamy depopulacji, znikniemy.

A repatriacje? Projekt ustawy przygotował senator Grzegorz Bierecki.

Każdy rząd po 1989 r. mówił, że chce umożliwić repatriację. Sprowadzało się to do przyjazdu stosunkowo nielicznych rodzin, głównie z Kazachstanu. Rząd PiS ponaddziesięciokrotnie zwiększył liczbę przyjmowanych rodaków. Wciąż jednak mówimy o setkach osób rocznie, a trzeba otworzyć się na tysiące. Mówić nie tylko o repatriacji, lecz szerzej – o reemigracji. Stworzyć warunki przyjazdu do ojczyzny Polaków rozsianych po całym świecie. Tak robił Viktor Orbán, tak zrobili Niemcy, sprowadzając setki tysięcy Niemców nadwołżańskich z terenów dawnego ZSRR, a najlepiej robi to Izrael. W Polskim Instytucie Rodziny i Demografii planujemy utworzenie pionu zajmującego się tylko kwestiami reemigracji. Odpowiednie instrumenty stworzył senator Grzegorz Bierecki w projekcie ustawy o osadnictwie Polaków wracających do Polski. To wielka rzecz.

Jest pan wybitnym alpinistą, zdobył pan najwyższe szczyty górskie wszystkich kontynentów. Co pana ciągnie do tak ekstremalnych wyczynów?

Pasja wędrowania i wspinaczki jest we mnie od czasów harcerstwa. Nie chodzi tu o ekstremalne przeżycia, lecz o ciekawość świata i chęć mierzenia się ze sobą. Z pewnej perspektywy myślę, że wędrówki po wszystkich kontynentach nie miały prawa wydarzyć się w moim życiu, ale się wydarzyły. Tym bardziej jestem wdzięczny za to Panu Bogu i rodzicom. Powstał wywiad rzeka „Siedem Everestów. Droga do Korony Ziemi", w którym opowiadam o podróżach i górach, czasem o egzotycznych miejscach, czasem o dramatycznych historiach, pięknych i trudnych doświadczeniach, niepoddawaniu się trudnościom, przełamywaniu własnych słabości. Być może coś z tego widoczne jest w mojej polityce.

REKLAMA





Kibice Iranu na meczu z Belgią

Piłka trzęsie światem

eprasa.pl 0476ddfa96



Piłka nożna to zjawisko przynajmniej quasireligijne, które ma swe świątynie – stadiony, kapłanów – trenerów i sprawozdawców, wiernych – widzów i bożyszcza – piłkarzy. Nic więc dziwnego, że cały świat obserwuje mundial w Kanadzie, Meksyku i USA. Co ciekawe, nie tylko z powodów sportowych

Motto:
Ze wszystkich rzeczy nieważnych piłka nożna jest najważniejsza

papież Jan Paweł II,
bramkarz Czarnych Wadowice



DARIUSZ MATUSZAK

Tak się składa, że Duch Święty, który ma inspirować kardynałów w sprawie wyboru papieża, już od czterech konklawe (od 1978 r.) podpowiada im, by na tronie piotrowym posadzili wielkiego fana piłki nożnej. Jan Paweł II kibicował Cracovii, Benedykt XVI – Bayernowi Monachium, Franciszek – drużynie San Lorenzo z Buenos Aires, a Leon XIV, gdyby mógł, to pewnie zostałby szalikowcem pacyfistą peruwiańskiej Alianza Lima. Oczywiście każdy z nich kibicował też reprezentacji swej ojczyzny i Watykanu, której trzon stanowią szwajcarscy gwardziści. Choć toczy ona boje na poziomie międzynarodowym – głównie z Monako i San Marino, to są małe szanse, by zagrała na mistrzostwach świata. Nie wystarczą umiejętności i modlitwy. Watykan musiałby się jeszcze zapisać do FIFA, a na to się nie zanosi.

Tak czy owak piłka nożna to zjawisko przynajmniej quasireligijne, które ma swe świątynie – stadiony, kapłanów – trenerów i sprawozdawców, wiernych – widzów i bożyszcza – piłkarzy. Kard. Ratzinger, późniejszy Benedykt XVI, w książce „Szukajcie tego, co w górze" (tytuł nawiązuje do Listu św. Pawła do Kolosan) tak pisał o futbolu: „Być może kiedy się nad tym zastanowimy moglibyśmy z perspektywy tej gry na nowo nauczyć się życia. W niej bowiem widać rzecz podstawową: człowiek żyje nie tylko chlebem, a świat materialny jest tylko wstępem [...] do świata wolności. [...] Gra staje się też życiem". Papież Leon XIV cieszy się, widząc, jak reprezentanci USA modlą się po meczu na murawie boiska.

TORT CORAZ WIĘKSZY

Jeśli więc piłka nożna to religia, to powinniśmy się cieszyć z rozszerzonej formuły mistrzostw świata. Futbolowy tort stał się tak wielki, że dla każdego można wykroić potężny kawał. Jak do biblijnych ubogich należy królestwo Boże, tak do małych, zapomnianych narodów z Curaçao czy Wysp Zielonego Przylądka należy mundial. Jak inaczej świat dowiedziałby się o tych państewkach? Jak poznałby 40-letniego bramkarza Zielonoprzylądkowca Josimara Évorę Diasa (wiem, że wszyscy piszą Cabowerdyjczyk, ale ja wolę po polsku) i jego mamę, którą – chociaż nie miał pieniędzy, więc nie mógł dostać dla niej wizy na czas – udało mu się dzięki dobrym ludziom ściągnąć na największą imprezę świata, by mogła na niej podziwiać swego syna?

Nie będziemy się dalej pogrążać w religijnych wzniosłościach, choć to niewątpliwie fascynujący wątek – niech ktoś powie, że Argentyńczycy nie czczą Messiego jak boga, skoro jego 26-metrowy pomnik w Cutral Co jest tylko o 4 metry niższy niż statua Chrystusa Zbawiciela w Rio de Janeiro – tylko przejdziemy do bardziej przyziemnych spraw: polityki, pieniędzy, obyczajów i zwykłego mordobicia.

Z POLITYKĄ W TLE

Jeśli chodzi o to ostatnie, odczuwamy niedosyt. Po tym, jak drużyna Paris Saint-Germain wygrała Ligę Mistrzów – co nad Sekwaną fetowano spaleniem tysięcy samochodów, zdemolowaniem całych kwartałów miast i bitwami z policją – mogliśmy się spodziewać prawdziwych wybuchów radości po zwycięstwach Francji. A tu cisza. Żadnego ubogacenia kulturowego. Może dlatego, że na całych połaciach Francji (m.in. w Tuluzie i Orleanie) w noce, kiedy są rozgrywane mecze tzw. podwyższonego ryzyka – z udziałem Francji, Maroka, Algierii, Senegalu, Tunezji – wprowadzono godzinę policyjną.

Sprawy w swoje ręce wzięli Amerykanie, którzy po zwycięstwie ich reprezentacji nad Paragwajem i w związku z finałem NBA zdemolowali Times Square w Nowym Jorku. Daleko im jednak do rozmachu mieszkańców Francji. Tak czy owak im dalej zajdzie francuska reprezentacja, tym zniszczenia będą większe.

Całkiem poważnie, a nawet dramatycznie mają się sprawy w Meksyku. Tam mundial stał się okazją do protestów grup społecznych i zawodowych. Pod Stadionem Azteca doszło do wielkich demonstracji przeciwko FIFA, samej imprezie i rządowi. Protesty przerodziły się w zamieszki, plądrowanie stolicy i starcia z policją. Do rozruchów, a nawet strzelanin doszło w wielu miastach. Bilans: kilkudziesięciu rannych demonstrantów i policjantów oraz pięciu zabitych funkcjonariuszy, którzy mieli zginąć w zasadzce kartelu. Niby mundial nie ma z tym nic wspólnego, ale jednak wzbudza emocje, wyprowadza ludzi na ulice, jest okazją, by krzyczeć na cały świat.

To już czysta polityka i tak samo jest w przypadku Iranu. W Stanach Zjednoczonych istnieje diaspora Persów, którzy uciekli przed reżimem ajatollahów. FIFA zabrania wnoszenia na stadiony symboli politycznych, więc co rusz dochodzi do starć służb z Irańczykami noszącymi dawną flagę swego kraju z lwem i słońcem, a nie z emblematami islamskiego reżimu. Diaspora kibicuje pod jedną flagą, a reprezentacja gra pod inną. Na ulicach i na stadionach dochodzi do starć przeciwników i zwolenników reżimu. Sama reprezentacja jest zakładnikiem polityki, bo Iran

Fot. Mark J. Terrill/AP Photo/East News

eprasa.pl 0476ddfa96



pozostaje w stanie wojny z USA i dokładnie w czasie mundialu w Szwajcarii toczą się negocjacje pomiędzy obydwoma krajami. Zakwaterowana w meksykańskiej Tijuanie kadra rozgrywa mecze w Los Angeles, traci więc godziny na podróże. Tuż po grze zawodnicy muszą wyjeżdżać ze Stanów Zjednoczonych, więc ich trener Amir Ghalenoei twierdzi, że nie mają czasu nawet na pomeczowy odpoczynek. Amerykańskie służby działają na potrójnych obrotach, bo nie chodzi tylko o standardowe zabezpieczanie wielkich, masowych imprez, lecz także o bezpośrednie zagrożenie ze strony wrogiego państwa. FBI poinformowało m.in. o próbie przerzucenia do Stanów Zjednoczonych terrorysty powiązanego z irańskim Korpusem Strażników Rewolucji. Mężczyzna miał się podszywać pod działacza sportowego.

Dodatkową robotę mają służby imigracyjne (ICE), bo muszą się teraz bardziej opędzać od oszalałych lewaków, którzy chcą otwarcia granic i w czasie mundialu doznali szczególnego wzmożenia. Same mistrzostwa są według nich rasistowskie i dyskryminujące, bo np. nielegalni imigranci boją się chodzić na mecze oraz towarzyszące im imprezy z obawy, że pojawią się tam agenci ICE i wyłapią gagatków. Jest w tym jakaś logika – w czasie meczu Haiti można się spodziewać na imprezach tłumów nielegalnych przybyszy z tego kraju.

Podobnie jak w Meksyku polityczne wzmożenie to efekt mundialowej gorączki, a także tego, że właśnie odbywają się prawybory, w których partie wyłaniają swych kandydatów na połówkowe elekcje, które odbędą się w listopadzie. W wielkiej puli nagród kongresowych jest 435 miejsc w Izbie Reprezentantów i 35 ze 100 foteli w Senacie. Do tego 36 posad gubernatora stanu i 3 w terytoriach zależnych, tysiące krzeseł w legislaturach stanowych, w prokuraturach, sądach, biurach szeryfów i innych.

Zabawne jest to, że na mundialu polityka będzie też zależeć od wyników meczów. Te bowiem mogą sprawić, że USA zagrają z Kanadą w 1/16 finału – wszystko zależy od tego, jak ułoży się drabinka pucharowa. Po tym, jak Donald Trump ogłosił, że Kraj Klonowego Liścia powinien zostać kolejnym stanem Ameryki i pogrzebał szanse konserwatystów w kanadyjskich wyborach, rywalizacja sportowa między tymi państwami ma wymiar polityczny. Tak było choćby w czasie finału hokeja kobiet i mężczyzn na ostatnich Zimowych Igrzyskach Olimpijskich w Mediolanie.

Polityka bez wątpienia kryła się też za tym, że Donald Trump załatwił z FIFA organizację mundialu również w USA. Zrobił to w czasie swej kadencji w latach 2017–2021. Kiedy wygrał z Kamalą Harris w wyborach w 2024 r., oświadczył, że w życiu trzeba mieć szczęście, bo gdyby pokonał wcześniej Bidena, nie byłby prezydentem w czasie mundialu i nie wręczałby pucharu za zdobycie mistrzostwa świata – ponad 5 kg czystego złota. Finał zostanie rozegrany w New Jersey, więc jako prezydent ma tytuł do uczestnictwa w ceremonii. Otwarte pozostaje pytanie, czy dopuści do niej prezydent Meksyku Claudię Sheinbaum i premiera Kanady Marka Carneya.

Zabawne jest to, że na mundialu polityka będzie też zależeć od wyników meczów. Te bowiem mogą sprawić, że USA zagrają z Kanadą w 1/16 finału. Po tym, jak Donald Trump ogłosił, że Kraj Klonowego Liścia powinien zostać kolejnym stanem Ameryki, rywalizacja sportowa między tymi państwami ma wymiar polityczny

WIELKIE PIENIĄDZE. KTO STRACIŁ, KTO ZYSKA?

Wielkim imprezom towarzyszą oczywiście pieniądze, a te w przypadku tegorocznego mundialu składają się na bajońskie sumy. Wpływy dla samej FIFA są szacowane nawet na 11 mld dol., z czego największa pozycja to 4,3 mld za prawa do transmisji. Do tego umowy sponsorskie, zyski z biletów, pakietów kibicowskich i inne. Szacunki Światowej Organizacji Handlu mówią o co najmniej 80 mld dol. dla globalnej gospodarki – chodzi głównie o turystykę, a więc transport, hotele, knajpy. To nie oznacza, że miasta goszczące mundial zarobią – koszty zadbania o bezpieczeństwo czy utrzymania infrastruktury mogą przekroczyć wpływy z podatków.

Już dziś można wskazać tych, którzy stracą na mundialu ogromne pieniądze. To włoskie telewizje RAI oraz Sky, bo Azzuri nie zakwalifikowali się na mistrzostwa. Kwota za prawa do transmisji nie jest na razie znana, ale możemy sobie wyobrazić jej wysokość, skoro za Euro 2024 zapłaciły 115 mln euro. Mniej straci TVP w likwidacji. Ile zapłaciła z naszych pieniędzy, my, płatnicy, nie możemy się dowiedzieć, ale szacuje się, że brak polskiej reprezentacji oznacza 3–4 razy mniej widzów przed ekranami i odpowiednio mniejsze wpływy reklamowe przy tym samym koszcie praw do transmisji. Podczas Euro 2024 mecze Biało-Czerwonych oglądało od 7 do nawet 10 mln widzów. Spotkania bez udziału Polaków przyciągały od 0,5 do 3 mln. Z mundialem może być gorzej, bo godzina wielu transmisji jest nieludzka.

Wielkim przegranym finansowym jest też gracz o pseudonimie FlickRaw, który obstawiał u bukmacherów wygrane pewniaków – Belgii i Holandii i utopił w zakładach 4,3 mln dol. FlickRaw może się jeszcze odkuje, ale TVP już na pewno nie, więc dostanie od rządu Tuska nasze kolejne miliony.

Wiemy, kto na pewno wygrał – browary, producenci wszelkich męskich trunków oraz puby i knajpy w Bostonie, gdzie goszczeni są Szkoci. Okazało się, że przebili oni nawet takich czempionów pijaństwa jak Irlandczycy. W niektórych barach zjawiło się nawet trzy razy więcej gości niż w Dzień Świętego Patryka. Szkoci wypili wszystko i być może wypiją wszystko w kolejnych miastach. O ich zwycięstwa i korzystny układ drabinki modlą się restauratorzy w meksykańskim Monterey, w Houston, Miami, Atlancie, Nowym Jorku i New Jersey.

Autopromocja





prasa.pl 0476ddfa96

STUDIO
MAGDALENY OGÓREK

| wieczorne rozmowy
| wyjątkowi goście
| ważne dla Polski sprawy



GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43	EPG 825, EPG PON 257	YouTube
telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio	multiMedia	TelewizjawPolsce24

eprasa.pl 0476ddfa96

100 lat temu Polska podziękowała Ameryce





STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

W 1926 r. Polska wykonała niezwykły gest wobec Stanów Zjednoczonych. Deklaracja o Podziwie i Przyjaźni była wyrazem wdzięczności oraz chęci umacniania relacji między obydwoma krajami. Nie był to jedynie dokument dyplomatyczny, lecz masowy, podpisany przez miliony obywateli głos społeczeństwa. Może dziś, w trudnych czasach, warto pomyśleć o podobnej inicjatywie

Rok 1926 był dla II Rzeczypospolitej czasem napięć i przemian. Państwo, które odzyskało niepodległość po I wojnie światowej, wciąż budowało swoje instytucje i szukało politycznej stabilizacji. Społeczeństwo po 123 latach zaborów dopiero uczyło się funkcjonować jako wspólnota. Kryzys polityczny i niestabilność parlamentarna doprowadziły do przewrotu majowego, po którym władzę przejął Józef Piłsudski. Jednocześnie Polska znajdowała się między dwoma potencjalnie wrogimi państwami – Republiką Weimarską i Związkiem Sowieckim. Do utrzymania pokoju konieczne było posiadanie silnych sojuszy oraz międzynarodowego wsparcia. Mimo istniejących napięć Polacy potrafili się zjednoczyć i wykonać wyjątkowy gest wdzięczności wobec narodu amerykańskiego.

AMERYKAŃSKIE WSPARCIE

Stany Zjednoczone odegrały kluczową rolę w powrocie Rzeczypospolitej na mapę świata. Prezydent Woodrow Wilson już w 1917 r. podczas orędzia w amerykańskim Senacie opowiedział się za istnieniem niepodległej Polski, a rok później potwierdził to w słynnych 14 punktach, gdzie uwzględnił postulat utworzenia państwa polskiego z dostępem do morza jako warunek powojennego ładu. Umiędzynarodowienie tej sprawy miało ogromne znaczenie dla odzyskania niepodległości.

Po wojnie wsparcie przybrało także wymiar materialny. Organizacje takie jak American Relief Administration, którą kierował późniejszy prezydent Herbert Hoover, dostarczały do Polski żywność, bydło, ziarna pod zasiewy, maszyny rolnicze, leki, szczepionki, ubrania i inne niezbędne środki. Pomoc trafiała do milionów ludzi dotkniętych zniszczeniami wojennymi, biedą, głodem i chorobami, często ratując życie. To doświadczenie realnej, odczuwalnej pomocy zostawiło trwały ślad w świadomości społecznej. Wśród mieszkańców II RP powszechne było poczucie wdzięczności oraz przekonanie o szczególnych relacjach łączących Polskę i USA.

HUCZNE OBCHODY

Idea przekazania narodowi amerykańskiemu wspólnego podziękowania od obywateli Polski zrodziła się w związku ze zbliżającymi się obchodami 150. rocznicy Deklaracji Niepodległości Stanów Zjednoczonych, przypadającej 4 lipca 1926 r. Rocznica ta stała się impulsem do przygotowania wyjątkowego gestu o ogólnonarodowym charakterze. Amerykańsko-Polska Izba Handlowo-Przemysłowa oraz Towarzystwo Polsko-Amerykańskie powołały Komitet Obchodu 150-lecia Niepodległości Stanów Zjednoczonych. W jego prace szybko zaangażowały się także władze państwowe i samorządowe. Utworzono liczne struktury regionalne Komitetu, dzięki czemu działania objęły nie tylko Warszawę i miasta wojewódzkie, lecz także mniejsze miejscowości.

Obchody miały szeroki i różnorodny charakter. 3 lipca Polskie Radio wyemi-

Fot. loc.gov

eprasa.pl 0476ddfa96

towało kilkugodzinny program specjalny dotyczący zarówno rocznicy, jak i planowanych obchodów. Według ówczesnej prasy była to jedna z najbardziej rozbudowanych audycji w historii. Wzięli w niej udział m.in. Antoni Słonimski, Stefan Jaracz i Aleksander Zelwerowicz. Na amerykański Dzień Niepodległości, 4 lipca, zaplanowano liczne wydarzenia: defilady, odczyty, koncerty, uroczystości szkolne i akademickie, nabożeństwa, zawody sportowe oraz przedstawienia teatralne.

Najbardziej spektakularnym elementem obchodów było jednak zebranie podpisów pod pamiątkowym dokumentem, tzw. adresem. Miał on stanowić symboliczny wyraz wdzięczności i przyjaźni wobec Stanów Zjednoczonych. To właśnie ten dokument przeszedł do historii jako Polska Deklaracja o Podziwie i Przyjaźni dla Stanów Zjednoczonych.

OGÓLNOPOLSKA AKCJA

Inicjatywa miała charakter oddolny, lecz szybko zyskała wsparcie władz państwowych oraz organizacji społecznych. Do przygotowania ksiąg Deklaracji zaangażowano uznanych polskich artystów: grafików, malarzy i introligatorów. Ozdobne karty dla poszczególnych województw i instytucji wykonali m.in. Zofia Stryjeńska, Leon Wyczółkowski, Władysław Skoczylas, Ferdynand Ruszczyc i Ludomir Sleńdziński. Za projekt arkuszy, okładek oraz oprawę całości odpowiadali profesorowie warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych – Wojciech Jastrzębowski i Bonawentura Lenart.

Podpisy zbierano wśród najwyższych rangą przedstawicieli władz centralnych i samorządowych, hierarchów Kościoła katolickiego oraz innych wyznań, parlamentarzystów, urzędników, przedstawicieli wojska, świata biznesu, organizacji i stowarzyszeń, a także studentów i kadry akademickiej. W akcję włączyli się również zwykli obywatele. Najliczniejszą grupę stanowili jednak uczniowie i nauczyciele szkół powszechnych oraz gimnazjów z całej II RP. Zbieranie podpisów trwało ok. trzech miesięcy, do początku lipca, kiedy szkoły i inne instytucje odesłały podpisane arkusze.

CO PIĄTY OBYWATEL

W Dniu Niepodległości, 4 lipca, Komitet dysponował już kompletem podpisów. Pod życzeniami skierowanymi do Amerykanów podpisało się ok. 5,5 mln polskich obywateli, czyli blisko 20 proc. mieszkańców ówczesnej Rzeczypospolitej. Dokument zawierał nie tylko podpisy, lecz także liczne ilustracje, dedykacje oraz bogate elementy artystyczne.

W pierwszym tomie znalazły się podpisy najwyższych przedstawicieli władz, m.in. prezydenta Ignacego Mościckiego, premiera Kazimierza Bartla i marsz. Józefa Piłsudskiego, rysunki artystów oraz starannie opracowany zbiór portretów i herbów rodowych. Tom otwierała dedykacja podkreślająca wieloletnią współpracę Polski i Stanów Zjednoczonych w dążeniu do wolności. W treści deklaracji czytamy: „Naród polski przesyła obywatelom wielkiej Unii Amerykańskiej braterskie pozdrowienia wraz z zapewnieniem najgłębszego podziwu dla stworzonych przez Was instytucji, w których Wolność, Równość i Sprawiedliwość znalazły swój najwyższy wyraz, stając się gwiazdą przewodnią dla wszystkich nowoczesnych demokracji. Święto Wasze, szlachetni Amerykanie, nie jest tylko Waszem świętem. Znajduje ono gorący odzew w całym świecie, a szczególnie w naszej ojczyźnie, Polsce, która dumna jest z tego, że w wielkiej godzinie Waszych dziejów u boku Jerzego Washingtona stali pod chorągwią wolności także bohaterowie naszych walk o wolność Tadeusz Kościuszko i Kazimierz Pułaski. […] Niech żyją Stany Zjednoczone Ameryki! Niech żyje wolność, równość, sprawiedliwość!”.





Całość była nie tylko politycznym przesłaniem, lecz także dziełem sztuki i świadectwem epoki. Ukazywała skalę społecznego zaangażowania oraz wagę, jaką przywiązywano do relacji ze Stanami Zjednoczonymi. „To właściwie gigantyczna kartka urodzinowa” – zauważył Sahr Conway-Lanz, historyk manuskryptów z Biblioteki Kongresu, podkreślając, że dokument stanowi cenne świadectwo ówczesnej struktury polskiego społeczeństwa.

Ponad 30 tys. stron z podpisami ujęto w 111 ksiąg. Widnieją w nich nazwiska mieszkańców wszystkich województw II Rzeczypospolitej, zarówno największych miast, jak i miejscowości tak niewielkich, że nie zostały odnotowane nawet w 15-tomowym Słowniku Geograficznym Królestwa Polskiego. W ten sposób tomy tworzą swoistą panoramę państwa polskiego z 1926 r. W inicjatywie wzięli udział ludzie reprezentujący różne narodowości, religie i kultury, funkcjonujący w różnych strukturach: władz i instytucji szczebla centralnego i lokalnego, organizacji społecznych, zawodowych i religijnych, środowisk nauki, kultury i sztuki, a także uczelni wyższych, gimnazjów i szkół powszechnych.

Najliczniejszą grupę sygnatariuszy stanowili właśnie uczniowie przedwojennych placówek edukacyjnych. Tomy 14–110 zawierają podpisy z blisko 20 tys. szkół podstawowych. Każda z placówka starała się wyróżnić na tle innych, wyrażając to w oryginalności życzeń i oprawie graficznej. Większość woluminów uporządkowano alfabetycznie, według miejsca złożenia podpisu.

Deklaracja jest więc jednym z największych imiennych spisów polskiego społeczeństwa tamtych czasów. Losy sygnatariuszy, wpisane w burzliwą historię XX w., potoczyły się różnie. Najmłodsi uczniowie, składający nieporadne podpisy pod Deklaracją, należeli do pierw-

Fot. loc.gov

eprasa.pl 0476ddfa96

szego pokolenia urodzonego w odrodzonej Polsce. Ich biografie stanowią dzisiaj zapis ponad stu lat polskich dziejów po odzyskaniu niepodległości. Wielu z nich nie przeżyło II wojny światowej i Zagłady. W rezultacie ich podpisy pozostały często jedynym śladem istnienia. Inni ocaleli i odegrali istotną rolę w życiu naukowym, kulturalnym, artystycznym i społeczno-politycznym kraju. Wśród podpisanych – zarówno uczniów, jak i nauczycieli – byli m.in. Czesław Miłosz, Jan Karski, Tadeusz Kantor, Irena Sendlerowa, Bruno Schulz, Danuta Szaflarska, Irena Kwiatkowska i Jan Nowak-Jeziorański.

LATA ZAWIERUCHY

Księgi Deklaracji zostały przekazane na ręce urzędującego wówczas w Białym Domu prezydenta Calvina Coolidge'a przez delegację z Polski, na czele której stanął prezes Amerykańsko-Polskiej Izby Handlowo-Przemysłowej Leopold Kotnowski, który zarazem przewodniczył Komitetowi Obchodów 150-lecia Niepodległości Stanów Zjednoczonych, prof. Jerzy Iwanowski, były minister handlu i przemysłu, i Jan Ciechanowski, minister pełnomocny i poseł nadzwyczajny RP w Waszyngtonie. Uroczystość odbyła się 14 października 1926 r. i była opisywana przez amerykańską prasę z „The New York Times" na czele.

Gest ten został bardzo dobrze przyjęty w Stanach Zjednoczonych i przyczynił się do umocnienia pozytywnego wizerunku Polski jako kraju wdzięcznego i przyjaznego. Prezydent Coolidge przekazał księgi Deklaracji do Biblioteki Kongresu. Tam też przez krótki czas były one publicznie wystawione, następnie trafiły do zbiorów Biblioteki, gdzie są przechowywane do dzisiaj.

Z powodu hekatomby II wojny światowej i przejęcia władzy w Polsce przez komunistów Deklaracja odeszła w niepamięć. Przez dziesięciolecia była bezpiecznie przechowywana w amerykańskich archiwach jako zapomniany dokument z przeszłości. Zainteresowanie tym zbiorem pojawiło się dopiero w połowie lat 90., kiedy jego wartość dostrzegli pracownicy Biblioteki Kongresu o polskich korzeniach. Wówczas rozpoczęto digitalizację kolekcji, obejmującą pierwszych 13 tomów, skupiając uwagę na podpisach najważniejszych osób w państwie. Z przyczyn







finansowych nie kontynuowano jednak prac nad pozostałymi księgami.

Do pomysłu powrócono 20 lat później. Inicjatywy digitalizacji podjęła się Biblioteka Polska w Waszyngtonie. Dzięki zaangażowaniu jej prezes Grażyny Żebrowskiej, a także Samuela Ponczaka i Krzysztofa Willmanna, przy wsparciu Ambasady RP w Waszyngtonie w 2015 r. rozpoczęto realizację projektu „Klasa 1926", którego celem była digitalizacja pozostałych 98 tomów Deklaracji. Prace zakończono z powodzeniem na początku 2017 r. Ich efektem jest cyfrowa wersja wszystkich ponad 30 tys. stron dokumentu, dostępnych na stronie internetowej Biblioteki Kongresu. Zdigitalizowana Deklaracja jest dzisiaj dostępna zarówno badaczom, jak i szerokiej publiczności.

WOBEC NOWYCH WYZWAŃ

Inicjatorzy i twórcy dziękczynnego adresu do narodu amerykańskiego nie mogli przewidzieć, jak wyjątkowego znaczenia nabiorą zebrane przez nich podpisy po niemal 90 latach. Nie wiedzieli, że utrwalony w 1926 r. świat wkrótce bezpowrotnie przeminie. Zaledwie 15 lat po przekazaniu Deklaracji w wyniku II wojny światowej Polska straciła blisko 6 mln obywateli, w tym 3 mln Żydów. Dla rodzin ofiar oraz badaczy zbiór ten stanowi dziś bezcenne źródło wiedzy. Podpisy złożone pod Deklaracją są często jednym z ostatnich śladów istnienia tych ludzi. 111 tomów Polskiej Deklaracji o Podziwie i Przyjaźni dla Stanów Zjednoczonych stanowi nie tylko świadectwo wspólnej historii obu narodów, lecz także cenny materiał badawczy dla historyków i genealogów. To zarazem niezwykły punkt wyjścia do odkrywania własnych historii rodzinnych i lokalnych.

Współczesny świat, podobnie jak ten sprzed 100 lat, mierzy się z licznymi wyzwaniami geopolitycznymi i społecznymi. Relacje transatlantyckie nadal mają ogromne znaczenie dla bezpieczeństwa i stabilności Europy. Można więc postawić pytanie: czy w czasach napięć, dezinformacji i globalnych kryzysów nie warto powrócić do idei podobnej deklaracji? Nie jako nostalgicznego gestu, lecz nowoczesnej inicjatywy społecznej, która pokazałaby siłę więzi między narodami w kontekście np. obecności wojsk amerykańskich w Polsce. Być może współczesna, cyfrowa deklaracja przyjaźni, angażująca nowe pokolenia, tym razem wychowane w III RP, mogłaby odegrać rolę równie ważną jak jej odpowiednik z 1926 r. i z czasem stać się równie ważnym świadectwem obecnej epoki.

Fot. loc.gov

eprasa.pl 0476ddfa96

Podwójne zaproszenie

Penélope Cruz i Pierre Niney – każde na skalę swojej postaci – pokazują meandry współczesnego wsparcia psychologicznego i uzależnienia od jego różnych form. „Zaproszenie" to koncert na czworo aktorów, w tym gwiazdę. „Guru" – gra na jedną postać



Fot. Monolith Films

eprasa.pl 0476ddfa96



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Hiszpanka Penélope Cruz przywołuje ikoniczny styl włoskich gwiazd kina lat 50. Sophia Loren, Gina Lolobrigida... i teraz ona, kontynuatorka postaci zmysłowych, ognistych i zarazem ikonicznych, świadomych swojej władzy, nie tylko nad mężczyznami.

W WERSJI BLOND

W kameralnym „Zaproszeniu" czworo świetnych aktorów pokazuje różne style grania, budowania postaci i relacji. Bohaterka Cruz wydaje się najbardziej opanowana, nie narusza mimiką twarzy wyrazistego makijażu, ale jej całe ciało i mikrogesty pokazują, ile temperamentu, a także skrywanych frustracji, kipi wewnątrz. Południowej natury nie zmieni blond fryzura i wytrenowana na niejednym filmowym pacjencie, uważna, chłodna kalkulacja tej terapeutki od psyche i ciała.

Wytrawna obserwatorka potrafi rozłożyć na uczuciowe czynniki pierwsze kolejnych poznawanych ludzi, a potem umiejętnie żonglować całą paletą psychologicznych i negocjacyjnych środków, rozgrywać napięcia i zaszłości, sterować przyszłymi zachowaniami. Zarówno w związkach innych ludzi, jak i we własnym.

CZAS NA DRAMĘ

Gdy przeżywające kryzys małżeństwo (Angela i Joe), zapraszają na kolację sąsiadów (Pinę i Hawka), nic nie zapowiada nadciągającej psychoerupcji. Na przemian komediowej i dramatycznej, chwilami pikantnej, a także – obok oczyszczającej konfrontacji i rozładowania napięć – niosącej kluczową refleksję o blaskach i cieniach bycia we dwoje.

Tu obok znakomitego aktorstwa warto docenić dialogi, tłumaczone z nerwem i wyczuciem słowa. Gdy trzeba – zabawne, innym razem nostalgiczne, czasem doprawione nutą goryczy albo rodzącym się erotycznym napięciem. Wszystko w świetnych proporcjach. Tak jak cały filmowy spektakl, który rozgrywa się w jednej przestrzeni – dopieszczonego mieszkania, do którego Angela wprowadza nie do końca pasujących jej mężowi (sfrustrowanemu nauczycielowi muzyki) sąsiadów.

WINDĄ DO SIEBIE

Film jest „Zaproszeniem" wielopoziomowym – dla bohaterów, widzów, odtwórców ról (w tym bardzo różnych warsztatowo Penélope Cruz, Edwarda Nortona i Setha Rogena), a także inspiratorki i realizatorki całego projektu.

Olivia Wilde (również grająca jedną z postaci) dała sobie szansę pracy reżyserskiej z wymarzonym tekstem i obsadą. Swój film nazywa społeczną komedią grozy o kolacji, która z każdą kolejną minutą wymyka się (w coraz bardziej absurdalny sposób) spod kontroli. Podkreśla, że produkcja jest odpowiedzią na pragnienie, by nakręcić film na taśmie 35 mm, realizować go w porządku chronologicznym, z czasem na próby, które naprawdę pozwalają na odkrywanie bohaterów i budowanie relacji między nimi.

Ten klasyczny (scenicznie i filmowo) proces tworzenia historii widać na ekranie. Z najlepszym z możliwych efektem i ponadczasowym przesłaniem, które Wilde przedstawia tak: „W centrum tej historii znajduje się pytanie, z którym mierzy się wielu z nas: jak wziąć odpowiedzialność za własne szczęście, kiedy nasze życie jest nierozerwalnie splecione z życiem drugiej osoby? I jak radzić sobie z sytuacją, gdy trzeba spędzać czas z innymi ludźmi dokładnie wtedy, gdy nie ma się na to najmniejszej ochoty – zwłaszcza jeśli są to osoby, których zazwyczaj próbowalibyśmy unikać nawet za cenę wejścia po szesnastu piętrach schodów zamiast wspólnej jazdy windą?".



Pierre Niney w filmie „Guru"



eprasa.pl 0476ddfa96

METODY UWODZENIA

Filmowa Pina (Cruz), stając się mentorką kolejnych ludzi pogubionych w życiu i związkach, działa na niewielką skalę, ale doskonale zna mechanizmy prowadzenia swoich pacjentów.

Tytułowy „Guru" ma niebotycznie większy zasięg, skutki jego wpływania na słuchaczy są przeogromne, a jednocześnie metody budowania relacji, uwodzenia (w jego przypadku medialnego), manipulacji oraz uzależnienia (w różnych zakresach toksycznego) – te same. Ta sama pozostaje odpowiedzialność.

„Siła, jaką słowa mają nad nami (zwłaszcza nad tłumami), to jeden z głównych wątków w historii ludzkości" – zauważa Pierre Niney, aktor, który zainicjował nakręcenie filmu pozwalającego mu na zagranie roli współczesnego demiurga. Punktem wyjścia dla twórców „Guru" miała być refleksja nad sposobem, w jaki media społecznościowe wyolbrzymiły ideę rozwoju osobistego i coachingu.

TO, CZEGO CHCESZ

37-letni Francuz (laureat Cezara za rolę Yves'a Saint Laurenta, 2014; odtwórca ikonicznej postaci hrabiego Monte Christo, 2024; aktor mający na koncie m.in. głośną kreację w filmie „Frantz" François Ozona, 2016) jako „Guru" mógł zabłysnąć. Na wszystkich współczesnych przestrzeniach medialnych – tych filmowych i promocyjnych. Niney wykorzystał tę szansę w 120 proc. Wykreował swojego bohatera, jego wielowymiarową historię i siebie. Najpierw jednak znalazł osobę, która pomogła mu ten cel osiągnąć. Po trosze w myśl zasady, którą promuje bohater filmu: „To, czego chcesz, jest tym, kim jesteś".

Z pomysłem napisania scenariusza i wyreżyserowania projektu aktor zwrócił się do Yanna Gozlana. To miał być kolejny „angażujący i trzymający w napięciu film", jak „Czarna skrzynka" z 2021 r., w której Niney zagrał analityka odkrywającego niebezpieczną prawdę. Tym razem jednak chodziło o „narrację bardziej społeczną, niejednoznaczną, a momentami mroczniejszą".

GDY PUSZCZAJĄ HAMULCE

Postać Matta Vasseura – charyzmatycznego, gwiazdorskiego coacha, który kreuje widowiskowe sesje afirmacyjne dla rosnącej rzeszy zwolenników – przyniosła aktorowi „prywatne katharsis". Realizacyjnie spodobał mu się niemal teatralny koncept spektaklu w spektaklu. To, że bohater tworzy własny występ sceniczny, coraz bardziej manipulując wielką widownią (i jej pojedynczymi uczestnikami).

Niney wspomina nagrania sceny z seminariów, gdy po czterech dniach zdjęć z udziałem 400 osób w jednym pomieszczeniu (bez okien) dosłownie czuł zmianę energii sali. Stłoczeni i coraz bardziej zmęczeni ludzie wyzbywali się hamulców: krzyczeli, płakali, angażowali się na całego. „Byliśmy o krok od osiągnięcia transu, o którym mowa w filmie" – ocenia.

Aktor zapewnia, że tworząc postać Vasseura, nie wzorował się na żadnej wcześniejszej produkcji, w której pojawiał się wątek coachingu, ani na kreacjach DiCaprio w „Wilku z Wall Street" czy Paula Dany w „Aż poleje się krew".

Kluczowe dla przygotowań do roli stały się relacje prawdziwych, choć dawnych klientów (którzy czasem płacili nawet 4 tys. euro za trzydniowe seminarium) i współczesnych coachów, a także dokumenty i podcasty pokazujące sedno oraz skalę zjawiska.

W ERZE POSTPRAWDY

„W dobie silnego, światowego powrotu neopopulizmu film pokazuje, jak era postprawdy (w której emocje i opinie wypierają fakty) stworzyła grunt pod karierę takich postaci jak Matt" – podkreśla Niney. „Ludzie szukają sensu. Nie ufają już politykom, odwracają się od religii, tracą poczucie wspólnotowej tożsamości. I właśnie wtedy pojawiają się trenerzy z gotowymi rozwiązaniami i instrukcjami, które w tym chaotycznym świecie zdają się wszystko upraszczać".

Otwarte pozostają pytania, czy na pewno to robią i za jaką cenę.

Fot. Monolith Films, UIP





Kadry z filmu „Zaproszenie"

eprasa.pl 0476ddfa96

Na żywo i offline



MACIEJ WALASZCZYK



Dostojewski twierdził, że gdyby Chrystus powtórnie zstąpił na ziemię, Wielki Inkwizytor natychmiast skazałby go na śmierć. Wokalistka The Pretenders zauważyła, że wcześniej wszyscy chcieliby zrobić mu zdjęcie telefonem. Muzycy Iron Maiden, Bob Dylan czy Madonna są zgodni: obsesja na ich punkcie wymknęła się spod kontroli

Fot. Shutterstock

Historia zatoczyła paradoksalne koło. W 1982 r. współzałożyciel Apple Computer, wynalazca i inżynier Steve Wozniak zainicjował US Festival, wielki plenerowy koncert połączony z targami technologicznymi odbywającymi się w San Bernadino w południowej Kalifornii. Na koncerty m.in. The Police, Fleetwood Mac czy Ramones przybyło ok. 400 tys. ludzi. Rok później pojawiło się ich 600 tys., a impreza została zapamiętana jako przełomowe wydarzenie łączące masową popkulturę i wczesną kulturę cyfrową.

Dziś za sprawą wynalazków tego samego Appla, a więc iPhone'ów, imprezy tego typu stały się piknikami uczestników zabawy z algorytmami TikToka czy Mety. „Odłóżcie te pieprz...e telefony i nawiążcie ze sobą kontakt" – wypaliła niedawno Madonna. Okazuje się, że „królowa popu", wylansowana wszak za pośrednictwem wideoklipów i MTV, ostatecznie sam padła ofiarą technologicznej gonitwy. Urządzenia odwróciły od artystki uwagę publiczności, zwracając ją na samych słuchaczy, a muzycznym wydarzeniom odebrały ich dotychczasową rangę. „To głębokie, plemienne doświadczenie zostało zrujnowane, bo zamiast ludzi widziałam morze telefonów" – przyznała, komentując jeden ze swoich ostatnich koncertów. Zamiast śpiewać i tańczyć, coraz więcej osób skupia się na nagrywaniu – tylko po to, by wrzucić to potem na swój profil i zdobyć kilka lajków.

ZERWANY KONTAKT Z WIDOWNIĄ

Jedną z podstaw edukacji muzycznej było zachowanie w salach koncertowych. Np. w razie spóźnienia koniecznością jest oczekiwanie na przerwę, by wejść na salę. W filharmoniach, operze, podczas recitali czy kameralnych występów liczy się przecież muzyka, a do jej słuchania potrzebna jest absolutna cisza i skupienie.

Nowa dyrektor Filharmonii Narodowej Zofia Zembrzuska przyznała, że to miejsce szczególnie w dzisiejszych czasach odpowiada na potrzebę bycia offline i chwili zatrzymania. „Badania, które przeprowadziliśmy, pokazują niemal jednogłośnie: Filharmonia to dla słuchaczy miejsce wewnętrznej ciszy, oddechu od zgiełku codzienności" – wyjaśniała.

Jednak co najmniej od 25 lat spektaklom teatralnym, a także seansom kinowym towarzyszy komunikat: „Uprzejmie prosimy Państwa o wyłączenie telefonów komórkowych". To znak naszych czasów. Najpierw telefony po prostu dzwoniły – na filmowych seansach, w czasie różnego rodzaju występów czy kościołach. Nawet gdy były już przezornie wyciszone, próbowano po cichu rozmawiać lub przynajmniej odpisywać na SMS. Nie zapomnę, jak w czasie odprawianej z namaszczeniem mszy w rycie klasycznym, do tego w momencie podniesienia, jednemu z polityków prawicy zadzwonił telefon, wygrywając głośno melodię „Lotu Walkirii" Wagnera. Wtedy wielu użytkowników komórek po prostu zapominało, że mogą zadzwonić w niewłaściwym momencie.

Epoka smartfonów, obowiązkowego dostępu do serwisów społecznościowych, a do tego możliwość robienia niezliczonej liczby zdjęć i filmów wzbudziła wręcz konieczność bycia w kontakcie i dokumentowania swojej obecności na wydarzeniu oraz pochwalenia się tym w czasie rzeczywistym lub po jego zakończeniu. Jakiś czas temu aktorzy warszawskiego Teatru 6. Piętro wzięli nawet udział w akcji uczulającej widzów, że „rozdzwonione, rozwibrowane i rozświetlone" telefony nie tylko przeszkadzają innym widzom, lecz także aktorom. Zachęcali więc do „odłączenia się" od świata zewnętrznego, by znów poczuć chemię sceny i widowni. „Bądź smart i daj smartfonowi odpocząć" – apelowali. Podkreślali, że każda z form używania smartfonu, a więc dźwięki, wibracje, światło ekranu, odbieranie połączeń, sprawdzanie wiadomości, godziny, robienie zdjęć aktorom podczas spektaklu nie tylko przeszkadza, lecz także negatywnie wpływa na nasz odbiór przedstawienia i naszą psychikę. A do tego nie ma wiele wspólnego z celem, dla którego wszyscy znaleźli się w tatrze. Kontakt między występującymi a widownią został zerwany, gdyż widownia nie zerwała łączności ze światem zewnętrznym.

STATYCZNE I MARTWE WIDOWISKA

Od wielu lat toczy się dyskusja na temat używania telefonów komórkowych na koncertach gwiazd pop, hip-hopu, a szczególnie rocka. Z jednej strony publiczność się zmieniła, bilety kupują zaś głównie ci, którzy dorastali w świecie wszechobecnego internetu i przesuwania palcem po ekranach. Telefony stały się dla nich przedłużeniem sposobu, w jaki dzielimy się naszym życiem, z ciągłym pragnieniem dokumentowania wszystkiego wokół.

Jednak duże show już dawno przestały być żywiołowym i pełnym energii, szalonym przeżyciem. Szczególnie dotyczy to rockowych widowisk, które przekształciły się we własną parodię. Są przewidywalne, statyczne i martwe. Ludzie nie klaszczą, bo mają w rękach telefony i skupiają się tylko na nich, czasem wydają się wręcz nieobecni, a ich reakcje są dziwne.

Jest tak również dlatego, że już pojawiając się na występach, są syci wrażeń. To, czego mają akurat posłuchać i zobaczyć, często widzieli już w sieci za sprawą nagrania z czyjegoś smartfonu. W ogóle muzyka jest bardzo łatwo dostępna. Można po nią sięgnąć po prostu wszędzie za pośrednictwem słuchawek lub podglądać w filmikach (często w coraz wyższej jakości), wręcz przerzucać się utworami i wykonawcami. Zarówno atmosfera, jak i przebieg koncertów nie mogą zatem dziwić, bo od lat miliony ludzi rejestrują ich fragmenty własnymi telefonami. Kupując często drogie bilety, zamiast słuchać i przeżyć coś wyjątkowego, rejestrują, dokumentują, transmitują. Dla nich wszystko kręci się wokół followersów i lajków, więc także koncert jest tylko funkcją internetowego lansu.

KOMPULSYWNE ZACHOWANIA

Rośnie więc grono muzyków, którzy nie chcą, by przychodzący na ich koncerty ludzie korzystali z telefonów komórkowych. I nie chodzi tu nawet o prawa autorskie oraz zastrzeżenie wizerunku, choć i to zaczyna mieć pewne znaczenie. Chcieliby po prostu odzyskać

kontakt z publicznością i znów widzieć, jak ludzie słuchają i reagują.

Choćby kilka dni temu popularna artystka Phoebe Bridgers poinformowała fanów, że na jej nadchodzących koncertach nie będą mogli nagrywać występów ani robić zdjęć. Podczas ostatniej trasy koncertowej goszczący w Krakowie Nick Cave rzucił do osób z pierwszych rzędów słowa, by odłożyli telefony. „Słuchaj, w porządku, możesz trochę filmować, ale czy zamierzasz to robić całą noc?" – ironizował.

Również kilka dni temu wokalistka The Pretenders Chrissie Hynde zamieściła w mediach społecznościowych list ostro krytykujący ludzi korzystających z telefonów komórkowych na koncertach. „Gdyby Jezus Chrystus wszedł do pokoju, pierwszą rzeczą, jaką wszyscy by zrobili, byłoby wyciągnięcie telefonu. Czy ktoś mógłby mi to wyjaśnić?" – napisała gwiazda lat 80. Według niej wyciąganie smartfonów i nagrywanie przywodzi na myśl zachowania kompulsywne, które ludzie potrafią kontrolować w coraz mniejszym stopniu. „Przypomina mi to małpy masturbujące się na widok ludzi stojących wokół ich wybiegu" – napisała. Hynde przytoczyła też przykład sprzeczki, której była świadkiem podczas koncertu pieśniarki country Emmylou Harris w londyńskiej Royal Albert Hall. Wybuchła właśnie po zwróceniu uwagi mężczyźnie nagrywającemu filmik i przeszkadzającemu innym w słuchaniu koncertu.

Za kilka tygodni w ramach trasy „Run For Your Lives" na PGE Narodowym wystąpi Iron Maiden. Bruce Dickinson z ekipą również zdecydowali się na poproszenie fanów o schowanie telefonów komórkowych, by podczas koncertu bawili się muzyką, a nie ekranami. „To nie jest z naszej strony żaden wymóg, to po prostu uprzejma prośba. Jaki jest sens płacenia tylu pieniędzy, skoro potem i tak wpatrujecie się w malutki ekran?" – tłumaczył słynny wokalista, zwracając też uwagę na szkodliwy wpływ smartfonów na zdrowie psychiczne i relacje społeczne. Menedżer grupy Rod Smallwood również wyjaśniał, że korzystanie z telefonów sprawia, że nie tylko publiczność, lecz także szczególnie zespół czerpią mniejszą przyjemność z koncertu. „Obsesja na punkcie telefonów wymknęła się spod kontroli i stała się niepotrzebnie rozpraszająca. Mam nadzieję, że fani to zrozumieją" – oświadczył.

TELEFON ZAMKNIĘTY, ALE UMYSŁ OTWARTY

Osiem lat temu publiczność, która kupiła bilety na koncert Jacka White'a, musiała schować telefony do zamykanych i otwieranych magnetycznie specjalnych etui Yondr. Wszystko poszło sprawnie, poręczne schowki zamykały się po przekroczeniu specjalnych bramek i otwierały po opuszczeniu strefy koncertu.

> Duże show już dawno przestały być żywiołowym i pełnym energii, szalonym przeżyciem. Szczególnie dotyczy to rockowych widowisk, które przekształciły się we własną parodię. Ludzie nie klaszczą, bo trzymają w rękach telefony i skupiają się tylko na nich

W razie konieczności organizatorzy wydzielili specjalne miejsce, w którym można było skorzystać z telefonu, to znaczy otworzyć futerał, zadzwonić czy sprawdzić skrzynkę e-mailową i wiadomości, nie przeszkadzając innym. Nikt jednak nie skupiał się na filmowaniu, streamowaniu i robieniu zdjęć, ale wziął udział w znakomitym – jak relacjonowano – koncercie.

Gitarzysta i wokalista The White Stripes doszedł bowiem do wniosku, że jeśli podczas występu publiczność nie reaguje, a tylko sprawdza reakcje na właśnie zamieszczone zdjęcie z koncertu, to ich granie nie ma sensu. „Jeśli telefon jest dla kogoś tak ważny, że nie może bez niego przeżyć dwóch godzin, być może powinien wybrać się do terapeuty" – mówił muzyk.

W trakcie ostatnich tras koncertowych o schowanie telefonów poprosił także sędziwy Bob Dylan. Właściwie definitywnie zakazał ich wnoszenia i używania, a jego przekaz był jasny: odkryjcie na nowo chwilę obecną. Zanim Paul McCartney wydał swoją najnowszą płytę, wrócił w marcu na scenę, by zagrać dwa kameralne koncerty w Los Angeles. On także postanowił powstrzymać publiczność przed nagrywaniem i robieniem zdjęć. „Zwykle ludzie po prostu nie oglądają występu, tylko trzymają w rękach telefony i oglądają go po powrocie do domu. A teraz, stary, zagraliśmy tak jak za dawnych czasów" – relacjonował podekscytowany. Zakaz wprowadzili już m.in. Bryan Adams, Alicia Keys, Guns N' Roses, Childish Gambino, Ghost czy Tool. Jednak dla młodszych wykonawców, szukających poklasku i rozpoznawalności, nagrania koncertowe umieszczane przez fanów stają się jedynym świadectwem ich istnienia.

Teemu Mäntysaari z Megadeth uważa jednak, że z biegiem czasu chowanie telefonów na czas koncertu stanie się normą. I nie chodzi tylko o duże czy mniejsze występy. „Sami zrobiliśmy tak podczas przedpremierowego odsłuchu naszego albumu w Nashville. To była prywatna impreza dla kilkuset osób i nie chcieliśmy, aby nowe utwory wyciekły przed premierą" – mówił w wywiadzie dla chilijskiego radia Sonar FM.

Ostatnio w Teatrze Kwadrat wystawiana jest satyryczna komedia pt. „Każdy twój telefon" Jarosława Sokoła o uzależnieniu od smartfonów, „jednym z najgorszych nałogów naszej ery". Scena sięga przecież do czasów antycznej tragedii, poetyckiego agonu, masowego widowiska i religijnego święta. Już 30 lat temu Neil Postman w „Technopolu" stwierdził, że technika, podkopując relacje społeczne i procesy umysłowe, zniszczy najbardziej żywotne źródła człowieczeństwa. Chrissie Hynde ma więc rację – zanim Wielki Inkwizytor ponownie uwięzi i zabije Chrystusa, najpierw tysiące telefonów zrobią mu zdjęcia.

eprasa.pl 0476ddfa96



Maciej ***Walaszczyk***

Proroctwa Deborda

Guy Debord jest człowiekiem pokolenia rewolty studenckiej 1968 r. W przeddzień jej wybuchu ukazało się dzieło autentycznie rewolucyjne, zbójeckie, „książka dynamit" podłożona pod gmach współczesnego systemu, definiując go jako niekończący się, pochłaniający wszystko i podporządkowujący własnym regułom „spektakl".

Dla człowieka prawicy jest on ciekawy z kilku powodów. Stylizowane na manifest „Społeczeństwo spektaklu" należy do absolutnego kanonu myśli filozoficznej, socjologicznej i politycznej. Jego intelektualne ostrze precyzyjnie razi nie tyle starych wrogów lewicy, ile głównie jest wymierzone w nią samą. Demaskuje ją jako ideologię skorumpowaną, służącą globalnemu kapitalizmowi do odbierania wolności, obezwładniania tradycyjnego społeczeństwa i wprowadzania go w stan faktycznie postdemokratycznej „wiecznej teraźniejszości". Debord zauważył bowiem, że pierwszym priorytetem spektakularnej dominacji było sprawienie, by wiedza i świadomość historyczna zniknęły w ogóle. Dlatego był zainteresowany opisem struktur i mechanizmów rządzących współczesną polityką i państwem, mediami, instytucjami oraz rynkiem. Używa jednak do tego pojęć i fraz znanych z pism Hegla i Marksa, a także Machiavellego i Clausewitza. Stosuje technikę przechwycenia, opanowaną wręcz w sposób mistrzowski, literacki, a nawet poetycki. Ów „spektakl" to bowiem zamaskowany cytat ze słynnej pierwszej frazy „Kapitału", w którym zamiast niego znajdujemy opisany przez Marksa „towar". Debord w pełnym pasji wykładzie rozwija wiele obserwacji Alexisa de Tocqueville'a, przedstawia więc swą wnikliwą analizę natury postdemokratycznego „spektaklu", często określanego jako „społeczeństwo konsumpcyjne" czy „przemysł kulturalny". Skutkuje on wtórnym analfabetyzmem, standaryzacją gustów, banalizacją osobowości, czyniąc je podatnymi na manipulacje, łatwymi do zarządzania przez inżynierów społecznych, speców od PR, dostosowujących je do tego, co „wszyscy" powinni myśleć. Zwraca uwagę na atomizację społeczeństwa, a więc moment „rozpadu", który w późniejszych latach będzie przyczyną braku oporu wobec masowej imigracji.



Stało się tak, ponieważ żyjemy w świecie obrazów kreowanych i oddzielających nas od rzeczywistości, promujących konformizm, izolację i masowy konsumpcjonizm. Debord uwodzi, należy więc być czujnym lub po prostu krytycznym wobec tak sugestywnego opus krytyki kultury.

Guy Debord, „Społeczeństwo spektaklu" oraz „Rozważania o społeczeństwie spektaklu", PIW 2026

Nostalgiczny rejs w przeszłość

Tytuł tej płyty został zaczerpnięty od nazwy jednej z ulic w Liverpoolu, gdzie mały Paul lubił obserwować ptaki. Śpiewa więc na niej o dawno minionych latach i ludziach spotkanych na drodze swego życia – rodzicach, w tym dość wcześnie zmarłej matce, bracie i w końcu o kolegach z Beatlesów. W jednym z wywiadów udzielonych przy okazji jej wydania stwierdził po prostu, że wspomnienia okazują się bogatym miejscem do poszukiwania pomysłów.

To już jego 18. autorski album wydany od momentu rozpadu The Beatles. Nowe piosenki ukazują więc 83-letniego McCartneya w doskonałym, choć nieco refleksyjnym nastroju. Są kompozycjami, które pojawiły się po długiej jak na niego, sześcioletniej przerwie i dowodzą, że wciąż jest jednym z najpłodniejszych autorów sentymentalnych opowieści oraz pełnych wdzięku melodii. A do tego są one zawsze pełne wyrafinowanych aranżacji i przebojowości. Nie ma tu oczywiście niczego rewolucyjnego. Wszystko już słyszeliśmy, ale naprawdę przyjemnie jest posłuchać choćby nieco zadziornego „Home to Us", czyli udanego duetu z Ringo Starrem siedzącym za perkusją, lub „Down South", opowiadającego historię, którą wraz z Harrisonem przeżyli podczas wakacyjnych autostopowych wypraw i którą napisano w formie czułego listu do dawno zmarłej przyjaciółki. „We Two" to znów pozornie prosta, niespieszna piosenka miłosna, z wynoszącą ją klasyczną mccartneyowską urodziwą, melodyczną frazą. Do tego wraz z producentem Andym Wattem zarejestrował ją na starym sprzęcie nagraniowym, uratowanym z dawnego wyposażenia londyńskiego studia Abbey Road, dzięki czemu całość została nagrana klasycznie na czterech ścieżkach. Z kolei „Mountain Top" to nieoczekiwany i pełen psychodelicznych efektów powrót do najbardziej kolorowej epoki Beatlesów. Mamy tu więc wszystkiego po trochu, dawkowanego czasem kruchym, czasem pewniejszym głosem, zdawałoby się wiecznego filaru „wiecznej" muzyki pop. To on był świadkiem jej narodzin, przejścia od epoki klasycznego rock'n'rolla do wyodrębnienia się różnych postaci rocka, jego kolejnych przeobrażeń i z czasem kompletnej banalizacji. Sam nigdy jednak nie firmował tandety. Przeciwnie, konsekwentnie wznosił się na wyżyny gatunku, a nawet poza jego granice. McCartney jest po prostu największym w historii autorem najpiękniejszych i bezpretensjonalnych piosenek.

Maciej ***Walaszczyk***

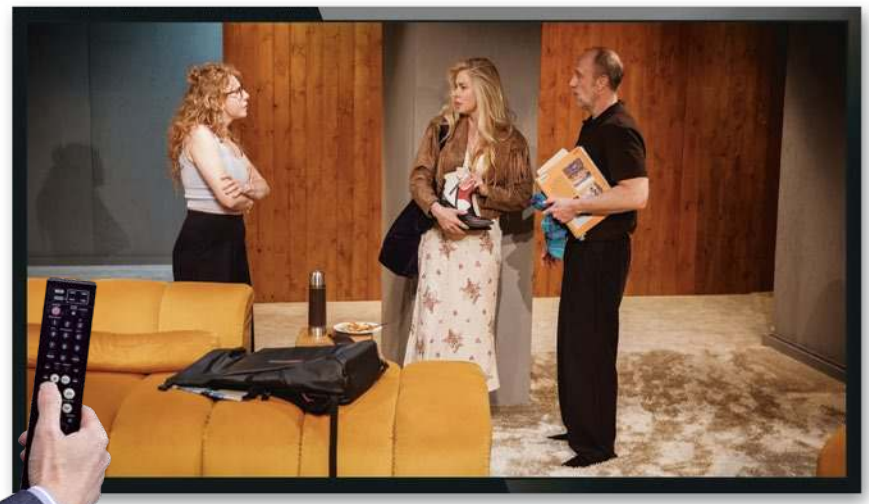


Paul McCartney, „The Boys of Dungeon Lane", Universal Music Polska 2026

eprasa.pl 0476ddfa96



HITY i KITY ZAREMBY



„Eks” w Ateneum – okrucieństwo psychodramy

„Eks” niemieckiego dramaturga Mariusa von Mayenburga to klejnot kameralnego dramatu psychologicznego. Artur Tyszkiewicz, dyrektor Teatru Ateneum, wykorzystał możliwości tkwiące w tej psychodramie. Byli do tego potrzebni najlepsi aktorzy

Ideowo Marius von Mayenburg to ani mi brat, ani swat. Znany w Polsce z takich sztuk jak „Pasożyty” czy „Męczennicy” prowadzi swoje progresywne „krucjaty”. Tyle że akurat „Eks”, dramat z 2023 r., nie zawiera ani grama ideologicznych czy światopoglądowych kontrowersji.

To gęsta opowieść o szczególnym trójkącie. W mieszkaniu małżeństwa w średnim wieku, pogrążonego w kłótniach i wzajemnych żalach, pojawia się była dziewczyna mężczyzny, Daniela (tytułowa „eks”). Staje się katalizatorem już nie podjazdowych utarczek, lecz upiornego zakleszczenia – z kolejnymi zwrotami akcji.

O czym to jest? O mężczyźnie miotającym się między toksyczną żoną a egzaltowaną dawną towarzyszką życia, która staje się dla niego symbolem utraconej wolności?

A może o dwóch kobietach, których ten facet nie umie – choć na różne sposoby – zaspokoić? A może o tym, że jesteśmy skazani na niemożność dogonienia szczęścia, a obyczajowe swobody oferują nam jedynie iluzje komfortu? Bo zawsze z kimś będziemy, a do kogoś innego zatęsknimy. Bo każdemu nie dostaje w czymś innym. Bo prozaiczność jest wliczona w logikę życia w każdej epoce.

Pisano o tym wiele razy. Ale jak to jest opowiedziane! Jakby ktoś wchodził do naszego życia. Przypominam sobie niewiele aż tak bolesnych teatralnych psychodram. Pierwsze skojarzenie to „Kto się boi Virginii Woolf?” Edwarda Albeego z 1962 r., choć inne środowisko, inne dylematy, relacje między postaciami, trójkąta w zasadzie tam nie ma.

Chodzi mi o stężenie okrucieństwa we wzajemnych demaskacjach, w zmęczeniu sobą, w utracie szacunku do siebie. Tu autor zatrzymuje się krok przed definitywnym ekshibicjonizmem (Albee poszedł na całość). Ale kiedy wychodzimy z Ateneum, wciąż czujemy gorycz w ustach. Gorycz – jakby to nie zabrzmiało górnolotnie – pytań o sens własnego życia.

A zarazem... Często się zżymam na teatralną publikę, że śmieje się z byle czego, nawet gdy nie ma niczego do śmiechu. Ale tu śmiałem się z innymi. Bo te dialogi są nie tylko zręczne jak kolejne mecze ping-ponga. One bywają zabójczo zabawne. Narastający mrok nakłada się na przewrotną śmieszność – postaci i sytuacji. To spotkanie gatunków i nastrojów, choć wykorzystywał je już Szekspir, jest wizytówką naszej cywilizacji.

Łukasz Simlat – choćby przez swoje role filmowe – stał się niemal symbolem wiwisekcji męskich natur, często słabych albo „odjechanych”. Tu używa swoich technik, broniąc zarazem bohatera, jego człowieczeństwa. Olga Sarzyńska, tu w roli Sybille, czyli żony, nie oszczędza swoich bohaterek na scenie, potrafi zręcznie wyłuskiwać ich słabe lub śmieszne strony i równocześnie wzbudzać rodzaj czułości wobec najbardziej zdefektowanych postaci. Choćby była przerażająca albo budziła zażenowanie. To mistrzyni podobnych rozdwojeń jaźni.

Milena Suszyńska często bywała skazywana na role subretek, ozdobników. Tu jako ta trzecia, Franziska, jest partnerką tamtej dwójki, pełną rozdygotanych, choć chwilami także infantylnych emocji. Tyle że z woli autora na jej temat dowiadujemy się w sumie najmniej.

To triumf poważnego teatru psychologicznego. Zasługa tekstu, a także reżysera, który perfekcyjnie ustawił tu każdą minutę tego miotania się w czterech ścianach. I mistrzowskich aktorskich ról.

Przy okazji Tyszkiewicz pokazuje, że Ateneum prowadzi z nami poważną rozmowę o człowieku. Dlatego to jedna z moich ulubionych scen.

Piotr Zaremba

Fot. Krzysztof Bieliński/Teatr Ateneum

KOSMICI WIECZNIE OBECNI, SPIELBERG WIECZNIE ŻYWY

Nie sądziłem, że film Stevena Spielberga, autora „Szczęk" czy „Szeregowca Ryana", może mnie aż tak rozczarować. 79-letni Spielberg sięgnął w „Dniu objawienia" po mnóstwo zużytych klisz, ale nie znalazł w nich wiele nowego czy zaskakującego

Sięgnięcie po temat kosmitów i niepokazanie ich prawie wcale jest pewną sztuką. Sam już dawno temu, w 1977 r., grał tym tematem w „Bliskich spotkaniach trzeciego stopnia". Był to film nieznośnie patetyczny, skutecznie rozładowujący napięcie mirażem kosmicznego „objawienia". Ale wtedy było to przynajmniej coś nowego.

Temat obcych jest jednym z najmocniej wyeksploatowanych w amerykańskim kinie. W „Dniu niepodległości" czy w innym filmie Spielberga, „Wojna światów", są groźnymi najeźdźcami. Ale zwykle przeważała wiara w ich wyższość i rolę swoistego leku na zło naszego świata. W filmie „Zapowiedź" z 2009 r. konkluzją było zniszczenie przez obcych świata – słuszne, bo nie zasługiwaliśmy na nic lepszego.

Spielberg przynajmniej nie domaga się naszej zgody na własną anihilację. Oto amerykańskie władze, zamaskowane pod postacią fikcyjnej agencji, od lat 40. XX w. ukrywały prawdę o tym, że obcy do nas wpadają. Temu odkryciu nadano postać niemal religijnego doświadczenia. Ukrywający prawdę powinni odpokutować. Czy Spielberg w to wierzy? Chyba uważa taką wiarę za wciąż chwytliwy towar.

Wątek ukrywania prawdy prowadzi do kolejnego zbioru banałów. Pracownik agencji David Kellner (John O'Connor) ucieka z dowodami. Jego pracodawcy go gonią – schemat demonicznych agentów zła ścigających po kraju samotnych apostołów prawdy jest jednym z bardziej zużytych. Nowe są technikalia. Szef agencji, grany przez trudnego do rozpoznania Collina Firtha, dzięki nauce posiadł dar wnikania w ludzkie umysły. Skądinąd niektóre realia fabuły wydały mi się pełne luk, ale może to moja nieuwaga, produkt znużenia przewidywalnością akcji.

Patos końcówki jest bardziej natrętny niż w „Bliskich spotkaniach...". Ewentualny niepokój z powodu apokaliptycznego przełomu rozmywa się w bajkowo-lukrowanych sekwencjach powrotów do dzieciństwa i pseudonaukowych sztuczek.

Nie mam nic przeciw fantastyce, ale wobec realnych dramatów ludzkości doznałem wrażenia, że to drażniący eskapizm kreowany na objawienie... Czy ewentualne istnienie innych cywilizacji da się pogodzić z religią? Ależ tak. Tylko co z tego?



Fot. UIP



„Ruda" naprawdę najlepsza

Na sąsiedniej stronie piszę o spektaklu Teatru Ateneum, w którym zagrała Olga Sarzyńska. Ten tekst rezerwowałem na finał festiwalu Dwa Teatry w Sopocie. I oto w kategorii „najlepszy spektakl" telewizyjny wygrała „Ruda" Wawrzyńca Kostrzewskiego i Małgorzaty Sikorskiej-Miszczuk, a w kategorii „najlepsza aktorka" Sarzyńska, nagrodzona za główną rolę w „Rudej"

To historia Małgorzaty Sarzyńskiej, mamy aktorki, która swoimi ciekawymi obrazami próbowała opowiadać o samej sobie. Nieco mnie peszy szczerość tego wspomnienia. Tematem są życiowe perypetie, a także klęski tamtej Sarzyńskiej, tajemnice, czasem wstydliwe, jej wnętrza.

Aktorka powierzyła je swojemu życiowemu partnerowi Kostrzewskiemu, artyście jakże wrażliwemu. To relacja również o niej samej. W spektaklu ważną rolę odgrywa córka, grana przez studentkę Hannę Sągolewską. To Olga Sarzyńska w młodości. Z kolei ta dzisiejsza gra swoją matkę.

Powstał spektakl piękny, choć trudny. Bieg postrzępionych scen z życia, ułożonych we wspomnienia kogoś, kto odszedł przedwcześnie. I życiowa spowiedź. Owe sceny są krótkie, to wręcz mgnienia. A grają w nich sugestywnie, często w epizodach, najlepsi aktorzy: Mariusz Bonaszewski, Adam Ferency, Agata Kulesza, Michał Czernecki i wielu innych. Wszystko wspaniale filmowane przez Wojciecha Suleżyckiego pośród metaforycznych dekoracji Ewy Gdowiak do muzyki Piotra Łabonarskiego.

Główny ciężar spoczywa na Oldze Sarzyńskiej, czasem pięknej, a czasem brzydkiej, bezradnej, chwilami oszpeconej trudnym życiem. Aktorka nawet samą nieruchomą obecnością mówi więcej niż inni sążnistym monologiem. Twórczość, natchnienie są tu źródłem cierpienia, przed którym Małgosia ucieka, wymyślając iluzję swoich dwóch natur, co po latach oddziela ją od świata. Ale to także opowieść o więziach, choćby o dziwnych relacjach malarki z matką (wybitna Maria Maj!), prymitywną handlarką z Jeleniej Góry, która ciągnęła ją w dół, a za którą trudno było nie zatęsknić. To także opowieść o miłości córki, czyli samej aktorki, do matki.

Kiedy oglądałem to po raz drugi, wspomniałem własną mamę, choć nie była artystką. Nie jestem entuzjastą całego dorobku Teatru Telewizji z ostatniego sezonu, ale ten werdykt jury na koniec jest wyborem tego, co najlepsze.

Fot. Wojciech Suleżycki

MAGDALENA MAKAROWSKA*

Długowieczność zaczyna się w mitochondriach



„Długowieczność nie zaczyna się w futurystycznym laboratorium, lecz na twoim talerzu. Gdy dobrze odżywisz swoje mitochondria (wewnętrzne elektrownie ukryte w twoich komórkach), uruchamiasz naturalne procesy odmładzania, zyskujesz więcej energii, poprawiasz zdrowie metaboliczne" – zapewnia Magdalena Makarowska, która ma już na koncie takie poradniki jak „Jedz pysznie, chudnij cudnie" czy „Dieta w insulinooporności". Kolejne spojrzenie na zdrowe żywienie przedstawia (i dopełnia je ponad 80 przepisami) w książce „Dieta MITOchondrialna", zachęcając: „Przygotuj surówkę z brukselki, aby polepszyć trawienie. Wypróbuj mus z awokado, by wesprzeć pracę serca. Skosztuj złotego mleka i zmniejsz stany zapalne [...]".

Tłumaczy: „Kiedy mitochondria działają sprawnie, komórki produkują energię bardzo efektywnie, a organizm lepiej radzi sobie ze stresem oksydacyjnym i procesami naprawczymi. Gdy zaczynają szwankować, pojawia się zmęczenie, pogorszona regeneracja, stany zapalne i większe ryzyko wielu chorób związanych właśnie z wiekiem i stanami zapalnymi".

Co najbardziej „kochają" nasze mitochondria na talerzu? Okazuje się, że świetnie pasuje im dieta śródziemnomorska. Znajdziemy w niej kolorowe warzywa i owoce (dostarczające polifenoli i antyoksydantów, które pomagają chronić mitochondria przed uszkodzeniami); kwasy omega-3 (obecne m.in. w tłustych rybach morskich, wspierające błony komórkowe, polepszające ich przepuszczalność i pomagające niwelować stany zapalne). Również zdrowe tłuszcze i produkty mało przetworzone: oliwę, orzechy, pestki czy awokado.

„Pamiętaj, nie chodzi o to, żeby być długowiecznym, tylko żeby żyć długo w zdrowiu" – puentuje Makarowska.

Jolanta Gajda-Zadworna
**Dietetyczka kliniczna, bariatryczna, psychodietetyczka*



Pieczony kalafior z sosem orzechowym, pestkami granatu i nutą mięty

Bywa, że najprostsze smaki dają najwięcej energii i radości w kuchni. To kalafiorowe danie łączy chrupiące warzywo z kremowym sosem orzechowym i świeżą miętą. Razem działają odżywczo i przeciwzapalnie. Idealnie sprawdzą się jako lekki obiad lub kolacja wspierająca metabolizm, odporność organizmu i funkcje mitochondriów.

Składniki: kalafior – 300 g, łyżeczka oliwy, pół łyżeczki kurkumy, pół łyżeczki słodkiej lub ostrej papryki, ząbek czosnku przeciśnięty przez praskę, sól i pieprz do smaku, łyżeczka pokruszonych orzechów, łyżeczka pestek granatu, posiekana natka pietruszki i kilka listków mięty, sos orzechowy, łyżka masła orzechowego, cztery łyżki mleka kokosowego lub migdałowego, łyżeczka sosu sojowego, 30 g sera feta.

Wykonanie: rozgrzej piekarnik do 180 st. Celsjusza. W misce wymieszaj różyczki kalafiora z oliwą, kurkumą, papryką, czosnkiem, solą i pieprzem. Piecz kalafior przez 20–25 min, aż będzie miękki w środku i lekko złocisty z zewnątrz. W międzyczasie przygotuj sos. Wymieszaj masło orzechowe z mlekiem kokosowym i sosem sojowym do uzyskania gładkiej, kremowej konsystencji. Wkrusz ser feta. Upieczony kalafior ułóż na talerzu. Polej sosem. Posyp pokruszonymi orzechami i pestkami granatu. Ozdób świeżą natką pietruszki i listkami mięty. Podawaj od razu, aby zachować aromat i chrupkość.

Fot. Materiały prasowe



SŁODKO-SŁONY

Humus na każdą okazję

ANNA MONICKA

Kiedy po raz pierwszy spróbowałam humusu? Było to lata temu u przyjaciół w miejscowości Yehud pod Tel Awiwem. Jej częścią była osada Kiriat Białystok, w której co druga osoba mówiła po polsku, bo osiedle założyli imigranci ocaleni z Holokaustu. Większość z nich pochodziła z Białegostoku, dlatego osiedle miało taką, a nie inną nazwę. Przyjaciele nauczyli się przyrządzać egzotyczne dla nich dania, chociaż bardzo tęsknili za smakołykami z rodzinnego kraju. Wiozłam więc dla nich np. worek kaszy gryczanej.

Przez kilka miesięcy zajadałam się u nich oliwkami, szakszukami, kiszonymi warzywami, humusem podawanym z podpieczonymi chlebkami pita, więc gdy wróciłam do Polski, czułam się smętnie. Szakszukę czy podsmażany przed gotowaniem ryż z szafranem mogłam odtworzyć, ale z humusem był problem, bo potrawa była kompletnie nieznana. Nie można było – jak dziś – kupić ani ciecierzycy, ani tahini, ani nawet ziaren sezamu. Dziś takie pasty znajdziemy na każdym stoisku dla wegan czy wegetarian nawet w sieciówkach. W naszym krajobrazie zakorzeniło się też sporo knajpek i restauracji z bliskowschodnim jedzeniem, a humusy robi się z bobu, dyni czy buraczków. Ja jednak mam zawsze w pamięci ten klasyczny, udekorowany podprażonym sezamem, jedzony na tarasie pod drzewkami pomarańczowymi. Był robiony niemal codziennie, bo w upalnym klimacie doskonale zastępował mięso, jadane bardzo umiarkowanie.

Kiedy więc u nas żar zaczął lać się z nieba, postanowiłam wrócić do przepisu sprzed lat. Humus jest świetnym daniem śniadaniowym, można go jeść z pokrojonymi w słupki świeżymi warzywami, takimi jak marchewka, kalarepa, ogórki, seler naciowy. Nie obciąża żołądka i syci na bardzo długo. Przyda się też w porze obiadowej albo gdy wieczorem wpadną znajomi – posypany czarnymi i zielonymi oliwkami, pokrojonymi w kostkę kolorowymi paprykami, podawany ze zgrillowaną cukinią, papryką, bakłażanem albo kurzą piersią zamarynowaną wcześniej w ziołach.

W malakserze miksujemy puszkę ciecierzycy z podobną ilością pasty sezamowej tahini, dwoma lub trzema ząbkami czosnku, sokiem z cytryny i bardzo zimną wodą lub pokruszonym lodem – wystarczy mniej więcej łyżka, by krem był bardziej aksamitny. Wykładamy go na talerz, skrapiamy oliwą i posypujemy prażonym sezamem, natką oraz dodajemy warzywa.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Drzewa, krzewy i pnącza

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Pozornie oczywisty fakt, że rośliny są jednym z kilku podstawowych elementów ekosystemu ziemskiego, często nie znajduje odbicia w naszych działaniach.

W rolnictwie już dawno temu odkryto, że wielkie i różnorodne korzyści przynosi zagospodarowanie rolno-leśne, czyli np. zadrzewienia śródpolne i przydrożne. W krajach takich jak Wielka Brytania czy Austria wiele pól jest obwiedzionych wąskim paskiem zadrzewienia. Jeżeli jego podszyt uzupełnić pasem krzewów, efekt będzie jeszcze większy. Takie pasy nie tylko dają schronienie zwierzętom rzadkim i powszechniejszym, np. owadożernym, które są strażnikami upraw, lecz także osłabiają siłę wiatru. Ma to kluczowe znaczenie, bo wówczas zmniejsza się parowanie wody z powierzchni pól. Czasem te kilkanaście procent wody więcej, które zostanie w glebie dzięki osłonie drzew, może zadecydować o tym, czy uprawa przetrwa, czy uschnie. Osłabienie wiatru bardzo ogranicza też wywiewanie i utratę żyznej warstwy gleby.

Rolnictwo to jedna kwestia. Drugą są hale i magazyny. Szybki rozwój Polski wiąże się z powstawaniem ich wielkiej liczby. Każda taka konstrukcja oprócz stonowanych kolorów elewacji powinna mieć wokół osłonę z pasa drzew, najlepiej uzupełnionego krzewami i pnączami, podlewanego wodami opadowymi z dachów i parkingów.

W większości przypadków jest to możliwe i w większości przypadków się tego nie robi. Bo tak jest wygodniej i taniej. Oczywiście pozornie.

Warunki mikroklimatyczne w takim miejscu są znacznie gorsze. Przede wszystkim temperatury wyższe w czasie upałów nawet o dwadzieścia kilka stopni wymuszają wyższe zużycie energii na klimatyzację pomieszczeń i chłodzenie aut, a pracownicy nie mają cienistego miejsca na przerwę.

Brak osłony sprawia, że inwestycja jest widoczna z daleka. Wszyscy cierpimy z powodu zepsucia krajobrazu, a firma swoją jaskrawą, nieobsadzoną elewacją daje wyraźny sygnał, że jej to nie obchodzi.

Pasy drzew i krzewów wśród pól powinny być powszechne, a wokół hal i magazynów – obowiązkowe. Nie symboliczne, usychające od początku, wielkości i pokroju miotły, ale takie, które urosną okazałe. Oczywiście powinno się sadzić gatunki rodzime, zgodne z siedliskiem, regionem i warunkami.

eprasa.pl 0476ddfa96

3 MIŁOŚCI

Magia w Yale



ROBERT TEKIELI

Już nawet mainstreamowe media katolickie zauważają, że prawdziwym wrogiem wiary nie jest dziś ateizm, lecz magia i okultyzm. Szanowany ośrodek badawczy Pew Research Center podał, że w 1970 r. ateiści stanowili 3 proc. mieszkańców USA, a do 2023 r. odsetek ten wzrósł jedynie do 4 proc. Toksyczne duchowości są od dekad promowane poprzez muzykę młodzieżową, kino, gry komputerowe, pseudomedycynę, quasipsychologię, a dziś znalazły miejsce w środowiskach akademickich.

Uczelnia Yale Divinity School zmusiła niedawno swych studentów do poznawania różnych okultystycznych „zaklęć" w ramach swojego jesiennego programu zajęć. Arkansas Honors College zaproponował własny kurs na temat czarów, twierdząc, że „magia jest prawdziwa; wzmacnia osoby zmarginalizowane i pomaga wyjaśnić to, czego jeszcze nie wyjaśniono". Nauczyciele akademiccy piszą wprost: „Przedstawimy magię jako znaczącą praktykę kulturową. Jednocześnie proponujemy współpracę z istotami niebędącymi ludźmi, aby radzić sobie z rosnącymi obawami dotyczącymi nierówności społecznych, globalnej niepewności ekonomicznej i nieufności".

Społeczność #WitchTok na TikToku to 6,8 mln wpisów. W Polsce kilka kont okultystycznych ma po kilkaset tysięcy obserwujących, jedno – niemal 500 tys.

Nasz technologiczny i zeświecczony świat jest pełen magów, okultyzmu, spirytyzmu, astrologów, sprzedawców zaklęć, amuletów i prawdziwych sekt satanistycznych. Więcej: satanizm coraz częściej żąda takich samych praw jak inne religie, kreując wzorce życia w XXI w. W Polsce mamy cech bioenergoterapeutów i radiestetów, a wróżbiarstwo i astrologia są certyfikowane przez państwo polskie w oficjalnej Klasyfikacji Zawodów i Specjalności.

Nowym kanałem medialnym nasączającym „wiedzą" tajemną środowisko życiowe współczesnego, niespecjalnie nastawionego na refleksję konsumenta stały się zyskujące wielką popularność aplikacje łączące wellness z okultyzmem, ezoteryką i astrologią. Narzędzia te obiecują samopoznanie i redukcję stresu, wykorzystując m.in. horoskopy albo czytanie kart. I tak aplikacja CHANI stworzona przez astrolożkę Chani Nicholas oferuje spersonalizowane horoskopy i odczyty wykresów urodzeniowych „pomagające w samorozwoju i dbaniu o zdrowie psychiczne". Jest ona uznawana za jedną z najbardziej interaktywnych apek. Łączy czytanie wykresu urodzeniowego na żywo z poradami wróżek i astrologów.

Każdy, kto przychodzi po pomoc do wróżki, jasnowidza, bioenergoterapeuty, numerologa czy medium spirytystycznego, zwraca się równocześnie do rzeczywistości duchowej zła, która stoi za taką osobą

Aplikacja Labyrinthos skupia się na nauce czytania tarota oraz uczy medytacji i samopoznania. Oferuje wróżby z kart, analizę numerologiczną oraz porady dotyczące ścieżki życiowej i miłości. The Alchemy of Wellness to holistyczna aplikacja łącząca codzienne rytuały, jogę, fazy księżyca i techniki oddechowe. Zodiology jest reklamowana jako „Narzędzie łączące wiedzę o gwiazdach, horoskopy, fazy księżyca i karty tarota z codziennym dbaniem o samopoczucie i relacje".

Aplikacje te są uznawane za formę nowoczesnej rozrywki lub wsparcia psychicznego. Mogą jednak być pierwszym krokiem ku duchowej katastrofie, prowadząc do niedających się leczyć farmakologicznie depresji, statystycznie nieprawdopodobnej liczby negatywnych wydarzeń w życiu oraz rozpadu zdrowych wcześniej relacji.

Żyjąca w tak przedefiniowanym środowisku młodzież jest całkowicie pogubiona. W przeprowadzonych w 2014 r. badaniach Aleksandra Derlukiewicza wśród studentów PSW w Białymstoku jedynie 15 proc. respondentów wyrażało negatywny stosunek do okultyzmu, stosunek pozytywny – 44 proc., obojętny – 41 proc. I trudno się dziwić młodym ludziom, skoro współcześni celebryci promują symbole okultystyczne, a niektórzy z nich jawnie praktykują czary. Wiele stacji kablowych nadaje programy o „polowaniu na duchy", w których ludzie nonszalancko wchodzą w interakcje z tymi duchami, a serwisy informacyjne bezkrytycznie opisują praktykowanie magii i okultyzmu.

Przyznam szczerze, że również moją wyobraźnię przekroczyło praktykowanie czarów na wyższych uczelniach i wprowadzanie studentów w kontakty z istotami „niebędącymi ludźmi", czyli z demonami.

Współczesny irracjonalizm i praktyki niosące zagrożenia duchowe wypływają z trzech źródeł. Pierwszym źródłem praktyk toksycznych duchowo są zachodnie tradycje magii, okultyzmu, wróżbiarstwa i spirytyzmu, drugim – tradycje religii niechrześcijańskich, głównie wschodnich, a trzecim – współcześnie powstające pro-

eprasa.pl 0476ddfa96



pozycje w dziedzinie zdrowia, rozwoju osobistego czy terapii, które stanowią nowoczesną formę różnorodnych, znanych od dawna technik ezoterycznych.

Wspomniane praktyki są zwykłym oszustwem – jak biorezonans czy homeopatia, rodzajem przesądu, błędu intelektualnego – jak irydologia czy programowanie neurolingwistyczne, albo zabobonem, czyli ukrytą formą toksycznej duchowości – jak tarot, medytacja transcendentalna czy bioenergoterapia.

Oszustwo i przesąd nie dotyczą sfery duchowej – to ezoteryzm, wiedza bez praktyki. Zabobon niesie natomiast zagrożenie duchowe. Tak jest z aikido, wiarą w moc amuletów, polinezyjską praktyką magiczną zwaną huna, zachodnioeuropejskim jasnowidztwem, jogą, magią, numerologią, radiestezją, metodą kontroli umysłu według Silvy czy spirytyzmem.

Są dwa podstawowe sposoby nieświadomego otwarcia się człowieka na rzeczywistość demoniczną. Pierwszy, bezpośredni, jest związany z wiarą w amulety, wywoływaniem duchów czy ciężką młodzieżową muzyką o charakterze inicjacyjnym. Tu pod różnorodnymi formami manipulacji kryje się bezpośrednie – choć często nieświadome – zwrócenie się do złego ducha. Robią tak osoby noszące amulety czy słuchacze powtarzający za wokalistą niezrozumiałe dla siebie formuły osobistego oddania się pod władzę demonów.

Każdy, kto przychodzi po pomoc do wróżki, jasnowidza, bioenergoterapeuty, numerologa czy medium spirytystycznego, zwraca się równocześnie do rzeczywistości duchowej zła, która stoi za taką osobą. Jeśli jasnowidz zna jakieś nieznane nikomu poza nami fakty z naszego życia, jeśli po wyjściu od bioenergoterapeuty czujemy sensacje na poziomie somatycznym – uczucie ciepła czy wędrujące mrowienie – możemy być pewni, że trafiliśmy do człowieka inicjowanego w demoniczny świat duchowy.

Drugim sposobem ściągnięcia na siebie problemów duchowych jest praktykowanie form medytacyjnych i transowych, które są ukryte pod dziesiątkami różnych praktyk, często promowanych w mediach. Zaczynając od hipnozy, poprzez wywoływanie duchów pismo automatyczne, rebirthing, reiki, polarity, techniki kontroli i synchronizacji mózgu, wschodnie sztuki walki zawierające ćwiczenia „koncentracyjne" i „rozluźniające" (Tai Chi, aikido), a kończąc na różnorodnych technikach szybkiego czytania (np. SITA) i supernauczania (superlearning). Wszystko to praktyki zmieniające świadomość. Wprowadzające w rodzaj transu. Doprowadzające umysł człowieka do stanu, w którym nie ocenia on racjonalnie i moralnie przepływającej przez niego rzeczywistości. Takie otwarcie się na świat wewnętrzny człowieka powoduje jednocześnie jego otwarcie się na świat nadzmysłowy. Otwarcie, z którego mogą skorzystać – i często korzystają – demony.

Cała tradycja ustna transowej jogi mówi o niebezpiecznych stanach, przez które adepci jogi są przeprowadzani przez swego guru. Ludzie nieochrzczeni, ćwicząc z mistrzem hinduistą, są w miarę bezpieczni, ale ćwicząc sami, są wydani na pastwę świata duchowego, na którego teren nieświadomie i nieopatrznie weszli. Wschodnie techniki religijne są przedstawiane jako ćwiczenia zdrowotne i antystresowe, pozostają jednak skutecznymi metodami duchowymi, bo jako takie zostały wymyślone przed kilkoma tysiącami lat.

Na marginesie: od lat 60. XX w. metoda transowa, praktyki odmiennych stanów świadomości są przedstawiane w okultystycznej i popkulturowej propagandzie jako wyższy stan rozwoju umysłu. W rzeczywistości jest to stan niższy, wyłączający racjonalność i zmysł moralny.

Egzorcyści mówią o pięciu sferach rzeczywistości, których kontakt przysparza im najwięcej penitentów. Pierwszą jest rzeczywistość magii i wróżbiarstwa. Drugą – wywoływanie duchów, spirytyzm, channeling, podróże astralne i świadome śnienie. Trzecią – inicjacyjna ciężka muzyka młodzieżowa oraz muzyka techno. Czwartą – wschodnie praktyki duchowe, medytacyjne oraz sztuki walki. Piątą – medycyna niekonwencjonalna. W każdej z tych dziedzin mamy do czynienia z zaspokajaniem ludzkich potrzeb: kontroli nad rzeczywistością, poznania przyszłości, odreagowania stresów, rozwoju osobistego oraz zdrowia. To obiecują zabobony. Co obiecują przesądy? Uruchomienie niewykorzystanego potencjału ludzkiego mózgu aż po osiągnięcie boskości – to obiecuje pozytywne myślenie i metody kontroli umysłu, uwiedzenie każdej kobiety – to obiecuje NLS, odmiana programowania neurolingwistycznego, czyli NLP. Ponadto całościową i bezbłędną diagnozę całego organizmu, czytanie myśli innych ludzi, usuwanie bólu. Właściwie wszystko.

Cały ten ezoteryczno-okultystyczny konglomerat, który nazywam też nurtem wiedzy tajemnej lub toksycznymi duchowościami, trafił z marginesu do mainstreamu w ciągu ostatnich pięciu dekad. Przedefiniował duchowe podstawy zachodniej cywilizacji. Nie zrobił tego ateizm. Po prostu wróciliśmy do pogaństwa.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 0476ddfa96

OGNIEM NA WPROST

Czyja korzyść?



Andrzej Rafał Potocki

Po konsultacji z Kapitułą Orderu Orła Białego prezydent Nawrocki odebrał odznaczenie prezydentowi Zełenskiemu. Nastąpiło to po tym, jak Kyryło Budanow ogłosił, że nie będzie zmiany patrona Centum Operacji Specjalnych „Północ" im. Bohaterów UPA. W odpowiedzi siedmiu polityków ukraińskich, w tym byli prezydenci i sam Budanow, odesłali Polsce swoje odznaczenia. Bezkrytyczni wielbiciele Kijowa oczywiście drą szaty i bredzą o straconej szansie Polski. Niby jakiej? Na bycie po raz kolejny „waloną w rogi"? W internecie ujawniły się całe tabuny banderowskich fanatyków i tylko sporadycznie pojawiają się głosy takie jak Dmytra Kadubina ze 109. Samodzielnej Brygady Obrony Terytorialnej SZU, który w czambuł potępił postępowanie Zełenskiego.

Szansę to stracił Kijów – na sensowne ułożenie tych kwestii nie tylko z Polską. Na Słowacji też pamiętają „wyczyny" UPA, podobnie na Węgrzech. To m.in. dlatego w obu tych krajach poparcie dla Ukrainy w tym konflikcie jest mocno ograniczone. Jeśli dodamy, że w 1956 r. Węgry pacyfikowały sowieckie jednostki z Ukrainy i że to ukraińskie fronty „wyzwalały" Słowację, mamy pełny obraz sytuacji. Na marginesie –w czasie II wojny światowej wojska węgierskie kilkakrotnie interweniowały po polskiej stronie wobec rajdów UPA na polskie wsie. Odcięcie się od banderowskiej i w gruncie rzeczy nazistowskiej przeszłości jest warunkiem, by Ukraina mogła rozmawiać i o NATO, i o wstąpieniu do UE (Węgry pod rządami Magyara dopuściły do negocjacji z Kijowem o akcesji, ale wywaliły z harmonogramu zapis o szybkiej ścieżce). Zauważają to rywale prezydenta Zełenskiego. Były prezydent Poroszenko odesłał prezydentowi Nawrockiemu swój order, po czym zjechał Zełenskiego jak burą sukę, zarzucając mu awanturnictwo, nieodpowiedzialność i twitterową dyplomację. W podobnym duchu wypowiedziała się ekipa gen. Załużnego, byłego naczelnego dowódcy SZU z nim samym na czele.

Tymczasem w wyniku decyzji prezydenta Zełenskiego elementem negocjacji będzie nie tylko temat upowskiej przeszłości. W świat poszły informacje o zbrodniach popełnianych przez UPA, o współpracy z III Rzeszą, o poglądach ukraińskich nacjonalistów. We współczesnej liberalnej Europie – a tylko ona stanowi dla Ukrainy polityczne oparcie – te wątki są nie do zaakceptowania. To w istocie blokuje ruchy Kijowa na forum europejskim. I może właśnie o to chodzi? Jak już pisaliśmy, ukraińskim elitom biznesowym wstąpienie do Unii nie jest do niczego potrzebne. Potrzebują parasola NATO, ułatwionego wjazdu do strefy Schengen oraz szczególnych warunków do robienia biznesu. Nie zamierzają wchodzić w unijne reżimy polityk rolnych czy klimatycznych. Rinat Achmetow (w 2012 r. jego majątek wyceniano na 16 mld dol., właściciel słynnego z obrony kombinatu metalurgicznego Azowstal w Mariupolu) nie wygasi wielkich pieców tylko dlatego, że w Brukseli sobie tak wymyślili.

Jednak większość ukraińskiego społeczeństwa chce wejścia do Unii i od tego przecież w 2014 r. zaczęła się ta wojna. Głośne chwalenie się, że SZU są „drugą armią NATO" jest nie tylko na wyrost, lecz także kompletnie bez sensu. No chyba że chodzi właśnie o to, by widowiskowo przegrać. Po ostatnich uderzeniach dronowych i wyizolowaniu Krymu oraz południowej Ukrainy wielu Ukraińców uwierzyło, że zwycięska ofensywa na Mariupol jest o krok. Tego nastroju nie psuje nawet trudna sytuacja Konstantynówki. Tymczasem SZU mają gigantyczne problemy z uzupełnianiem siły żywej. Liczba żołnierzy zmniejsza się nie tylko w wyniku zgonów czy dostania się do niewoli. Wielu po prostu jest tak poważnie kontuzjowanych, że nie nadają się do walki. Na ich miejsce brakuje chętnych. Ostatni wybuch entuzjazmu zgłaszających się masowo ochotników miał miejsce latem i jesienią 2022 r., kiedy tworzono Gwardię Ofensywną. Nieudana ofensywa 2023 r. zgasiła wszelkie marzenia o szybkim zwycięstwie. Teraz tylko siły dronowe pozwalają na utrzymanie frontu. Ukraińskie wojska lądowe są zbyt nieliczne i wyczerpane. Ale w propagandzie tego nie widać. Jest pompowanie sukcesu. Tymczasem... Nie będzie NATO. Nie będzie UE. Front realnie może w końcu dojść do Dniepru. Jak wyjaśnić społeczeństwu, że politycznie wojna została przegrana?

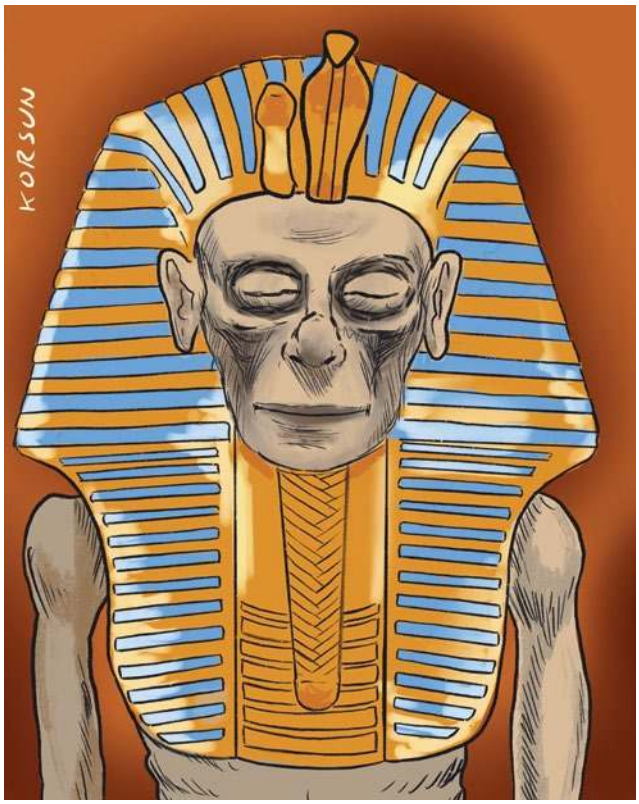
Może właśnie o to chodzi w tych zaczepkach pod adresem Łukaszenki? Akcja militarna Ukrainy spotka się z białoruską odpowiedzią, na którą Kijów raczej nie jest gotowy, a w efekcie klęskę będzie można wyjaśnić „zdradzieckim atakiem". Bo nie widzę innego logicznego wyjaśnienia tej gry.

Współpraca: ***„Skipper"***

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0476ddfa96

Michał Korsun prezentuje:
Tomografia dla zmarłego poza kolejką



Wycinki z przeszłości

Na świecie nigdy nie brakowało oszustów. W 1938 r. „Wieczór Warszawski" opisywał historię Amerykanina, który przewoził przez granicę „starannie opakowane ramię kobiety... z marmuru", twierdząc, że to „jedno z brakujących ramion Wenus z Milo". Grecki antykwariusz przed aresztowaniem zdążył sprzedać pięć rzekomo brakujących ramion. Gazeta ironizowała, że bogini „przekształca się powoli w sturękie bóstwo hinduskie". ***(sp)***


10 GR WIECZÓR WARSZAWSKI 10 GR

BUDŻET URZĘDNICZY

50 milionów skazanych

ginie w mękach

Wenus z Milo pozostanie bez rąk
choć pomysłowy antykwariusz je dorabiał

Niedawno przekraczał granicę grecką Amerykanin, przybywający z Aten, który zwrócił na siebie uwagę strażników celnych dziwnie nerwowym zachowaniem się. Przetrząśnięto dokładnie jego bagaże i znaleziono w jednej z walizy starannie opakowane ramię kobiety... z marmuru. Zarzucono turystę pytaniami. Przyciśnięty do muru Yankes wyznał wreszcie, że jest to jedno z brakujących ramion Wenus z Milo.

Podróżnik tłomaczył się, że jest to przedmiot tak cenny, że wolał nie prosić o zezwolenie na wywóz, w przekonaniu, że go z pewnością nie otrzyma. A zapłacił już za fragment rzeźby 10.000 dolarów znanemu antykwariuszowi Georgopulosowi, który ręczył za autentyczność tego arcydzieła.

Strażnicy celni — przyzwyczajeni zresztą do różnych kawałów — ubawili się doskonale, ale swoją drogą powiadomili policję w Atenach. Aresztowano Georgopulosa, który jest jednym z najbardziej znanych antykwariuszy greckich. Przyznał się on, że w ciągu ostatnich trzech miesięcy sprzedał 5 takich „cudownie odnalezionych, brakujących ramion Venus".

Jak widzimy, piękna bogini przekształca się powoli w sturękie bóstwo hinduskie.

Mile niespodzianki

Z WOLEJA

Fair play po niemiecku i zawód – dyrektor



Ryszard Czarnecki

Niemcy się nie zmieniają. Boisko zastąpiło pole bitewne. Mecz RFN–WKS (Wybrzeże Kości Słoniowej) na mundialu. Zawodnik z Afryki odnosi kontuzję, jego koledzy – tak jak pozostaje w futbolowym zwyczaju – wybijają piłkę poza boisko. Sędzia wznawia grę. Zasadą fair play jest, że drużyna, która wybiła piłkę, dostaje ją od przeciwnika z powrotem, by było sprawiedliwie. Ale Niemcy przegrywają 0:1 i ani myślą respektować sportowych obyczajów: nie oddają piłki i ruszają do ataku. Ich zachowanie po meczu krytykuje urodzony we Francji trener drużyny z Czarnego Lądu. Ma rację. Ale ja się dziwię, że on się dziwi, że Niemcy tak postępują.

Obyczaje psują się nie tylko w piłce nożnej i nie tylko za sprawą Teutonów. Ustępujący prezes Polskiego Związku Narciarskiego, były skoczek Adam Małysz, publicznie poskarżył się na swojego trenera i obecnego prezesa PZN Apoloniusza Tajnera, że ten nie odbiera od niego telefonów, nie oddzwania i nie odpisuje na SMS. Cóż, Pan Trener zastąpił Pana Zawodnika na stanowisku szefa związku. Można rzec Małyszowi, który był fantastycznym skoczkiem narciarskim, a potem słabym prezesem: „Chłopaki nie płaczą". Jednocześnie trener po raz pierwszy został prezesem PZN (w 2006 r., był nim do 2022 r.) głównie dlatego, że jego podopieczny został czterokrotnym mistrzem świata i czterokrotnym medalistą olimpijskim. Tajnerowi można zatem zadedykować inne porzekadło: „Zapomniał wół, jak cielęciem był". Cóż, klasy nie kupisz.

Przypomniał mi się kultowy cytat z komedii Stanisława Barei „Poszukiwany, poszukiwana". Barbara Rylska, grająca żonę Jerzego Dobrowolskiego, mówi: „Mój mąż jest z zawodu dyrektorem". Tajner przez 16 lat był prezesem Polskiego Związku Narciarskiego, potem miał rok przerwy, bo okropny prawicowy rząd wprowadził dwukadencyjność prezesów związków sportowych. Jednak w 2023 r. został posłem na Sejm RP, a po trzech latach będzie godził tę funkcję z kolejnym szefowaniem PZN. Kuda Tajnerowi do Brylskiej, ale może ją strawestować: „A ja z zawodu jestem prezesem"?

A swoją drogą – szkoda mi legendy skoków Adama Małysza, którego Pan Dyrektor, przepraszam – Pan Prezes już nie chce znać. Zrobiło się niefajnie. Chyba pasuje tu stare powiedzenie: „Jedni z domu wynoszą dobre wychowanie, a inni meble". Jestem pewien, że meblościanka, którą wyniósł prezes (z zawodu) Tajner, była „w porzo".

eprasa.pl 0476ddfa96



OD A DO ZYBERTOWICZA

Nowi lunatycy

Potrzebujemy technologii, która pozwoli zajrzeć do obcych komputerów i upewnić się, że nie powstaje tam nic niebezpiecznego

Wybitny historyk Christopher Clark jest autorem wydanej także w Polsce książki *Lunatycy: Jak Europa poszła na wojnę w roku 1914*.

Swą dociekliwość skupił na „niejasnych i zawiłych wydarzeniach, które umożliwiły […] rzeź", jaką okazała się I wojna światowa. „Potworności XX wieku w Europie zrodziły się z tej katastrofy" – twierdzi Clark.

LĘK I BUŃCZUCZNOŚĆ

Władcy, politycy, dyplomaci i wojskowi – to konkretne decyzje konkretnych ludzi właśnie tego pokroju przyniosły wojnę. Clark wskazał na paradoks, że u tych ludzi „to poczucie lęku i przekonanie, że zdarzy się coś złego, które można znaleźć w tak wielu źródłach, łączy się z arogancją i buńczucznością, które napotykamy często u dokładnie tych samych osób".

Z podobnie przedziwnym połączeniem lęku oraz buńczuczności mamy do czynienia dziś w grupie potężnych osób, wcale nie polityków.

MUSK, THIEL, HASSABIS, ALTMAN, AMODEI

To nazwiska cyfrowych tytanów. Ich postawy są równie paradoksalne: są świadomi – i nierzadko publicznie dają temu wyraz – z jak wielkimi zagrożeniami wiąże się rozwój sztucznej inteligencji, a zarazem robią bardzo wiele, by w obecnym wyścigu cyfrowych zbrojeń mocno dociskać pedał gazu.

LATO 1914

Latem 1914 r. nikt w Europie nie planował apokalipsy. Królowie i politycy chcieli po prostu ugrać swoje. Podejmowali z pozoru drobne, sensowne z ich punktu widzenia decyzje, które niespodziewanie uruchomiły lawinę. Krocząc jak we śnie, nie dostrzegli chwili, w której ich działania zamieniły rzeczywistość w nieodwracalny koszmar wojny.

LATO 2026

Dziś widzę ten sam scenariusz. Zmieniliśmy tylko rekwizyty – zamiast pancerników i dywizji piechoty mamy farmy serwerów oraz modele coraz sprawniejszej sztucznej inteligencji. Zamiast dawnych imperiów – mamy big techy i supermocarstwa, splecione w uścisku cyfrowego wyścigu.

Wielu twórców modeli AI doskonale wie, że ten szaleńczy pęd może wymknąć się spod kontroli i zmienić nasze życie nie do poznania. Dlaczego więc po prostu nie zwolnią? Odpowiedź jest przerażająco prosta: poza motywami zysku, prestiżu, przekonania o własnej misji – boją się.

Szefowie firm w Dolinie Krzemowej i decydenci w Chinach myślą tak samo: „Jeśli ja się zatrzymam, mój wróg poleci do przodu i zdobędzie absolutną przewagę". To pułapka strachu, z której nikt nie chce wyjść jako pierwszy.

POLITYCY PODLEWAJĄ POŻAR

Zamiast patrzeć laboratoriom na ręce, dają im wolną wolę i miliardy dolarów w imię „bezpieczeństwa narodowego". Każdy, kto nawołuje do ostrożności i wciśnięcia hamulca, jest traktowany jak naiwniak, który chce oddać przyszłość walkowerem.

Gdy podczas zimnej wojny świat stał na krawędzi zagłady nuklearnej, uratowało nas jedno: możliwość twardego sprawdzania przeciwnika. Nawet jeśli ktoś kłamał, że nie testuje bomb atomowych, specjalne sejsmografy od razu wyłapywały drgania ziemi.

Dzisiaj nie mamy takich „cyfrowych sejsmografów". Potężne systemy sztucznej inteligencji można trenować w tajemnicy, w pilnie strzeżonych serwerowniach. Słowo honoru prezesów firm technologicznych i uśmiechy dyplomatów to stanowczo za mało, byśmy mogli spać spokojnie.

MECHANIZMY KONTROLI

Jeśli chcemy przerwać to lunatykowanie w stronę przepaści, musimy wymusić budowę mechanizmów kontroli. Potrzebujemy technologii, która pozwoli zajrzeć do obcych komputerów i upewnić się, że nie powstaje tam nic niebezpiecznego (bez kradzieży tajemnic handlowych). Potrzeba międzynarodowych praw, które będą chronić i nagradzać informatyków, jeśli ci zdecydują się zdradzić światu, że ich szefowie w tajemnicy budują coś, co wymyka się spod kontroli.

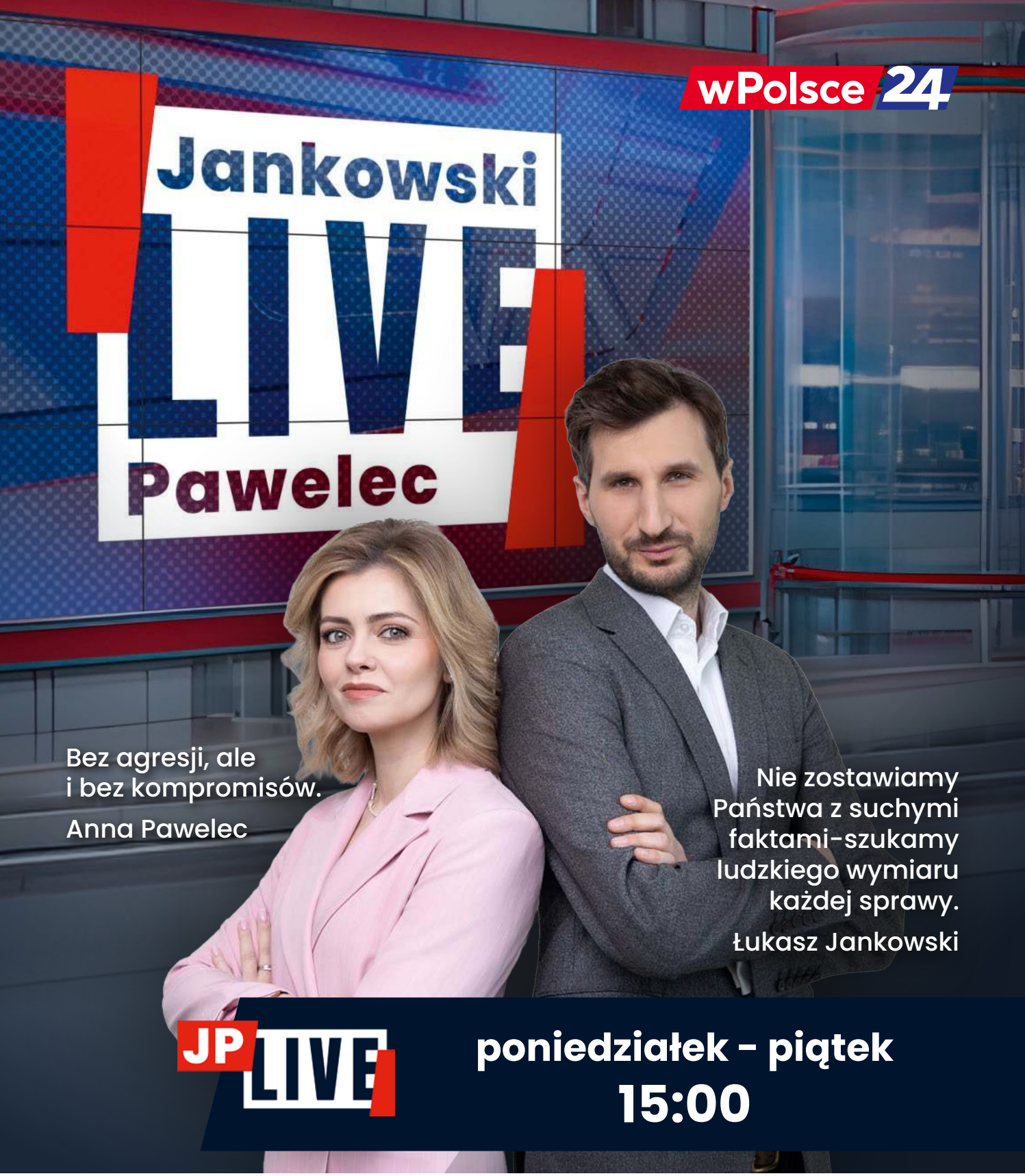
JUŻ JECHALI NA FRONT

112 lat temu przywódcy budzili się dopiero wtedy, gdy żołnierze jechali już na front. Tamtymi targał ten sam splot lęku z buńczucznością – bali się przyszłości, a mimo to szli w nią z arogancją. Dziś cyfrowi tytani powtarzają tę lunatyczną ścieżkę. Wciąż mamy czas, by otworzyć oczy. W przeciwnym razie obudzimy się w świecie, w którym stery przejęły systemy, których nikt z nas już nie rozumie.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 0476ddfa96



GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43	EPG 825, EPG PON 257	YouTube
telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio	multiMedia	TelewizjawPolsce24

eprasa.pl 0476ddfa96

Wesprzyj dziennikarstwo śledcze – fundament misji telewizji wPolsce24

Patrzymy władzy na ręce.
Tropimy afery.
Demaskujemy kłamstwa.
Ujawniamy niewygodne fakty.

Wojciech Biedroń
dziennikarz telewizji wPolsce24
laureat nagród SDP za reportaże śledcze



Oglądaj reportaże śledcze **w każdy poniedziałek o 20:05**

WSPIERAJ wPolsce24

wesprzyj.wpolsce24.tv

numer konta FRATRIA S.A.:
69 1020 4900 0000 8202 3036 2577
tytuł wpłaty:
DAROWIZNA

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl 0476ddfa96